

Kate
MOSSE
ZIMOWE
ZJAWY



Przełożyła
Agnieszka Lipska-Nakoniecznik

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE WINTER GHOSTS

Copyright © Mosse Associates Ltd 2009
All rights reserved

Projekt okładki
The Orion Publishing Group Ltd

Redaktor prowadzący
Katarzyna Rudzka

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Jolanta Tyczynska

Łamanie
Ewa Wojcik

ISBN 978-83-7648-333-7

Warszawa 2010

Wydawca
Proszynski Media Sp z o o
02-651 Warszawa ul Garazowa 7
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
OZGraf S A
10-417 Olsztyn, ul Towarowa 2

ZNANY BOGU

Rudyard Kipling

*(epigraf wyryty na nagrobkach wzniesionych i ku pamięci
nieznanych i ołnierz. w latników)*



Stara zima

Lito ciwa stara zima powróciła
I znów kulawym krokiem przemierza nasze drogi
Roz cielaj c wsz dy biał derk niegu
A północny wicher wyje w gał ziach sosnowych drzew.

REDNIOWIECZNA PROWANSALSKA PIE

TULUZA
KWIECIE 1933



LA RUE DE PENITENTS GRIS



Szedł jak człowiek, który całkiem niedawno powrócił do świata. Ka_dy krok był ostro_ny, dokładnie przemy_lany. Ka_dy sprawiał mu przyjemno_..

Był wysoki, starannie ogolony, może nieco zbyt chudy. Miał na sobie ubranie z Savile Row - garnitur z cienkiej wełny w jodełk_ , z marynark_ poszerzan_ w ramionach i wci_t_ w pasie. R_kawiczki z jeleniej skóry idealnie pasowały do koloru filcowego kapelusza. Słowem, wygl_ dał jak prawdziwy Anglik, który czuje si_ w pełni swoich praw, przebywaj_c na takiej właśnie ulicy w tak przecudne, wiosenne popołudnie.

Ale nic nie jest takie, jakie si_ wydaje.

Ka_dy krok był trochę za ostro_ny, za bardzo wywa_ony, jakby ów m_czyzna niech_tnie przyjmował za rzecz naturaln_t_ całkiem zwyczajn_my l_ , e pod jego stopami na pewno znajduje si_ ziemia. M_drym, przenikliwym spojrzeniem błyskawicznie przeskakiwał z jednej strony ulicy na drug_ , jak gdyby zale_ło mu, eby zapami_t_a_ ka_dy, najdrobniejszy nawet szczegół.

Tuluza jest uwa_ana za jedno z najpi_kniejszych miast południowej Francji. Oczywiście Freddie doce-

niał jej urok. Dyskretna elegancja dziewiętnastowiecznych budowli, średniowieczna przeszłość spoczywająca pod brukiem i kolumnadami, wieże i klasztorne krużganki kościoła Saint-Etienne, wartki nurt rzeki dzielący miasto na pół... Dzięki fasadom z różowej cegły, które w promieniach kwietniowego słońca nabierały rumieńców, Tuluza zyskała swój czuły przydomek - *La ville rose*. Niewiele zmieniło się od czasu, gdy Freddie przyjechał tu po raz ostatni, to znaczy pod koniec lat dwudziestych. Wtedy był innym człowiekiem - obdartym łachmaniarzem, zniszczonym przez smutek i ból.

Teraz sprawy przedstawiały się całkiem inaczej.

W prawym rękawie Freddie dzierżył wskazówki, naskrobane po pieśni na odwrocie serwetki zabranej z restauracji Bibent, gdzie wstąpił na lunch składający się z *filet mignon* i butelki czerwonego borddeaux. W kieszonce na lewej piersi niósł list pokryty patyną starożytności i kurzem, teraz ukryty bezpiecznie w kartonowej okładce. To właśnie ten list - i fakt, że w końcu miał jakiś powód, by tu powrócić - był przyczyną dzisiejszej wyprawy do Tuluz. Góry, skąd pochodził ów dokument, stały się dla Freddiego miejscem o szczególnym znaczeniu, więc uważał list za coś niezwykle cennego, choć sam nigdy nie zdołał go przeczytać.

Przeszedł na ukos przez Place du Capitole, kierując się w stronę katedry Saint-Sernin, i po chwili znalazł się w plataninie małych uliczek, gdzie pełno było jazzowych barów, piwnic rozbrzmiewających poezją oraz pogromionych w mroku niewielkich restauracyjek. Usuwając się na bok, przepuszczał spacerujące po chodniku pary zakochanych, rodziny i grupki przyjaciół, którzy wyszli

z domów radowa si ciepłym popołudniem. Przemkn ł przez kilka niedu ych skwerów i ukrytych ruellas, i ruszył wzdłu Rue de Taur, a w ko cu trafił na ulic , której szukał. Stan wszy na rogu, zawahał si , jakby nagle przyszła mu do głowy jaka nowa my ł, lecz po chwili wawym krokiem ruszył w dalsz drog , wlok c za sob własny cie .

Mniej wi cej w połowie Rue de Penitents Gris znajdowały si pewna *Ubrane* oraz sklepik antykwaryczny. To wła nie on stanowił cel wyprawy. Freddie znieruchomiał na moment, eby przeczyta nazwisko wła ciciela, wymalowane czarnymi literami tu ponad framug frontowych drzwi. Przez chwil jego sylwetka odbijała si na cianie budynku, ale potem Freddie zmienił pozycj i okno wystawowe znów zalała powód słonecznego blasku, w którym delikatnie migotały metalowe pr ty krat.

Przez pewien czas gapił si na wystaw - na stare ksi gi ozdobione wytłoczeniami ze złotej folii, na wypolerowane czerwono-czarne okładki z błyszcz cej skóry, na grzbiety dzieł Montaigne'a, Anatole'a France'a i Maupassanta; prze lizgiwał si spojrzeniem po mniej znanych sobie nazwiskach Antonina (iadala i Feliksa Garrigou; spogl dał na opasłe tomy opowiada o duchach pióra Blackwoda i Jamesa, a tak e Sheridana Le Fanu.

- No dobrze, teraz albo nigdy - mrukn ł wreszcie.

Staromodna klamka ust piła sztywno pod naciśkiem, a pordezwiąte zawiasy zapiszczały przera - liwie, kiedy Freddie popchn ł drzwi. Gdzie w gł bi sklepu zagrzechotała mosi na kołatka, chropowata wycieraczka za westchn ła bole nie, gdy nast piły na ni podeszwy butów.

- *Il y a quelqu'un?* - zawołał twardo, szkolny francuszczyzną. - Jest tam ktoś?

Kontrast pomiędzy jasnością na zewnątrz a szarym cieniem wewnątrz sklepu sprawił, że Freddie mimowolnie zmrużył oczy. Ale wówczas doleciał do niego przyjemny zapach pyłu i popołudniowych godzin, kleju i papieru oraz wypolerowanego drewna półek. Drobiniki kurzu wpadały w tanecznym wirze w promienie światła i zaraz uciekały w mrok. Teraz był już pewien, że trafił we właściwe miejsce; poczuł, jak stopniowo opuszcza go wewnętrzne napięcie. Może była to ulga, że wreszcie udało mu się tu dotrzeć, albo wiadomo, że oto wreszcie znalazł się przy końcu drogi.

Zdjął kapelusz i rękawiczki, i ułożył je na długim, drewnianym kontuarze. Potem sięgnął do kieszeni marynarki, żeby wyjść stamtąd niedużo kartonów okładek.

- Halo? - odezwał się po raz drugi. - Monsieur Saurat?

Usłyszał odgłos cichych kroków, a potem skrzypienie drzwi ukrytych gdzieś na końcu sklepu. Do środka wszedł starszy mężczyzna. W pierwszym odruchu Freddie dostrzegł jedynie cechy fizyczne nieznanego: wałki skóry na karku i przy nadgarstkach, gładką i niepooraną zmarszczkami twarz, ukrytą pod burzą całkiem siwych włosów. Ten człowiek absolutnie nie wyglądał na uczonego, znawcę czasów renesansu, jak tego oczekiwał Freddie.

- Monsieur Saurat?

Właściwie *librarie* skinął głową. Sprawiał wrażenie rozważnego, lecz jednocześnie nieznudzonego i niezainteresowanego wizytą przypadkowego gościa.

- Potrzebuję pańskiej pomocy przy tłumaczeniu pewnego tekstu - wyjął Freddie. - Powiedziano mi, że jest pan odpowiednią osobą do tego typu zadania.

Nie odrywał się oczu od twarzy Saurata, ostro nie wysunął z tekturowej osłony cenną zawartość. List był gruby w kolorze przybrudzonej kredy, i właściwie wcale nie wyglądał na papier, lecz na coś znacznie starszego. Odręczne pismo wydawało się nierówne, miejscami słowa wyglądały na wręcz nabazgrane.

Saurat powoli opuścił spojrzenie. Freddie bez trudu mógł zaobserwować, jak jego wzrok zaostrza się i w oczach najpierw pojawia się zaskoczenie, a później zdumienie. I jeszcze coś - chciwość.

- Czy mogę ...?

- Ale oczywiście.

Wyjął wszystkie z górnej kieszonki parę okularów w kształcie półksiężyca, które garz umieścił na czubku nosa, a następnie sięgnął pod kontuar, aby wydobyć stamtąd parę cienkich, lśniących rękawiczek. Wcisnął je na dłoń i trzymając list między palcem wskazującym a kciukiem, ostro podniósł go do światła.

- To pergamin. Prawdopodobnie z okresu średniowiecza.

- Ma pan całkowitą rację.

- Napisany w języku oksytańskim, to stary dialekt, który nigdy nie był rozpowszechniony na tych terenach.

- Tak. - O tym wszystkim Freddie już wiedział.

Saurat zmierzył go twardym spojrzeniem, a potem z powrotem opuścił oczy na list. Wziął oddech i głono przeczytał parę początkowych wierszy. Jego głos brzmiał zaskakująco cicho.

- „Ko ci, i cienie, i proch. Ja jestem ostatnia. Inni zasnąli w pokoju, na zawsze odchodzą w ciemność. Teraz, przy końcu moich dni, w nieruchomym powietrzu dookoła mnie zostało tylko echo. Echo wspomnień o tych, których niegdy kochałam. Samotność, milczenie... *Peyre sant...*”.

Saurat urwał i z ciekawością wpatrzył się w pełnego rezerwy Anglika, który stał przed nim. Nie wyglądał na kolekcjonera, ale ostatecznie trudno się dzielić ludzi po samym wyglądzie.

Odchrząknął znacząco.

- Czy wolno mi zapytać, jak wszedł pan w posiadanie tego listu, monsieur...

- ...Watson - Freddie sięgnął do kieszeni po wizytówkę i niedbałym ruchem rzucił ją na kontuar. - Frederick Watson.

- Czy jest pan świadomy tego, że ten dokument ma historyczną wartość?

- Dla mnie ma on wartość z czysto osobistych względów.

- Być może, niemniej jednak... - Saurat wzruszył ramionami. - Rozumiem, że od pewnego czasu znajdował się w posiadaniu kogoś z pańskiej rodziny?

Freddie się zawahał.

- Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

- Oczywiście. - Ksiądz szerokim gestem wskazał niski stolik do kart oraz cztery wyściełane skórą fotele, które stały w niedużej alkowie, mieszczącej się na tyłach sklepienia. - Proszę.

Freddie zabrał list i usiadł, przyglądając się, jak Saurat znowu pochyla się nad kontuarem - tym razem, by wyjąć dwie szklaneczki z grubego szkła

i butelkę łagodnej, złotej brandy. Jak na tak potłoczone nie zbudowanego mężczyzny, porusza się z niezwykłym wdziękiem, a nawet delikatnością, pomyślał Freddie. Saurat szczerze i kornie napełnił obie szklaneczki, a następnie opadł na fotel naprzeciwko. Pod jego ciemnym skórzanym krzesłem przeraźliwie.

- Wiem jak, przetłumaczy pan to dla mnie?

- Naturalnie. Ale muszę przyznać, że wciąż mnie intryguje, jak wszedł pan w posiadanie tak niezwykłego dokumentu?

- Och, to długa historia.

Odpowiedzi było następnie wzruszenie ramionami.

- Nie szkodzi. Mam sporo czasu.

Freddie wychylił się do przodu i niespiesznym ruchem przesunął długimi palcami po gładkiej powierzchni stołu, pozostawiając na zielonym materiale wyraźny ślad.

- Proszę mi powiedzieć, Saurat, czy wierzy pan w duchy?

Przez usta siedzącego naprzeciwko mężczyzny przemknęło coś na kształt uśmiechu.

- Pilnie słucham.

Freddie odetchnął z ulgą albo może wyrażając w ten sposób inne uczucie, trudno powiedzieć.

- A wiem dobrze - rozpoczął, sadząc sobie wygodnie w fotelu. - Historia zaczyna się przed niemal pięćdziesięcioma laty, w dodatku całkiem niedaleko stąd.

ADIECE
Ariège

GRUDZIE 1928



TARASCON-SUR-ARIÈGE



Pewnej paskudnej nocy pod koniec listopada, kilka dni przed moimi dwudziestymi siódmymi urodzinami, wsiadłem na pokład pociągu mającego bezpośrednio połączenie ze statkiem, który wiozł pasażerów do Calais.

Nic mnie już nie trzymało w Anglii, a moje zdrowie w tamtym okresie było naprawdę kiepskie. Spędziłem pewien czas w sanatorium, a od powrotu stamtąd walczyłem jak lew, by odkryć w sobie jakieś powołanie, /a miłowanie do robienia czegokolwiek. Pracowałem jako młodszy asystent w biurze architekta, wytrzymałem miesiąc jako agent w biurze po rednictwa... Nigdzie nie zagrałem miejsca. Nie pasowałem do takiej roboty albo to ona nie pasowała do mnie. Po szczególnie zjadliwym ataku grypy mój doktor zasugerował, że objazdową wycieczką po zamkach i ruinach Ariège mogłaby dobrze wpłynąć na moje rozdygotane nerwy. „Czyste górskie powietrze na pewno pana wyleczy, skoro wszystko inne zawiodło”, powiedział.

Tak więc wyruszyłem w drogę, bez żadnego konkretnego planu podróży. Zmierzając statkiem na kontynent, nie czułem się wcale bardziej samotny niż

w Anglii, gdzie otaczało mnie grono znajomych i kilku przyjaciół, którzy jeszcze mi pozostali. Jeden z nich nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie mogłem zapomnieć o tamtej tragedii, skoro od dnia zawieszenia broni upłynęła już cała dekada. Nawiasem mówiąc, moje cierpienie nie było niczym szczególnym. W Wielkiej Wojnie każda rodzina kogoś straciła - ojców, wujów, synów, matki i braci. Życie toczyło się jednak nadal.

Ale nie dla mnie. Kiedy kolejne zielone lato niepostrzeżenie zmieniał się w miedziasty i złoty jesień, ja stawałem się coraz mniej, a nie coraz bardziej zdolny do zaakceptowania śmierci mojego brata. Jako nie byłem w stanie uwierzyć, że George odszedł na zawsze. I chociaż przebrnąłem przez całą gamę normalnych w takich wypadkach emocji - od niedowierzania przez zaprzeczenie i gniew aż do obojętności - to smutek nadal trzymał mnie w swoich elastycznych szponach. Stałem się niedźwiedzią, która we mnie samym budziła jedynie pogardę, ale wydawało się, że w ten sposób nie potrafi temu zaradzić. Patrzę z perspektywy czasu, wcale nie jestem pewien, czy w ogóle miałem zamiar tu wracać, kiedy z pokładu rozkołysanego statku spojrzałem na niebieskie w dali białe urwiska Dover.

Mimo wszystko zmiana otoczenia wywarła dobry skutek. Kiedy już raz uporałem się z ustaleniem trasy, wiodącej poprzez północne miasteczka i wsie, gdzie w powietrzu wciąż wyczuwało się ciężką atmosferę toczonych tutaj bitew, czułem się mniej zakotwiczony w przeszłość niż wtedy, gdy przebywałem w domu. Tu, we Francji, byłem kimś obcym. Nie musiałem do niczego się dopasowywać, zresztą nikt tego ode mnie nie oczekiwał. Nikt mnie tu nie znał i ja nie znałem nikogo, nie mogłem więc nikomu sprawić

zawodu ani nikogo rozczarowa. I chociaż trudno powiedzieć, że znajdowałem przyjemność w tym, co mnie otaczało, to jednak rutyna dnia codziennego, polegająca na jedzeniu, podróży i znalezieniu noclegu, wystarczająco zajmowała moją uwagę podczas długich godzin czuwania.

Oczywiście nocami sprawy przedstawiały się całkiem inaczej.

Tak więc kilka tygodni później, piętnastego grudnia, przybyłem do Tarascon-sur-Ariege, miasteczka położonego na przedgórzu Pirenejów. Było późne popołudnie i całkiem zeszywniałem od tłuczenia się po nieutwardzonych górskich drogach. Temperatura wewnątrz 11 łatej kabiny w kształcie pudełka była niewiele wyższa od tej na zewnątrz, więc pod wpływem mojego oddechu wciąż parowały okna, a ja musiałem co chwila 11; kawern wyciera wilgoć z przedniej szyby.

W różowym wietle gasnącego dnia wjechałem do miasteczka, przekraczając jego granice od strony Avenue de Foix. W wysoko położonych dolinach słońce zachodziło wcześniej, więc głęboki zmrok zalegał już na wioskach, wyłożonych brukiem uliczkach. Naprzeciw mnie, na urwistej półce skalnej, przycupnęła wysmukła, osiemnastowieczna wieża zegarowa - jak wartownik, który wita powracającego do domu samotnego wędrowca. Już z daleka czułem, że to miejsce wysyła pozytywne fluidy, emanuje z niego pewno siebie i akceptacja otaczającego świata, i to mi się spodobało. Spodobała mi się sama idea, że stare warto ci mogłoby koegzystować z wymaganiami dwudziestego wieku.

Przez szpary pomiędzy ramionami auta a szybami wлизgiwał się ciepły, lecz jednocześnie nieśladki zapach palo-

nego drewna i wycy. Widziałem wiatła migające w oknach niedużych domków, kelnerów w długich, czarnych fartuchach, którzy z werwą poruszali się między stolikami w kawiarni, i nagle ogarnęła mnie ta sknota, by stać się czci tego wiata.

Zadecydowałem, że zatrzymam się tutaj na noc. Na skrzyżowaniu ulicy z Pont Vieux musiałem gwałtownie zahamować, by uniknąć zderzenia z jakimś młodym człowiekiem jadącym na rowerze: wiatło jego lampki podskakiwało i opadało, kiedy skręcał ostro, unikając wybojów. Zanim zdążył przejechać obok auta, mój wzrok przyciągnęło jaskrawo oświetlone okno znajdujące się naprzeciwko *boulangerie*. Przez parę sekund obserwowałem, co tam się dzieje; akurat w tym momencie młoda sprzedawczyni - dziewczyna z burzliwymi brzozykowatymi włosami, ustawicznie wymykająca się spod czepeczki - podeszła do gablotki, aby wyjść z niej *jesuite* albo może krem *eclair*.

Od tamtej pory minęło już wiele czasu, a pamięć nie jest najbardziej niezawodnym przyjacielem, ale wciąż widzę w wyobraźni, jak zatrzymuje się na moment, aby obrzucić mnie nie miałym u siebie miechem, a potem wkłada *patisserie* z powrotem do pudełka i starannie zawiązuje wstążką. Na małą, malutką chwilę w ziutki promień wiatła wtargnął do pustych zakamarków mojego serca, ale zaraz zgasł, przygnieciony ciężarem wszystkiego, co zdarzyło się wcześniej.

Bez trudu znalazłem pokój w Grand Hotel de la Poste, który ogłaszał się, że dysponuje garażem dla swoich gości. I chociaż mój Austin Seven był jedynym stojącym tam pojazdem, zauważyłem, że trochę dalej przy tej samej ulicy znajduje się stacja obsługi Garage Fontez. Przeczucie, że w Tarascon sprawy zmięraj w dobrym

kierunku, wyraźnie przybrało na sile. Dodatkowo potwierdziło się to przy wpisywaniu nazwiska do rejestru gości w recepcji. Właściciel hotelu oznajmił z dumą, że zaledwie przed kilkoma tygodniami otwarto tu dużą fabrykę aluminium. Dzięki niej, jak miał nadzieję, całe okoliczne zaczną lepiej funkcjonować, a młodzi ludzie będą mieli powód, żeby tu zostać.

Szczegóły naszej rozmowy niestety umknęły mi z pamięci. W tamtym czasie nie przejawiałem zbyt wielkiej ochoty do prowadzenia towarzyskich pogawiedzek. Przez ponad dziesięć lat nieustannie łobozę moja zdolność do zauważania człowieka innego niż George zdołała się całkiem ulotnić. On siedział zawsze obok mnie i był jedyną osobą, której mogłem się zwierzyć ze swoich zmartwień. Nie potrzebowałem nikogo innego.

Jednak w tamto grudniowe popołudnie, w tym małym hotelu, miałem okazję przelotnie ujrzeć, jak żyją inni ludzie, i pochwyciłem, że nie mogę nauczyć się tego samego. Nawet teraz pamiętam pasję mojego rozmówcy, jego optymizm i ambicję, gdy mówił o własnym miasteczku. Uderzył mnie kontrast między nim a moimi (graniczonymi horyzontami). Jak zawsze w takich chwilach, bardziej niż kiedykolwiek czułem się outsiderem. Byłem zadowolony, kiedy patron w korytarzu pokazał mi, jak iść do mojego pokoju i ruszył w swoją stronę.

Pokój znajdował się na pierwszym piętrze. Wychodził na ulicę i sprawiał sympatyczne wrażenie. W oknie były widać pomalowane, poza tym znajdowało się tam pojedyncze łóżko z grubym narzutem, komoda z miedzianym dzbanem oraz fotel. Jednym słowem, sypialnia niewyszukana, czysta i anonimowa. Po chwili okazała się lodowato zimna w dotyku. Pasowali my do siebie - ten pokój i ja.

LA TOUR DU CASTELLA



Rozpakowałem si , zmyłem z twarzy i r k kurz podró y, a potem usiadłem w oknie i pal c papierosa, gapiłem si na Avenue de Foix.

Postanowiłem przed kolacj wybra si na spacer po miasteczku. Było jeszcze do wcz nie, ale temperatura zd yła ju spa , a szewc, aptekarz, rze nik i wła cicielka pasmanterii pogasili wiatła i zasun li aluzje w witrynach. Teraz ich wystawy wygl dały jak rz d zamkni tych oczu nieboszczyków, które ju niczego nie widz i niczego nie mog ujawni .

Powlokłem si przez quai de Ariège, wracaj c do kamiennego mostu przerzuconego nad rzek w miejscu, gdzie spotykały si spienione wody Ariege i Videssos. Przez chwil wał sałem si po okolicy w zapadaj cym szybko zmierzchu, a potem poszedłem dalej, w stron prawego brzegu rzeki. Tu wła nie, jak mi mówiono, znajdowała si najstarsza i najbardziej charakterystyczna cz miasta - uarter Mazel-Viel.

Spacerowym krokiem przemierzyłem uroczy park, ponury i opustoszały w okresie zimy - co znakomicie pasowało do stanu mego umysłu - eby tak jak zawsze zatrzyma si przed pomnikiem wzniesionym ku czci

tych, którzy padli na polach bitewnych. Ypres, Mons i Verdun. Nawet w takim Tarascon, położonym daleko od obszaru działań wojennych, na kamiennej tablicy widniało wiele nazwisk. Tak wiele, wiele nazwisk...

Tu za pomnikiem zaczynał się korytarz wychudłych jodeł i czarnych sosen, prowadzący do cmentarnej bramy z kutego elaza. Ponad wysokimi cianami ogrodzenia widać było jedynie koniuszki rzeźbionych anielskich skrzydeł, chrześcijańskie krzyże i gór jednego lub dwóch bardziej wyrafinowanych nagrobków. Zawahałem się, nie chcąc złożyć wizyty tym, którzy spali głębokim snem w wilgotnej ziemi, ale oparłem się pokusie. Zbyt dobrze wiedziałem, co znaczy nieustanne przebywanie pomiędzy zmarłymi. Powoli zacząłem się odwracać, by stamtąd odejść.

Jednak zrobiłem to zbyt wolno. I tak go zobaczyłem. Przez ułamek sekundy ujrzałem jakiegoś człowieka w gasnącym dziennym świetle albo może mój niepewny wzrok spletał mi figla, ale ujrzałem go, jak stał na płaskich, starych schodkach z kamienia, tuż na wprost mnie. Poczuję ukłucie radości i natychmiast poderwałem rękę, żeby mu pomachać. Tak samo jak za dawnych, dobrych czasów.

- George?

Dźwięk jego imienia ucichł w nieruchomym powietrzu. Nagle zebrał mi się ciśnienie, trzeszcząc jak stary mechanizm w nakręcanym ręcznie zegarze naszego dziadka, a ręka osunęła się z powrotem w gęstość zwątpienia.

Nikogo tam nie było. Nigdy nie będzie.

Wepchnąłem ręce głęboko do kieszeni płaszcza. Zegar na wieży wybił czwartą po południu, a echo jego uderzenia uleciało w dal, a w kołcu zamarło

zupełnie. W tamtych dniach prawda wyglądała tak, choć bardzo obawiałem się spotkania z bratem, to jednocześnie nie ogarniał mnie głębi smutek, kiedy nie przychodził. A gdy się zjawiał, czułem radość, uniesienie i przez moment byłem skłonny uwierzyć, że George wciąż żyje. Że tamto wszystko było jedynie głupim pomyłką.

Później przypominałem sobie o rzeczywistości i moje pełne serce kurczyło się jeszcze mocniej.

- George... - wyszeptalem, wiedząc, że nie będzie odpowiedzi.

Przysiadłem w kucki na krawędzi pomnika, dla zachowania równowagi opierając się o kamienną płytę. Wciąż zdawałem sobie sprawę, że nazwiska tych wszystkich umarłych wciąż nie wbijają mi się w plecy, jakby chciały zostawić na mojej skórze swój niezatarty ślad.

Ujrzałem w pamięci znajomy obraz pewnej fotografii. Niegdyś stała w naszym domu na komodzie, oprawiona w szklane ramki, a teraz wozili ją w walizce, ukrytą na samym dnie. Zrobiono ją we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku; była utrwalona w kolorze sepii, tak pasującym do przeszłości. Mama siedziała na centralnym miejscu, piękna i niedostępną w białej bluzce z wysokim kołnierzykiem, ozdobionej broszką. Z tyłu za nią po jednej stronie stał ojciec, a z drugiej George, najwyraźniej dumny ze swojego munduru. Na jego czapce połyskiwała rozetka Orderu Podwójki i odznaka medalu Roussillon. Tak właśnie wyglądał kapitan George Watson z Królewskiego Regimentu Hrabstwa Sussex, z Dywizji Trzydziestej Dziewiętej.

Ja siedziałem z dala od tego żywego obrazu, z obrazem z buntowanego trzynastolatka i sterzący

11 i dziko włosami. W momencie gdy fotograf nacisnął migawkę, co sprawiło, że odwróciłem głowę od obiektywu i spojrzałem na George'a. Przez całe lata przeprowadzałem dociekliwe badania i ponownie do nich wracałem, starając się odczytać wyraz oczu tamtego chłopca. Czy w twarzy brata szukałem otuchy czy raczej uwielbienia? A może raczej był to bezsilny dziecięcy gniew, że tamci się zmówili, zmuszając mnie do udziału w takiej szaradzie? Nie wiem. Nie wiem, ile razy wpatrywałem się w to pokryte kurzem, uwidziane na zdjęciu chwila, usiłując sobie przypomnieć, jakie myśli były działy mi wówczas po głowie. Nigdy mi się nie udało.

Dwa dni później George został wysłany do Trzynastego Batalionu, który stacjonował na terenie Francji. Pamiętam tam, jak dumny był ojciec, jak chwaliła się tym matka i jak przepęłniał mnie strach. Paraliżujący i przyłaczający strach. Nawet wtedy wiedziałem, że ta drożdżka wcale nie wiedzie do chwały.

Ciekawe, jak długo siedziałem na tym lodowatym /imnym pomniku w Tarascon, podczas gdy chłód przenikał stopniowo przez gruby materiał mojego płaszcza i tweedowych spodni? Czas rozciąga się i kurczy, i nigdy nie pozwala się zatrzymać, kiedy najbardziej tego potrzebujemy. Myślałem o moich rodzicach, tak odległych i na wszystko obojętnych. Myślałem o George'u, o tych wszystkich, którzy zginęli, a którzy w miarę upływu czasu stają się coraz mniej rozpoznawalni. Prosta, zwyczajna prawda wyglądała jak, że przytłaczało mnie własne nieudane życie i cięzar miłości George'a.

Z perspektywy czasu widzę, że wszystkie negatywne emocje dopadły mnie w tym samym czasie.

Złudzenie, nadzieja i tęsknota zwały się jedna po drugiej jak upadające kostki domina. Zresztą może to oklepany frazes. Po prostu dziesięć lat miałyby pozostawiło w moim sercu niezatarty ślad.

W końcu wziąłem się w garść i ruszyłem z miejsca, wzdychający losowi za panującą dookoła ciemnością. Na moment zatrzymałem się przy koczale, żeby odczytać napisany ręcznie na jednej ze ścian notkę, zmuszając się do skoncentrowania uwagi na słowach. Zdaje się, że to imię – La Daurade – wywodzi się od słowa *daurado*, występującego w miejscowym języku, co oznacza „złoty” lub „pozlaczony”, i odnosi się do posągu Dziewicy, który niegdyś znajdował się w koczale. Próbowałem wykrzesać w sobie iskrę zainteresowania, choćby ze względu na szacunek do mojej poprzedniej, krótkotrwałej pracy u koczelnego architekta. Jednak tak naprawdę nie czułem nic. Moje myśli uporczywie powracały do spoczywających w zimnej ziemi zmarłych. Do rozrzuconych kości, gliny i krwi. Do kamiennych nagrobków i mogił, i do dzikich, zaniedbanych skrawków gruntu pomiędzy nimi.

Potrzebałem głębi. Nie chciałem, żeby przeładowała mnie wizja ostatnich godzin George’a – wizja kołczastego drutu, poplątanych koczyn, schwytanymi w pułapki i porozrywanych na strzepy. Nie chciałem słyszeć wybuchów, pocisków, ani wrzasków ludzi i koni, padających pod gradem kul lub w obłoku trującego dymu albo gwałtownie unoszonych z ziemi, która dotąd znajdowała się pod ich stopami.

Problemi polegał na tym, że wiedziałem jednocześnie i za dużo, i za mało. Po dziesięciu latach starań, by się dowiedzieć, co przytrafiło się George’owi i

w pamiętnym roku tysiąc dziewięćset szesnastym, zyskałem jedynie przekonanie o całym szeregu możliwości, które mogły się wówczas wydarzyć. Jednak ta paskudna, przepełniona przemocą wiedza tylko doprowadziła mnie do ostatecznej ruiny, zamiast pomóc mi zaakceptować fakty i skłonić mnie do ruszenia w dalszą drogę.

I znowu spróbowałem zwrócić myślenie ku innym rzeczom. Popatrzyłem na piękność czoła, na ujmującą symetrię i delikatność kamiennych detali i zapragnąłem, tak jak wiele razy przedtem, aby te fragmenty historii mogły poruszać mnie z taką samą mocą jak dawniej. Moje palce, sztywne w ciasnych, skórzanych rękawiczkach, wślizgnęły się do kieszeni płaszcza, by dotknąć kieszonkowego wydania partytury III koncertu Brandenburskiego Jana Sebastiana Bacha. Zainwestowanie dwóch szylingów i sześciopięćdziesiątka była próbą przypomnienia sobie o czymś, co nigdy nie było wysoko cenione. Ale muzyka straciła dla mnie swój urok, podobnie jak wszystko inne. Nie interesowały mnie wirtuozowskie kadencje Vaughana Williamsa ani opadające pasażerki septymowe Elgara, podobnie jak w marcu nie wzruszał mnie widok białego kwiecistego jabłoni, w kwietniu jaskrawa róża arnowca ani majowa mgiełka dzwoneczków na zielonych polanach. Nic mnie nie poruszało. Wszystko przestało się liczyć w dniu, kiedy otrzymaliśmy tamten telegram: „Zaginiony w akcji. I' rzypuszczalnie zabity”.

Kontynuowałem mój samotny obchód miasteczka, zmierzając na ukos przez Place des Consuls, nieczuły na zimno, od którego bolały mnie uszy. Zza zamkniętych drzwi od czasu do czasu dobiegało grzechotanie talerzy, sporadyczne strzępy konwersacji albo

trzeszczenie: radią.. Ale przez większość czasu: siedłem sam, a jedynym towarzystwem był tupot moich butów o kamienny bruk.

Wijęcymiśi schodami przemierzyłem starą dzielnicę i wspierając się na ścianie, wspiąłem się do stóp *Tour du Castella* – wysmukłej wieży, którą dostrzegłem, wjeżdżając do Tarascon. Z obecnego, znacznie lepszego miejsca, mogłem dostrzec niekończące się wierzchołki Pirenejów, otaczających miasteczko, jak kamienny mur. Na horyzoncie wznosił się szczyt Roc de Sedbur, a okrywająca go czarna niegoda odcinała się upiorną bielą od czarnego nieba. Ciemne przełomy Videssos, okręcały miasto od południa.

W *Quartier Saint-Roch* wiatła Chateau Pił ujemal odbijały się jak iluminacja od przystani w Bognor Regis. *Avenue de Sabart* graniczyła z rzędem uprawnych działek z jednej strony i *cabanes* z drugiej, gdzie rozkładali swoje stragany miejscowi ogrodnicy, przepychając się w walce o miejsce z domami, które wyrastały jak grzyby po deszczu w *Quartier de la Gore*. W paszczy doliny od strony południa rozsiadły się płasko i szeroko zabudowania nowej fabryki, jak grupa współczesnych portierów, którzy strzegą odwiecznego rytmu pradawnych gór. Trochę przypominało mi to cieplarnię w otoczonym murem ogrodzie, w domu mojego dzieciństwa.

Kominy co chwila wypluwały kłęby białego dymu, wystrzeliwane w tajemniczym, niebieskawym, zielonym lub ółtawym blasku, w zalewie od tego, jakiego rodzaju metale wlaśnie zostały strawione – aluminium, kobalt czy miedź. W powietrzu wisiał zapach spalenizny – perfumy przemysłu. Znak upływającego czasu.

Okazało się, że wejście do wnętrza wieży jest niemożliwe. Małe drzwi były zabite naглуcho,

...i w połowie wysoko ci znajdowało się lepe okno, zasłoni te czarn krat . Dookoła wie y pieniała się 11 msa dzikiego zielska, a kamienne fundamenty zakrywały mchy i porosty.

Mimo wszystko wie a stała w miejscu, które przypawiało o zawrót głowy. Otaczaj cają zewsz d skalna półka urywała się nagle. Nigdzie nie dostrzegłem I>a ii erki ani por czy, ani niczego innego, co mogłoby powstrzyma od ze lizgni cia się w przepa nie-lisi raszonego w drowca, który wspierał się a tutaj.

Gdy patrzyłem w dół, nieoczekiwanie zakręciło mi się w głowie - z zimna i ze wiadomości, jak w ski jrsł skalny parapet dookoła wie y. Ton ca w półmroku przestrze wydawała się przeogromna. Przez jeden jedyny moment przemkn ła mi myśl, jak łatwo byłoby loraz zako czy wszystkie sprawy. Zamkn oczy i posun się o krok w kierunku łagodnego, przyjaznego nieba. Nie poczu niczego poza p dem powietrza, Płły b d szybował w dół, w stron spienionych fal Ari ge, płyn cej u moich stóp. Pomy łałem o rewolwerze, ukrytym na dnie walizy pod swetrem z Fair Isic. Dorównywał staremu słu bowemu webleyowi nale cem do George'a, ale mimo to ani razu nie zmusiłem się , by go u y .

Pozyskałem t bro przed sze cioma laty, w jednej z rzadkich chwil celowego działania, tu przed załamaniem psychicznym, które na par miesi cy zamkn ło in 11 ie w sanatorium. Spiesz c Dickensian Alleye w East Kudzi , gdzie ulice były mroczne, a w powietrzu czuło się wo rezygnacji, szedłem pod adres podany mi przez jednego z oficerów, b d cych wcze niej towarzyszami (ieorge'a. Simpson stał się wówczas ruin człowieka pił na umór, by zapomnie o ha bie, e on jedyny

powrócił z wojny. Tak więc rozumiał bardziej niż ktokolwiek inny, jak ważna jest możliwość szybkiego i łatwego rozwinięcia nabrzmiałych spraw, kiedy cię narzycia staje się zbyt dokuczliwy. Kupiłem rewolwer, bo wiedziałem, że George też posiadał taki broń, i to posunięcie na pewien czas przywróciło mi wiary we własną odwagę. Ale jak zwykle wszystko zepsułem. Nigdy nie wystrzeliłem z tego rewolweru. Nigdy go nawet nie załadowałem.

W tamtej chwili, chwyciwszy się u stóp wieży na szczycie urwistego wzgórza w Tarascon, poczułem, jak krew uderza mi do głowy na myśl, że by może w końcu nadszedł ten ostateczny moment. Podekscytowała mnie sama możliwość podjęcia rozstrzygającej decyzji. Albo pomyślałem o cieniu do George'a. Lecz trwało to tylko przez chwilę. Potem, podobnie jak za każdym razem, impuls samounicestwienia uciekł z podwiniętym ogonem, a ja cofnąłem się znad urwiska. Oparty plecami o bezpieczną twardość kamienia, rozcapierzonymi dłońmi przesuwając się po ceglanym murze.

Upłynęło kilka minut, zanim przestało mi się kręcić w głowie. Wtedy odwróciłem się i majestatycznym krokiem zszedłem po szerokich, płytkich stopniach, które prowadziły ze wzgórza na levelce w dole ulice. Co mnie wówczas powstrzymało, odwaga czy tchórzostwo? Wciąż nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Nawet dziś trudno mi odróżnić jednego oszusta od drugiego.

Później, po spożyciu skromnego obiadu w restauracji naprzeciwko mojego hotelu, niechcinnie usposo-

biony do pozostawiania sam na sam z moimi my-
łami, wyszukałem w Faubourg Sainte-Quitterie jakiś
bar, gdzie może ci byli skłonni bez zbędnych pyta-
nia zaakceptować towarzystwo obcego człowieka.

Ich szorstko brzmiące głosy mówiły z dumą o przy-
szłości ci Tarascon. Wznosząc toast za pomyślną mia-
ł. Irczka, rozumiałem ich potrzebę, by wybiega-
my łami naprzód, zapomnieć o przeszłości ci. By przy-
wiorze bębnow i gwizdków za jednego pensa masze-
rowa razem z resztą wiata. Taki rzucający się
w oczy przemysł był chełpliwym dowodem zarówno
illa podróży, jak i zwykłych obywateli, że zwyci-
zimy czeka wspaniała przyszłość, a nie tylko tandetne
wspomnienia. Że zrujnowane pejzaże Flandrii powin-
ny zblaknąć w pamięci ci. Tak, poległym jak najbardziej
należy się cześć. Należy się im pamięć, owszem, ale
po/a tym trzeba ruszać przed siebie. Patrząc ku przy-
szłości ci. Cenię jazz i dziewczęta ostrzyżone na chłop-
tów, i te nowe budowle na Piccadilly, wznoszone
fiara w/ór starych. Udawać, że nasze cierpienia były
łp;o warte.

Kiedy wieczór zasnuła mgiełka czerwonego wina
i mocnych papierosów, przypomniało mi się, że pró-
bowałem u wiadomych moim kompanom od kieliszka,
że w ciągu dziesięciu lat nie nauczyłem się zapominać.
Że światło elektryczne i drogi dla zmotoryzowanych
nie potrafi przytłumić głosów tych, których utraci-
li my na zawsze. Że nasi ukochani zmarli są zawsze
liilaj, widziani ktem oka. Są obok ka dego z nas.

Ale moja szkolna francuszczyzna sprawiła, że wi-
k-szość filozoficznych rozważań została im oszcz-
dzona. Poza tym, mimo wszystkich uroczystych rytu-
tów, smutek wymaga przeżywania go w samotności ci.

Tak więc wieczór zakończył się ciskaniem ręk i przyjacielskim poklepywaniem po plecach. Tak, staliśmy się kumplami, ale mimo to prawie nie udało nam się nawiązać głębszego kontaktu.

Kiedy wreszcie dotarłem do Łódki, byłem niespokojny i czujny. Bicie samotnego dzwonu oznajmiało mi o upływających godzinach nocnej pory. Dopiero gdy bladą gwiazdę wpełzała przez szpary między drewnianymi deszczułkami aluzji, udało mi się odpłynąć w ciemność, głębi sen.

Opowiadam panu, Saurat, o tamtym wieczorze ze wszystkimi szczegółami nie dlatego, że jako szczególnie obchodziło mnie to konkretne miasteczko. Równie dobrze wszystko mogło się zdarzyć w każdym z setek miejsc w tym zakątku południowej Francji. Ale to właśnie, by przywołać szczegółowo każdą zwyczajną minutę tamtego dnia, aby pan zrozumiał, że absolutnie nic podczas nocy spędzonej w Tarascon nie zapowiadało tego, co wkrótce miało się wydarzyć. Szarpałem się pomiędzy wspomnieniami a ciekawym ułaskawieniem się nad sobą, bo w tamtym czasie wcale nie tak się czułem. W inne noce bywało znacznie gorzej, choć chciałem, aby było lepiej. Posiadałem na wyłączenie emocjonalną ziemianinów i nie potrafiłem ani posunąć się do przodu, ani się cofnąć.

Jednak choć wtedy nie miałem o tym pojęcia, strasznie się zdziwiła mnie zauważyła. Już tam była. Czekająca na mnie.

NA GÓRSKIEJ DRODZE DO VICDESSOS



W najczarniejszych dniach mojego zamknięcia w sanatorium, a potem podczas rekonwalescencji w domu w Sussex witał tym momentem, którego obawiałem się najbardziej. W owych wczesnych godzinach jałowo mojej egzystencji wydawała się szczególnie ostro kontrastować z przewagą otaczającego mnie świata, który wcale nie budził się do życia. Błękit nieba, srebrzyste spody liści, które wiosną rozwijały się na drzewach, glistnik i tybula leżąca na wywołotach - wszystko zdawało się kpić z mojego ponurego nastroju.

Teraz, gdy spojrzę do tyłu, przyczyna tamtego załamania wydaje się całkiem oczywista, choć w owym czasie miałem zupełnie odmienne odczucia. Dla otaczających mnie ludzi - oczywiście w tym także dla moich rodziców - było to coś dziwnego, niemalże w złym guście, że ktoś tak długo zwleka z rozsypaniem się na kawałki. Dopiero w sześć lat po śmierci George'a mój zmaltretowany umysł zaniechał walki, choć po prawdzie i tak stale ulegał postępującej degeneracji.

Pewnego wieczoru wybraliśmy się do restauracji niedaleko od Fortnuma & Masona, żeby uczcić moje

dwudzieste pierwsze urodziny. Wci czuj naj zyku
smak szampana Montebello, rocznik tysi c dziewi -
set pi tnasty - tak si przypadkiem zło yło, e był
to ten sam rocznik, w który kompania Fortnuma
zaopatrzyła wyruszaj c tamtego roku wypraw
na Mount Everest. Tak wi c siedzieli my tam w kru-
chym milczeniu - ojciec, matka i ja - a George był
w ród nas obecny duchem. To jego obecno czyni-
ła z nas rodzin . To on sklejał nas w jedno . Bez
niego byliby my tylko trojgiem obcych ludzi, którzy
nie maj sobie nic do powiedzenia. I siedziałem tam
ja - popijaj c drobnymi yczkami szampana, otwiera-
j c prezenty - podczas gdy biednemu George'owi nie
dane było do y dnia swojej pełnoletno ci. Uwa ałem,
e to nie w porz dku.

Bardzo nie w porz dku.

Czy teraz to ja wszedłem w rol starszego bra-
ta, skoro prze yłem wi cej lat ni George? Czy
zamienili my si miejscami? Takie my li kr yły
mi po głowie, coraz gor tsze i coraz bardziej gwał-
towne. Kelnerzy sun li obok nas w swoich czarno-
-białych strojach, a b belki szampana nieprzyjemnie
drapały mnie w gardle. Poza tym szcz k sztu ców
działał mi na nerwy.

- Na lito bosk , Frederick, zdob d si na odro-
bin wysiłku - sykn ła w pewnej chwili moja matka.
- Przynajmniej udawaj, e si dobrze bawisz, nawet
je li jest inaczej.

- Zostaw chłopaka w spokoju - zawarczał ojciec,
ale machni ciem r ki odprawił kelnera, który chciał
poda drug butelk Montebello.

Jedyne, o czym mogłem wówczas my le , to moje
urodziny w przeszło ci, kiedy George roz mieszał

mnie do łez, przynosił prezenty i zmieniał zwyczajny dzień w coś specjalnego. Czerwono-biały bczek, gdy skończyłem pięć lat. Na dziewięć urodziny łuk i strzały. I jego ostatni prezent dla mnie - pierwsze wydanie książki kapitana Scotta „Wyprawa na Discovery” tom I, w sztywnych, niebieskich okładkach z wytłoczonymi literami, którą przysłał mi z Francji w grudniu tysiąc dziewięćset pięćdnastego roku, zapakowaną w brzozy papier i obwiązaną sznurkiem.

I o to chodziło. O wspomnienie tamtej książki. Od sześciu lat zmagalem się z prawdą o mierci George'a, a wreszcie dałem za wygraną. I właśnie wtedy, w tej pluszowo aksamitnej restauracji, mój umysł zupełnie się zagubił. Wszystko stało się jasne. Pamiętam tam jeszcze, jak ostro nie i bez po piechu odstawiałem kieliszek z szampanem na stół, ale późniejsze wydarzenia całkiem mi umknęły. Czy zalałem się łzami? Czy podniosłem głos albo przewracałem oczyma, zakłócając spokój zasuszonych dam i weteranów wojskowych? A może tłukłem porcelanę albo odstawiałem inną pantomimę? Nie potrafię sobie przypomnieć. Pamiętam jedynie uspokajające otumanienie po podaniu mi morfiny, padający w Londynie śnieg i podróż samochodem, kiedy zabierano mnie z Piccadilly do prywatnego szpitala znajdującego się na obrzeżach Midhurst.

W sanatorium spędziłem Boże Narodzenie i początek tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku, które nadeszły i minęły bez mojego udziału. Wiat nie miał zacząć nabierać ostrości, dopiero gdy nadeszła wiosna, a pod moim oknem drożdż wypiewywał flecikowe trele. Godzin dziennie spędzałem na dziedzińcu, spacerując tam i z powrotem w towarzystwie

dwóch wykrochmalonych piel gniarek, a pó niej tylko jednej. Potem moje wycieczki stały si nieco dłuższe i pozwalano mi wychodzi bez asysty; wreszcie, gdzie pod koniec kwietnia, lekarze doszli do wniosku, e jestem ju wystarczaj co silny, by odda mnie na powrót pod opiek rodziny.

Zostałem odesłany do domu. Ojciec bardzo si wstydził, e okazałem si takim mi czakiem, i rzadko kiedy si pojawiał. Teraz, gdy byłem słaby i chory, matka nie okazywała mi wi kszego zainteresowania ni wcze niej, przed moim załamaniem nerwowym. W tamtym czasie zaczynałem rozumie , sk d si brała ta jej niech do mnie. Mo na powiedzie , e nawet obudziło si we mnie co w rodzaju współczucia. Obdarzywszy mojego ojca synem, biedaczka po pi ciu latach została zmuszona do przechodzenia przez cały proces jeszcze raz, kiedy ju s dziła, e wszelkie tego typu sprawy jej nie dotycz . W czasie dorastania przyjmowałem za oczywiste, e widocznie jest we mnie co antypatycznego, i starałem si tym zanadto nie przejmowa .

Niemniej jednak latem i jesieni tamtego roku jako udało mi si powróci do zdrowia. Jednak kada, najmniejsza nawet poprawa samopoczucia odsuwała mnie od George'a, a prawd mówi c, wci pozostawał jedyn osob , której towarzystwa sobie yczyłem. To, e uczyłem si y bez niego, odbierałem niemal jak zdrad .

W tym czasie ycie miarowo toczyło si naprzód. Miesiące i lata nast powały po sobie, jedne podobne do drugich, a cienie wojny nieuchronnie stawały si coraz bledsze. Ale wci o brzasku dopadała mnie rozpacz. Ka dego ranka, gdy wiało dzienne

wydobywało z mroku kształty tego próżnego wiata, ja widziałem z całą ostrością, jak wiele utraciłem.

Ale w Tarascon, w Grand Hotel de la Poste, tu przy samym końcu tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku, obudziłem się dopiero o dziesiątej, przespawszy w najlepsze wczesny poranny koszmarów i nie znajdując ani ładunku, który zwykle przytłaczał moje piersi. Zgięłem palce, poruszyłem ramionami i rękoma i przekonałem się, że wszystkie części mojego ciała, nie są czymś osobnym. Nie jestem martwym.

I znowu wydaje się całkiem możliwe, że to jawne ocieplenie emocji jestem w stanie dostrzec jedynie z perspektywy czasu. Albo może cofnięcie się znad przepaści tamtego poprzedniego wieczoru przekonało mnie, że nastąpiła jakaś istotna zmiana. Przede wszystkim chcę pamiętać, że tego dnia wstałem z łóżka z pewną dozą energii. Z ulicy dobiegał dziewczęcy śpiew. Była to jakaś ludowa piosenka, jakaś górską melodią, która urzekła mnie swoją prostotą. Otworzyłem na okiennice, radując się muśnięciami chłodnego powietrza, które owiewało mi ramiona. W owej chwili czułem, że nawet jeśli brakuje mi czegoś do pełni szczęścia, to przynajmniej nie jestem nieszczęśliwy.

Czy uśmiechnęłem się do tej dziewczyny na ulicy? Albo czy ona popatrzyła w górę, wyczuwając moje badawcze spojrzenie? Nie pamiętam. Pamiętam jedynie tamtą staromodną melodię, która zdawała się trwać w powietrzu jeszcze długo po tym, gdy dziewczyna skończyła śpiewać.

W jadalni okazało się, że jestem jedynym gościem. Jakaś prosta kobiecina przyniosła mi ciepłe bułeczki

z białej maki, szynki, wiejskie masło i do ordynarny dym ze liwka, który miał jednoczo nie słodki i kwaśny smak. Poza tym dostałem kawę - z prawdziwych ziaren, nie z cykorii i jęczmienia, zaprawianą słodem. Czułem, że mam apetyt, więc jadłem z przyjemnością, nie z wyłuzaniem dlatego, by utrzymać jedno dusza i ciała. Potem spędziłem trochę czasu na delektowaniu się papierosem, napełniając *salle a manger* obłoczkami siwego dymu, który tańczył w grudniowym wietle dnia. Kusiło mnie, żeby zostać tu jeszcze przez jedną noc, ale moja krnąbrna natura domagała się, by ruszać dalej.

Było nieco po jedenastej, gdy uregulowałem rachunek, wyprowadziłem austina z garażu i zostawiłem za sobą Tarascon. Skierowałem się na południe, w stronę Videssos. Nie miałem w planach żadnego konkretnego celu, postanowiłem więc jechać tam, dokąd zaprowadzi mnie droga. W przewodniku Baedekera polecano pewne miejsca w Niaux i Lombrives, gdzie znajdowały się przepiękne jaskinie. Było raczej mało prawdopodobne, że w grudniu są otwarte dla zwiedzających, mimo to poczułem ukłucie zainteresowania. Przynajmniej na tyle, by skłonić mnie do wybrania tej drogi.

Jechałem wzdłuż linii rzeki, podziwiając wspaniałe i pradawny krajobraz. Na drodze przeważnie byłem sam. W pewnej chwili zauważyłem drewniany wóz ciągnięty przez woły, potem z grzechotem minęła mnie stara, wojskowa ciężarówka. Silnik charczał z wysiłku, dach z zielonego brezentu wisiał w strzępach, pochłapany błotem, a jeden z reflektorów zaginął bezpowrotnie. Oto stary wojenny kołozbiór, który jeszcze nie został wygnany na łono.

Temperatura spadała, lecz nie było niegu, chociaż im wyżej wjeżdżałem, tym ciśniej wydawał się lodowy baldachim pokrywający całą płaszczyznę. Jednak bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak się jedzie tą drogą w środku lata, pośród półpełnych złotych słoneczników i miodziołgami oliwnych drzewek ze srebrno-zielonymi liśćmi i czarnymi owocami. Oczywiście wyobraźni widziałem na tarasach kilku domów rozrzuconych po urwistych zboczach donice w kolorze ziemi, wypełnione białym i różowym kwiecikiem geranium, każde było wielkości mojej dłoni, i czerwone i zielone winogrona dojrzewające w gorącym, południowym słońcu. Dwukrotnie zatrzymałem się na poboczu i wysiadłem z auta, żeby rozprostować nogi i wypalić papierosa, zanim ruszę w dalszą podróż.

Soczysta zimowa uroda doliny Ariège, przez którą przejeżdżałem poprzedniego dnia, ustąpiła miejsca prehistorycznemu krajobrazowi, pełnemu jaskiń i urwistych zboczy. Skały i las opuszczały się niemal na sam szczyt, jakby chciały odzyskać to, co niegdy zostało im zabrane przez człowieka. Chmury zdawały się wisieć pomiędzy góorskimi szczytami, podobne do dymu z jesiennego ogniska, i kłębiły się tak nisko, że miałem wrażenie, iż wystarczy sięgnąć, by ich dotknąć. Na każdym wierzchołku znajdowały się wapienne odkrywki, które przyciągały mój wzrok. Ale zamiast romantycznych, rozsypujących się zamków albo ruin dawno opuszczonych fortec, które można napotkać w Limoux i Couzies, tu widziałem wyłącznie postrzępione rozpadliny, przecinające oblicza gór. To nie były ślady dawnych osiedli, tylko czegoś znacznie bardziej pierwotnego.

Wróciłem wspomnieniami do swojej klasy w pewnej prywatnej szkole podstawowej. W powietrzu wisiał pył kredy, przez okna wlewało się ółtawe wiatło pa dziernikowego popołudnia, a my słuchaliśmy my nauczyciela, który opowiadał nam o ciekawych historii krain leżących na pograniczu Francji i Hiszpanii. O tym, jak w trzynastym stuleciu Kościół katolicki prowadził na tych terenach wojnę przeciwko albigensom. Wojnę domową, obliczoną na wyczerpanie sił, która trwała ponad sto lat. Płonące stopy, tortury i systematyczne przeładowania dały początek tej Inkwizycji. Ale dla nas, dziesięcio- i jedenaścioletków, którzy nigdy nie zetknęli się z mierzwią ani nie mieli jeszcze okazji dowiedzieć się, co oznacza wojna, brzmiało to jak coś w rodzaju fantastycznej przygody. W słonecznych dniach dzieciństwa nic nie wydawało się zapomniane ani zmarnowane.

Potem, gdy byłem już nieco starszy, ten sam głos nauczyciela mówił o szesnastowiecznych bitwach na tle religijnym pomiędzy katolikami a hugenotami. Ich arena stała się okryty zieloną krainą, zwany Langwedocja - kraina, która przesiąkała czerwienią krwi wiernych wyznawców.

W naszych czasach również zdarzały się takie rzeczy. Nawet jeśli ten zakątek Francji ucierpiał mniej niż Pas de Calais, niż te wszystkie spustoszone wioski i lasy na północnym wschodzie, to i tak na każdym skrzyżowaniu dróg spotykało się pomniki wojenne, a na cmentarzach i pamiątkowych tablicach można było odczytać to samo. Wszędzie znajdowały się ślady istnienia ludzi, którzy umarli, zanim nadszedł ich czas.

Zjechałem na pobocze i wyłączyłem silnik. Kruchy spokój mojego umysłu roztrzaskał się w okamgnieniu,

zast piony przez dobrze znane symptomy - wilgotne dłonie, suche jak pieprz gardło, bolesne klucie w oł dku. Zdj łem czapk i skórzane r kawiczki, rozcapierzonymi palcami przesun łem po włosach i na moment zakryłem oczy dło mi. Lepkie palce pachniały olejkiem do włosów i wstydem, e znów tak łatwo poddałem si smutkowi; e po tych wszystkich terapiach słownych, ró nych sposobach leczenia i uprzejmo ciach, po kl - czeniu w twardej ławce podczas wieczornego nabo - e stwa wci nosiłem w piersi pop kane serce, które za nic nie chciało da si wyleczy .

To wła nie wtedy po raz pierwszy dostrzegłem jakie dr enie w powietrzu. Jakby rodzaj zniecierpliwienia. Wyt aj c wzrok, spojrzałem przez zamazan przedni szyb , lecz nie dostrzegłem niczego, co odbiegałoby od normy. Droga była całkiem pusta. Od pewnego czasu nikt ni nie szedł ani w jedn , ani w drug stron . Niemniej zauwa yłem jaki cie ruchu, jakie przesuni cie wiatła nad kraw dzi grzbietów górskich. Góry pochylały si nade mn złowieszczo, a stok sam zdawał si przybli a do mnie, pokryty wiekowym lasem i wieczn zieleni , i bezlito nie nagimi zim gał ziami drzew. Czy mogłem przeczuwa , jakie sekrety kryj si w ich cieniu?

Serce na moment przestało mi bi . Odkr ciłem szyb w oknie i cisza natychmiast otuliła mnie jak rozkołysana fala. Wyt yłem słuch, ale bez skutku. Znik d nie dochodziły adne ostrzegawcze kroki, echo głosów czy skrzypienie kół. Dopiero pó niej, kiedy i ju było po wszystkim, wpadło mi do głowy, e w tej ciszy czuło si co niesamowitego. Powinienem był co słysze ! Ryk buzuj cych pieców w Tarascon albo czkni cia znajduj cych si za moimi plecami fabrycz-

nych kominów. Tarcie metalu o metal albo pewne zawrozczenie linii kolejowej, która wiła si przez Haute Vallee. Huk wody na rzecznych progach. Ale w owej chwili słyszałem wył cnie cisz . Nieprzerwan cisz , jakbym był jedynym na wiecie człowiekiem, który pozostał przy yciu.

I wtedy to usłyszałem. Nie, nie usłyszałem. Wyczułem. Czyj szept, podobny do wist.

„Inni zas n li w pokoju, na zawsze odchodz c w ciemno ...”.

Wstrzymałem oddech.

- Kto tam jest?

Cz sto słyszałem w głowie cie głosu George'a, cho musz przyzna , e z upływem lat słyszałem go coraz słabiej. Ale to było co całkiem innego. Nios cy si w chłodnym powietrzu głos brzmiał znacznie l ej, był delikatny i subtelny. Czy to tylko odbicie? Echo słów, które kto kiedy wypowiedział w tym miejscu? Albo to ta dziewczyna, piewaj ca pod moim oknem w hotelu w Tarascon. Mo e jej piew w jaki sposób przedostał si tak wysoko w góry? A mo e to tylko wytwór mojej fantazji? Oczywi cie, e nikogo tu nie było, absolutnie nikogo. Sk d kto miałby si wzi na takim pustkowiu?

Nagie przekonałem si , e kurczowo zaciskam palce na kierownicy. Temperatura gwałtownie spadała; od południa zbli ało si co , co ju na pierwszy rzut oka przypominało ci kie od niegu chmury. Wewn trz samochodu tak e panował dotkliwy chłód. Szybko zakr - ciłem szyb , par razy rozprostowałem palce, a znów odzyskały sprawno , i cia niej okr ciłem szalikiem golf swetra z długimi r kawami, który miałem na sobie.

Zaj cie si praktycznymi sprawami było najlepsz drog ucieczki od niewygodnych my li. Pochyliwszy

si nad przewodnikiem z map , starałem si rozezna ,
gdzie wła ciwie jestem. Moim celem było Vicdessos,
znajduj ce si od Tarascon w odległo ci mniej wi cej
dwudziestu trzech kilometrów. Zamierzałem tam skr ci
i dojecha przez wioski do drugorz dnej drogi wiod cej
do Ax-les-Thermes. Dwaj kumple z moich rodzinnych
stron wybrali si tam na tygodniowe szusowanie na nar-
tach i zaproponowali, ebym wpadł do nich podczas
Bo ego Narodzenia. Ani nie przyj łem, ani nie odrzu-
ciłem zaproszenia, lecz teraz doszedłem do wniosku,
e w czasie wi t warto znale si w ród przyjaciół.
Od paru tygodni podró owałem zupełnie sam, wi c czy-
je towarzystwo na pewno dobrze mi zrobi.

Wyjrzałem na zewn trz. Je li mapa była dokładna,
to zdaje si , e jakim cudem udało mi si przegapi
skr t do Ax-les-Thermes. W dodatku pogoda wyra -
nie zmieniała si na gorsze, wi c pchanie si wy ej
w góry byłoby czystym szale stwem. Sło ce zd yło
ju znikn za chmurami, a niebo przybrało barw
zabrudzonego płótna. O wiele lepszym rozwi zaniem
był powrót na główn drog .

Przesun łem palcem po planowanej trasie. Je li
obliczenia były prawidłowe, to powinienem jecha
dalej jeszcze przez półtora kilometra albo dwa,
min wsie o nazwach Aliat, Lapege i Capoulet-dc-
-Junac, i wreszcie z powrotem znale si na drodze
do Vicdessos po drugiej stronie tego ła cucha niewy-
sokich wzgórz.

Zostawiaj c otwart map na fotelu pasa era,
wci gn łem r kawiczki i odpaliłem elektryczny
zapłon. Malutkie auto zabelkotało, wróciło do ycia
i po chwili ruszyło w dalsz drog .

BURZA



Ujechałem nie więcej niż półtora kilometra albo co około tego, kiedy zawierucha zła ona z deszczu zmieszanego ze śniegiem uderzyła w przedni szyb auta. Czym prędzej włączyłem wycieraczki, ale tylko rozsmarowały ci te lodem błoto, więc otworzyłem okno i sięgnęłem ręką, żeby wytrzeć najgorszy brud chusteczką do nosa.

Gwałtowny podmuch wiatru uderzył w przód auta. Momentalnie zredukowałem biegi z trójki do dwójki, bo doskonale zdawałem sobie sprawę, że opony nie wytrzymają, jeżeli śnieg zamieni się w lód. Na masce samochodu osiadł pojedynczy płatek śniegu, wielki jak sześciopensówka, a za nim drugi i następny. Upłynęło parę sekund - przynajmniej tak mi się wydawało - a już znalazłem się w samym środku śnieżnej nawałnicy. Śnieg wirował, kręcił się w spiralnych ciągach, zasypując dach auta i tłumiąc wszystkie dźwięki.

A potem do moich uszu doleciał odgłos, który do złudzenia przypominał grzmot, odbijający się echem w przestrzeni pomiędzy górami. Jakie jest prawdopodobieństwo, że nie tylko burza zdarzyła się w tym samym czasie? Czy to w ogóle możliwe? Kiedy

rozważałem tę kwestię, drugi grzmot zadudnił po dolinie, dzięki czemu pytanie stało się nieaktualne.

Z trudem przeciskałem się do przodu. Droga wydawała się coraz węższa; po jednej stronie wznosiły się szare ściany, po drugiej - kościelny przepaść skalny próg, na którym nagle urywał się las. Znowu rozległo się warczenie grzmotu, a potem trzasnęła błyskawica, ukazując na tle rozjarzonego elektrycznością nieba czarne sylwetki drzew.

Włączyłem reflektory, czując, jak opony z wysiłkiem utrzymują przyczepność na stromej drodze, kiedy zmagam się z zaciętym wiatrem, wciąż dokładniej z przeciwka. Przez cały czas towarzyszył mi pisk wycieraczek, które walczyły, by przesunąć się tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Przednia szyba wciąż zachodziła mgłą. Krąciłem głowę w nosie od zapachu wilgotnej wełny i skóry, spalin i mokrej wycieraczki pod stopami. Pochyliłem się, żeby po raz kolejny brzegiem rękawa wytrzeć szybę od rodu, lecz mój wysiłek poszedł na marne.

Wiedziałem, że czym prędzej powinienem znaleźć jakieś schronienie, ale w zasięgu wzroku nie było żadnych domów, żadnych ładów ludzkich siedlisk, nawet żadnej samotnej chaty pasterskiej. Tylko bezkresny obszar lodowatej ciszy.

W mojej głowie pojawiło się nagle wspomnienie z dzieciństwa. Oto stary pokój dziecienny na poddaszu. Zostawione na noc wiece zdęty się już wypalił, wciąż płacząc w ciemności, obudzony przez jakieś koszmary, i wołałam matkę, która nigdy nie przychodziła. Potem widzę twarz George'a, który siedzi w nogach łóżka; rozchyła zasłony, żeby wpłynąć do pokoju blask księżyca, i mówi mi, że nie ma się czego bać. Że nikt

nie może mi zrobić krzywdy. Nie obaj jesteście synami rodziny Watsonów, niepokonanymi i odważnymi. Nic nie może nas dotknąć, dopóki trzymamy się razem. I dopóki George był przy mnie, szczerze w to wierzyłem.

Ile lat mógł wtedy mieć? Jedenaście, dwanaście? Skąd wiedział, w jaki sposób pocieszyć małego, samotnego chłopczyka, który bał się ciemności - nie okazujcie mu przy tym zbyt wiele współczucia ani też za mało - i rozumiał, że nigdy więcej nie należy o tym wspominać?

- Synowie Watsonów - wymruczałem.

Tak rozmawiałem sam ze sobą, żeby podtrzymać się na duchu. Nie jestem przecież w żadnym rzeczywistym, fizycznym niebezpieczeństwie, powtarzałem sobie. Wystarczy, że będę trzymał nerwy na wodzy. Szansa, że piorun trafi akurat w samochód, są naprawdę minimalne, zwłaszcza że dookoła znajduje się mnóstwo wysokich drzew. A może ta burza robiła tylko sporo huków, a w rzeczywistości ci wcale nie była groźna, podobnie jak grzmoty? Ostatecznie grzmot nie jest niczym więcej, jak tylko produktem ubocznym wyjątkowo złej pogody. Nie ma się czego bać. Hałas nie może zranić, hałas nie zabija. Nie tak jak pociski czy gaz, jak bomby albo bagnety. George wiedział, jakiemu niebezpieczeństwu musi stawić czoło w każdej sekundzie każdego dnia. To, co mnie spotyka, jest niczym w porównaniu z tym, z czym on - z czym oni wszyscy musieli się zmagać.

Ci gnęłam tak swoje rozumowanie, ale gdzieś głęboko w głowie pojawiła się pewna myśl, która nie dawała mi spokoju. W ostatecznym rozrachunku odwaga nie uratowała George'a, nie uratowała żadnego z nich.

Je li pogoda jeszcze bardziej si pogorszy, droga szybko stanie si nieprzejezdna. Niebezpiecze stwo wygl dało coraz bardziej realnie, nie było wył cznie czyhaj cym w ciemno ciach cieniem. Na wierzchu tworzyła si ju warstewka cienkiego lodu. Jak e łatwo b dzie utraci kontrol nad pojazdem i run ponad kraw dzi w przepa .

Nawet je li nie zgin w katastrofie, to dosi gnie mnie chłód. Zimno potrafiło pokona nawet najsilniejszych m czyzn, jak cho by Franklina w Arktyce, Wilsona i Bowersa na Antarktydzie, Mallory'ego i Irvinga na Mount Evere cie. Umr uwi ziony na tym bezlitosnym pustkowiu, podobnie jak Scott, mój bohater z chłopi cych czasów. Ale inaczej ni w wypadku Scotta, który znajdował si o jedna cie dni drogi od bazy operacyjnej, nikt nie przyjdzie mnie szuka . Nikt nie wie, gdzie jestem.

Im dłu ej rozwa ałem swoj sytuacj , tym mocniej docierała do mnie ironia losu. Oto znajduj si w obliczu zapomnienia, z którym tak beztrosko flirtowałem zaledwie poprzedniego wieczoru u stóp Tour du Castella, a jednak zaledwie w dwadzie cia cztery godziny pó niej, gdy przeznaczenie samo wkroczyło do akcji, wyci gaj c do mnie pomocn dło , ja wcale nie chc umiera .

- Nie chc umiera .

Powiedziałem te słowa na głos i ze zdumieniem odkryłem, e to najszczerza prawda. Wtedy tu przede mn trzasn ła nast pna błyskawica, o wietlaj c stoj cy na poboczu drewniany znak.

Jak ostatni idiota szarpn łem za hamulec, co zaowocowało blokad przednich kół. Walcz c o zachowanie kontroli nad autem, zakr ciłem kierownic , ale

widocznie za ostro, bo poczułem, jak koła wysuwają się spod mnie. Ześlizgiwałem się, padłem na skrót wprost w kierunku prostopadłego urwiska. Coraz bliżej, bliżej próżni. I nagle usłyszałem ostry trzask. Znowu szarpnąłem kierownicę, tym razem w przeciwną stronę, przekręcając kierownicę o sto osiemdziesiąt stopni. Przypominam sobie, że w ułamku sekundy zdążyłem pomyśleć, czy właśnie nie tak wygląda koniec.

Jaka wystająca z podwozia część wbiła się niczym kotwica w chropowatą powierzchnię drogi. To wyhamowało moje przedkoło, ale niewystarczyło. Siła rozprędu była zbyt wielka. Wciąż na odepniętym leciałem ku przepaści.

To było to.

Wyrzuciłem obie ręce wysoko w górę. Poczułem, że silnik przestał pracować, potem rozległ się huk i na moje kolana posypało się szkło. Nagle wszystko zwolniło - ruch, siła przedkoła, dźwięk. Przed oczyma przelatywały mi oderwane fragmenty tynku. Widziałem rozmazane wizerunki rodziców, migawkowe zdjęcia dziewcząt, w których usiłowałem się zakochać. Odbicie listopadowego wiatła w gładkiej powierzchni płyty kamiennej, znajdującej się w jednej z kaplic katedry w Chichester. Te płyty uczczonego pamięć poległych z Królewskiego Regimentu Hrabstwa Sussex. Pamięć George'a.

Zastanawiałem się, czy mój brat również widział śmierć - jak cię, który wyszedł mi na spotkanie? Czy rozpoznał ten ostateczny moment, kiedy nadeszła jego pora? Spoglądając wstecz, dziwi się, dlaczego takie łagodne i wyciszone myśli krążyły mi wówczas po głowie. Nie było w nich paniki ani przerażenia, tylko wszechobecny spokój. Odniosłem wrażenie,

e wiatło zaczyna przygasa , e czuj puszyst mi k-
ko , jakby muskały mnie czarne skrzydła, i obudziła
si we mnie nadzieja, e George w chwili odej cia
tak e do wiadczył tej osobliwej przyjemno ci. e nie
czuł strachu, a przede wszystkim nie czuł bólu. Tylko
ulg . I rozumiał, e wraca do domu.

Nagle w brutalny i jaskrawy sposób wskoczyłem
z powrotem w rzeczywisto . Austin uderzył w jeden
z głązów ustawionych wzdłu kraw dzi drogi, eby
ostrzec podró nych przed przepa ci . Uderzył przo-
dem maski, i to z tak sił , e pokrywa silnika całkiem
si wypaczyła. Przeszył mnie ból, bo w ułamku sekun-
dy głowa wystrzeliła mi do tyłu, a potem poleciała
w przód, prosto na desk rozdzielcz .

Pó niej nie czułem ju nic.

STRA NICZKA ZE WZGÓRZ



Szept. Usłyszałem szept, szmer głosów przemykających ci mi dzy górami.

„Jestem ostatnia, ostatnia, ost...”.

Słyszałem je ponad wyciem wicheru, czasami z daleka, czasami z bliska - z tak bliska, że miałem wrażenie, i czuj na policzku czyj oddech.

„Inni zasnąli w pokoju, na zawsze odchodzą w ciemno ...”.

- Tutaj - spróbowałem wyszeptać, ale z moich ust nie wydobył się nawet najcichszy dźwięk.

Wreszcie rozległ się szloch, rozpaczliwe ocieranie się skały o skałę i okropny płacz. Piano, pianissimo, moriendo - jak ostatnie tony dzwonu wzywającego cegomieszkiaków na wieczorne nabożeństwo.

- Tu jestem - wymruczałem. - Proszę, niech mi ktoś pomoże.

Nie jestem pewien, jak długo znajdowałem się w tym stanie - niezupełnie przytomny, a jednocześnie nie całkiem pogrążony w nie wiadomo co. To uczucie nieco przypominało wrażenia, jakich doznaje się podczas dryfowania pod wodą w publicznym kąpielisku - powoli, powoli wynurzając się z głębi bokiej, zielonkawej przestrzeni w kierunku bli-

szej, coraz bliżej powierzchni i wiatła. Najpierw wrócił mi wzrok, potem dotyk, a następnie zdolność mówienia. Poczułem koniuszki palców, zimną biel przy oczach, paluchy ukryte w czubkach butów.

I już w następnej chwili dławiałem się, kasłałem. Wracała mi wiadomość. Mogłem wyczuć, jak moje serce z sykaniem pompuje krew i jak huczy pod żebrami niby werblowy bęben. Z trudem przełknąłem ślinę. Kiedy podniosłem rękę, żeby otrząsnąć policzki, ujrzałem, że koniuszki palców u rąk kawią się czerwono. A gdy opuściłem oczy, przekonałem się, że na moich kolanach spoczywa mieszanka niegu, szkła i krwi, która połyskuje, a mimo to wydaje się matowa.

Pozwoliłem sobie oprzeć się ramionami o tył fotela. Nawet ten pozornie niewielki ruch pogłębienie przechylenie samochodu; zdałem sobie sprawę, że najwyższy czas się stąd wynosić. Na razie zdołał jako balansowa, ale Bóg raczy wiedzieć, jak długo to jeszcze potrwa. Dopiero później dowiedziałem się, że wyskoczył tłumik i że wystający metalowy czubek zahaczył o ukryte pod niegiem kamienie.

Miałem poczucie, że minuty odliczane są wstecz do jakiegoś punktu zero. Zerknąłem na tarczę zegara na desce rozdzielczej. Gdy patrzyłem na niego ostatnim razem, dochodziła druga. Teraz szkiełko zostało roztrzaskane, a wskazówki opadły bezwładnie na wpół do szóstej.

W skroniach czułem nieprzyjemne pulsowanie. Postarałem się uspokoić nerwy, a następnie pochyliłem się w bok i odblokowałem klamkę. Przez szparę do rodka wdarł się porywisty wiatr, z powrotem uderzając drzwiami o błotnik, co zakotyło samochodem.

Ostro nie wystawiłem na zewnątrz trzyczęści nogi, potem drugi, ledwie wiedząc o ulgi, jakiej doznałem, przekonawszy się, że mogę to zrobić. Podciągnąłem się do pozycji stojącej, zrzuciłem z kolan resztki przedniej szyby, a następnie chwiejnie odsunąłem się od auta. Wiatr uderzył w moje uszy z taką siłą, i musiałem wyłożyć wszystkie siły, by zachować równowagę, ale w końcu jakoś udało mi się zatrzasnąć drzwi.

Kulę się przed dotkliwym chłodem, przesunąłem ręką po karoserii, żeby ocenić rozmiary zniszczenia. Austina kupiłem na początku tego roku z całkiem skromnego funduszu, jaki mi został po zapłaceniu podatku spadkowego od majątku mojego ojca. Dla mnie ten wóz miał wartość zarówno finansową, jak i sentymentalną, ponieważ stanowił ostatnie ogniwo łańcucha z ojcem.

Dobra wiadomość była taka, że nie zostałem poważnie ranny, a samochód nie przepadł na dobre. Zła - że nie udało mi się wydostać go stąd bez pomocy. Dookoła walały się porozbijane elementy, a pod podszewkami moich butów skrzypiały odłamki szkła. Pokrywa silnika wypaczyła się, a chłodnica zapadła do rowka jak połamane drewno. Jeden z reflektorów oderwał się na dobre, drugi zaś wykrzywił się, wygiął i teraz zwisał smutnie, przyczepiony do maski na najcieńszym z przewodów.

Ukląknąłem na niego. Z podwozia wystawały jakieś metalowe części i kawałki rury. Wał korbowy był oderwany, a próg sterczał pod dziwnym kątem, jak paznokcie oderwane od ciała.

Takiego zimna jeszcze nigdy nie miałem okazji doświadczyć. Nieg przestał padać, ale jego miejsce zajęła kłębiąca się mgła, która gęstniała z każdą

chwil . Otulała mnie szczelnym kokonem, wkradaj c
si podst pnie do nosa, ust i gardła. Tłumiła wszel-
kie d wi ki, przez co cała okolica nabrała jakiego
złowrogięgo wygl du. Zdeformowane drzewa i skały
zdawały si przemienia w mityczne bestie.

Naci gn łem czapk tak nisko, jak tylko si dało,
ale nawet teraz koniuszki uszu pozostawały na wierz-
chu. Spodnie wystaj ce spod płaszczka zd yły ju
nasi kn wilgoci i nieprzyjemnie ocierały mi si
o łydki. Wyci gn łem chusteczk , eby przyło y
j do rozci tego policzka; na jasnoniebieskiej baweł-
nie momentalnie rozkwitła czerwona rozgwiazda. Nie
bolało, ale wiedziałem od George'a, e rany rzadko
kiedy bol od razu. „Szok jest najlepszym rodkiem
znieczulaj cym, wymy lonym przez matk natur ”,
powiedział kiedy . Ból przychodzi pó niej.

Nie mogłem zrobi nic wi cej, jak tylko zostawi
tu samochód i pój szuka pomocy. Bałem si zaryzy-
kowa i wyj rzeczy z walizki, bo przecie samochód
w ka dej chwili mógł si przechyli ponad kraw dzi
i run w przepa .

Rozejrzałem si dookoła, eby oceni swoje poło-
enie. Gdzie wła ciwie byłem? Wci bli ej Tarascon
ni Videssos? Widoczno w obydwu kierunkach
była ograniczona do kilku kroków. Droga, któr prze-
jechałem, całkiem znikn ła we mgle, a drog przede
mn pochłaniał zakr t.

Wtedy przypomniałem sobie o drewnianym znaku
na poboczu, który mign ł mi w ostatnim rozbłysku
błyskawicy. Od dłu szęgo czasu nie min łem adnego
domu, a trudno było mie nadziej , e znajd jaki ,
je li wejd wy ej w góry, wi c najbardziej sensow-

nym rozwi zaniem wydawało si wróci i postara si odszuka ten znak. By mo e wskazywał jaki szlak, a szlak musiał dok d prowadzi ; nawet je li nie do wsi, to w lesie b d bardziej osłoni ty od zimna ni na odkrytym górskim zboczu.

Zamkn łem drzwi od strony kierowcy - bardziej z przyzwyczajenia ni z konieczno ci - a potem wcisn łem kluczyki gł boko do kieszeni, postawiłem kołnierza płaszcza, najcia niej jak si dało owin łem szalik dookoła szyi i ruszyłem drog w dół.

Szedłem i szedłem, brn c w niegu jak Dobry Król Wencelas. Cały wiat zmienił si w jedn wielk poła bieli. Wszystko zostało odarte z kolorów, nie było wiatła ani cienia, a w zasi gu wzroku nie dostrzegalem ani kawałka nagiej ziemi. Mgła zawisła bez ruchu mi dzy konarami drzew, ale przynajmniej wiatr nieco zel ał. Po burzy zapanowała cisza. Spokój.

Wreszcie dostrzegłem tamten znak. Odgarn łem nieg z poprzecznej deski, ale pod nim nie było adnej informacji, jedynie strzałka skierowana w dół. Nie wygl dało to obiecuj co, ale wydawało si jedyn opcj , jak w tej chwili miałem.

„Dok dkolwiek pójdzie...”.

Znowu to usłyszałem. Ten sam beztroski głos, d wi czny i dziwny, który niósł si w lodowatym powietrzu.

„Jestem ostatnia, ostatnia...”.

Odwróciłem si wokół własnej osi, szukaj c jego ródła, ale nie udało mi si nikogo dostrzec. Uznałem, e skoro nieg i góry potrafi płać figle oczom i zmienia perspektyw , to czemu nie miałyby oddziaływa tak e na zmysł słuchu? Tutaj nie ma nikogo poza mn , powiedziałem sobie. Lecz mimo to czułem,

e jesieni obserwowany. Małe włoski na karku stanły mi dba.

Ł znowu przyłynął do mnie ów głos, słyszalny ponad gwizdaniem wiatru. Ten sam trudny do odróżnienia szept.

„Inni zasnąli w pokoju, na zawsze odchodzą w ciemno”.

Wpatrzyłem się w zamglony horyzont w kierunku, skąd dobiegał. I tym razem mógłbym przysięść, że kogoś widziałem -jakieś poruszenie - w odległym końcu doliny, tuż ponad linię drzew. Czyżby sylwetkę, ledwie widoczną na tle bezbarwnego nieba. Serce we mnie zamarło.

- Kim jeste?! - wrzasnąłem, jakby ów ktoś mógł mnie usłyszeć z takiej odległości. - Czego chcesz?!

Jednak tamta postać zniknęła - zakładając, że w ogóle była. Chaos, jaki zapanował w mojej głowie, sprawił, że przez dłuższą chwilę stałem w miejscu. Czy było to złudzenie spowodowane szokiem? Opóźniona reakcja na wypadek? W jaki inny sposób da się to wytłumaczyć? W takim odosobnieniu każdy człowiek może uważyć, że dostrzega obecność innych ludzkich istot wyłącznie po to, aby nie być sam.

Zwlekałem, z jakiego powodu nie mogłem stamtąd odejść, a w końcu chłód zdobył nade mną przewagę. Wtedy, obejrzawszy się ostatni raz przez ramiona, wstąpiłem na ciękię prowadzącą w las, zostawiając za sobą ten głos. Jej głos.

Przynajmniej tak mi się zdawało.

CIE KA PRZEZ LAS "



cie ka okazała si zaro ni ta i stroma, szeroka na tyle, e mogły na niej si zmie ci dwie id ce obok siebie osoby. Ale, tak jak si spodziewałem, baldachim z wiecznozielonych gał zi chronił mnie przed niegiem. Udało mi dostrzec zamarzni te koleiny, pozostawione przez w ski wózek, i lad kopyt konia albo mo e wołu. To nieco poprawiło mi nastrój. Przynajmniej miałem pewno , e kto t dy przechodził, w dodatku do niedawno.

Wkrótce znalazłem si na rozstaju dróg. cie ka prowadzi ca w lew stron wygl dała na bardziej ucz szczan . D by i bukszpany pokrywała gruba warstwa szronu. Wszystko dookoła pachniało wilgoci - li cie na cie ce i kłuj ce igły jodeł. cie ka na prawo była do podobna, z bukszpanem i srebrzyst brzo , lecz wydawała si bardziej stroma. Zamiast biec zygzakami, opadała prosto w dół górskiego zbocza.

Zerkn łem na swoje buty. Fitwellsy były reklamowane jako obuwie odpowiednie na ka de warunki atmosferyczne, cho trudno przypuszcza , by producenci spodziewali si , e kto b dzie w takim obuwiu uprawiał wspinaczk wysokogórsk . Jednak na razie jako wytrzymały, cho zi b zd ył si

ju przez czy przez podeszwy, a palce u stóp zmarzły mi na ko , cho wło yłem dwie pary wełnianych skarpet. Tak samo wygl dała sprawa z palcami u r k. Dół nogawek spodni coraz bardziej lepił mi si do nóg, wi c pomy lałem, e im pr dzej wydostan si z tego zimna, tym lepiej.

Wybrałem cie k wiod c na prawo, przypuszczaj c, e oka e si mniej kr ta ni ta prowadz ca w lew stron . Czuło si na niej nastrój opuszczenia, jakie wra enie zaniedbania i bezruchu. Nie było odcisków stóp, kolein zostawionych przez wóz, adnego ladu, e kto deptał mierzw na dnie. Nawet powietrze wydawało si tu chłodniejsze.

Podej cie miejscami było tak strome, e musiałem wysoko unosi kolana i chwytan si wisz cych nade mn gał zi, eby nie straci oparcia dla nóg.

Dno cie ki przecinały rozro ni te korzenie starych drzew, a kamienie, kopce ziemi i zmurszałe, liskie od lodu konary wystawały po obu stronach spomi dzy g stego poszycia. Atmosfera stawała si coraz bardziej klaustrofobiczna. Poczulem si schwy tany w pułapk , jakby las sam przybli ał si do mnie ze wszystkich stron. W tym pejza u pojawił si element groteski - wszystko wydawało si znajome, lecz jednocze nie sprawiało wra enie nienaturalnie zniekształconego.

Czulem, e za chwil nerwy wezm gór nad roz s dkiem. Nawet zwierz ta zdawały si unika tej niesamowitej, pogr onej w ciszy głuszy. Nie odezwał si aden ptak, aden lis ani królik nie przemykał w ród le nego poszycia. Wydłu yłem krok, id c szybciej - coraz szybciej - w dół zbocza. Kilka razy zdarzyło mi si poruszy jaki kamie , który z hurgotem zwałił

si w półmrok poni ej. Coraz cz ciej wyobra ałem sobie dziwaczne kształty, osobliwe sylwetki skrywaj ce si za ka dym drzewem, czyje oczy, ledz ce z ciemno ci ka dy mój krok... Jaki nieproszony, lecz uporczywy głosik w gł bi mojej głowy dopytywał si , czy mo e co wi cej ni burza powstrzymało ludzi przed zapuszczaniem si w te rejony.

W najgł bszym lesie wszelkie wiatło znikn ło do ko ca. Mgła przes czała si mi dzy drzewami, unosz c si i wy lizguj c z pni i rozmaitych dziur, jak drapie ne zwierz poluj ce na sw ofiar . W powietrzu wisiała absolutna, niczym niezm cona cisza.

I nagle usłyszałem trzask gał zki, przygniecionej czyj stop . Zamartem w pół kroku i wyt yłem słuch. Znów doleciał do mnie d wi k, tym razem wyra ny chrz st rozgniatanego wiru i zeschtłych li ci. Serce zamartło mi na moment. Wiedziałem, e w Pirenejach mo na napotka dzikiego ody ca, ale czy zdarzaj si tu równie nied wiedzie albo wilki?

W popłochu rozejrzałem si w poszukiwaniu czego , co mogłoby posłu y mi do obrony, ale zaraz skuliłem si w sobie. Czy naprawd mogłem stan do walki z jak besti i mie nadziej , e wyjd z tego obronn r k ? Jedynym ratunkiem - je li faktycznie b d miał pecha napotka na swej drodze jakie dzikie zwierz - było pozosta w absolutnym bezruchu i mie nadziej , e bestia nie poczuje mojego zapachu. W przeciwnym wypadku nale ało salwowa si ucieczk .

Znowu trzasn ła gał , tym razem znacznie bli ej ni poprzednio. To pobudziło mnie do działania; rzuciłem okiem dookoła, czy w pobli u przynajmniej jest jakie drzewo, na które w ostateczno ci mógłbym si wspi , ale nie dostrzegłem adnego, którego gał -

nie zwisałyby wystarczająco nisko nad ziemią. I wtedy z wielką ulgą usłyszałem echo ludzkich głosów. Chwilę później z mgły na niebieskim odcinku niebieski wywrzysnęły się dwie niewyraźne postaci. To byli mężczyźni, dwaj mężczyźni, z których każdy dźwigał na ramieniu strzelbę. Oprócz tego jeden z nich niósł pakiet bekasów, a niewidoczne czarne oczy ptaków błyszczały jak szklane paciorki.

- Dziękuję Bogu - westchnąłem.

Na szczęście to nie niedźwiedź ani wilk. Zastanawiam się w przelocie, czy może włącznie ich głosy słyszałem wcześniej, chociaż z wyglądu obu, wydawało się to całkiem niemożliwe, na cały głos wykrzyknąłem słowa powitania. Ostatni rzecz, jakiej było mi trzeba, to zostać w tym za dzikie zwierzę, którego sam się obawiałem, i zakochanie w brzuchu.

- Salut! *Quel temps!*

Nagle przyszło mi do głowy, że ci mężczyźni mogą być kłusownikami i być może zdenerwują się, że doniosłem na nich do władz, więc gdy się zbliżyli, uniosłem ręce na znak, że nie mam złych zamiarów.

- *Messieurs, bonjour a vous!*

Skinął głowami, ale jeden z nich nie odezwał się. Pomiędzy brzegiem ich futrzanych czapek a naciągami tymi na usta i nosy szalikami widoczne było jedynie wski pasek skóry dookoła oczu. Mimo to zauważyłem, że odnoszą się do mnie podejrzliwie. Włącznie nie mogłem ich obwiniać. Pewnie moja osoba stanowiła dozwyczajony widok.

- *Je suis perdu. Ma voiture est crevee. La - haut.*

Machnąłem ręką za siebie w kierunku drogi, usiłując przy tym wytłumaczyć, co mi się przydarzyło

- nie yca, wypadek... Sko czyłem na pytaniu, gdzie w okolicy mógłbym *znale* pomoc. Na pocz tku aden z nich nie zareagował. Czekałem. W ko cu ten wy szy odwrócił si i wskazał w dół cie ki. Prowadzi do wioski zwanej Nulle, mrukn ł burkliwym głosem, zachrypni tym od nadmiaru tytoniu i dymu. Potem wyci gn ł w gór obie r ce i po kolei zgi ł wszystkie dziesi palców - raz i jeszcze raz. Zmarszczyłem brwi, domy laj c si , e chce mi powiedzie , ile minut marszu mnie czeka. Przynajmniej tak mi si wydawało, e o to mu chodziło.

- *Vingt minutes?*

Przytakn ł, a nast pnie przyło ył palec do ust. U miechn łem si na znak, e rozumiem. Czyli jednak polowali bez zezwolenia.

- *Oui, oui. Je comprends. Secret, oui.*

Znów skin ł głow i rozdzielili my si . Oni kontynuowali w drówk w gór cie ki, ja za ruszyłem na dół, czuj c, e ta krótka wymiana zda w niewytłumaczalny sposób poprawiła mi nastrój. Po niedługim czasie nachylenie zbocza wyrównało si i znalazłem si na skraju niewielkiego, płaskiego terenu, sk d rozci gał si widok na le c ni ej dolin , która prowadziła do majacz cego na horyzoncie ła cucha gór. Niebo wydawało si tu ja niejsze, a na polach nie było niegu, jedynie cienka warstewka szronu na zmarzni tej ziemi. Za rz dem nagich drzew dostrzegłem oznaki ycia - zwini ty w tr bk słup dymu, który w kunsztownych girlandach pi ł si ku niebu.

- Dzi ki Bogu - westchn łem ponownie.

Wioska usadowiła si w zagł bieniu pomi dzy górami, które otaczały j ze wszystkich stron. Ujrzałem pochyłe dachy, kryte czerwon dachówk , szare,

kamienne kominy, a po rodku, ponad dachami zabudowa, wysz od nich wieko cioła, zakoczon iglic. Rany krokier ruszyłem przed siebie, jako punkt orientacyjny obierajc sobie iglic i kocielny dzwon. Ju wyobrałem sobie uspokajajcy brzknaczy w miejscowych gospodach i barach, grzechotanie sztu ców w kuchniach i gwar ludzkich głosów.

Na najdalszym kra cu łki znajdował si mostek. Skierowałem si w tamt stron i szybko przeszedłem na drugi brzeg, zdumiewajc si na widok płyncej wody. Zawsze przypuszczałem, e na tych wysoko ciach wszystkie strumyki i potoki zamarzaj od listopada do marca. Ale woda wawo p dziła przed siebie, chlupocz c pod mostkiem i rozlewajc si na brzeg. Usłyszałem piskliwy głos kocielnego dzwonu - ałosn nut, która przyłyn ła do mnie w zimnym powietrzu.

Jedno... Dwa... Trzy uderzenia.

Zdumiałem si, e tak niewiele czasu min ło, odk zostawiłem samochód na drodze. Ale tak samo jak ten drugi m czyzna wiedziałem, e nasze do wiadczenia potrafi zmienia kształt, by wypełni sob przeznaczony im czas. Łatwo było uzna, e szok w połczeniu ze zł pogod zakłóciły moje poczucie upływu czasu.

Słuchałem, dopóki d wi k dzwonu nie zamarł, a pó niej zszedłem z mostu i ruszyłem na ukos przez łk. Tutaj jesie jeszcze nie zrezygnowała całkowicie ze swojej władzy nad ziemi. Zamiast szarego pustkowiecia i bieli górskich cie ek ujrzałem czerwie i mied opadłych li ci. W ywopłotach gdzieniegdzie mieniły si male kie plamki niebieskich, ró owych i ółtych kwiatków, które wygl dały jak confetti

rozrzucone na ko cielnym dziedzi cu po zako czeniu lubu. Zauwa yłem nawet krzak arnowca i wybijałe wysoko jesienne maki. Jaskrawa czerwie odbijała si od pobielonej mrozem trawy jak plama wie ej krwi.

Ł ka ust piła miejsca gliniastej drodze, na której mógł si zmie ci wóz albo samochód. Było na niej do lisko i raz czy dwa poczułem, jak buty mi si rozje d aj , ale jako udało mi si zachowa równowag .

Wreszcie doszedłem do niedu ej, drewnianej tabliczki, na której widniała informacja, e oto znalazłem si w Nulle. Zawahałem si , spogl daj c przez rami na wzbijaj ce si w niebo góry, okryte płaszczem lasów, które ostro odcinały si od zimowego nieba. Ogarn ła mnie nagła niech na my l, e musz je zostawi . Konieczno znalezienia sobie kwatery, wyja nianie po raz kolejny kłopotliwego położenia, w jakim si znalazłem, organizowanie pomocy w wydobyciu samochodu - wszystko zdawało si znacznie przekracza moje mo liwo ci.

Poza tym było co jeszcze. Przez ostatnie pi lat wiele razy zastanawiałem si nad tamt chwil , ale doprawdy wci nie mam poj cia, sk d instynktownie wiedziałem, e nad t wiosk zawisła jaka chmura, e spowijaj smutek... Co było nie w porz dku, co si wykrzywiło, jak le powieszony na cianie obraz.

Potrz sn łem głow . Moja sytuacja nie pozwalała na wyszukiwanie usterek. Byłem zzi bni ty i zm czony. Kiedy ju znajd kwater , na pewno zostanie mi do czasu na roztrz sanie wydarze minionego dnia. Wepchn łem gł biej r ce do kieszeni i wkroczyłem do wioski.

WIOSKA NULLE



Najwyraźniej burza przeszła nad wioską, nie wyrzuciła w niej poważniejszych szkód, bo na drodze i dachach nie było ani śladu śniegu.

Szedłem wolno, starając się ocenić wielkość osady. Po drodze minęłam kilka niskich budynków, które wyglądały na szopy albo pomieszczenia dla zwierząt. Krople zamarzni tej wody wisały na rynkach w równych rzędach, kierując ku zamarzni tej ziemi ostre jak szczyty sople lodu. Jednak nie zależnie od przeraźliwego zimna wioska wydawała się dziwnie wymarła. Nie dostrzegłem nigdzie chłopców z wózkami dostawczymi, którzy powinni rozwozić po domach mleko i masło. Nie było śladu pocztowego furgonu. Od czasu do czasu w oknach domów mignęły mi jakieś światła, przecinając smugi wiatła, która wylewała się spomiędzy niedomkniętych okien, ale nikt nie wychodził ani nie kręcił się na zewnątrz. Raz wydawało mi się, że słyszę za sobą czyjeś kroki, ale gdy się obejrzałem, ulica była pusta. Inne odgłosy zdarzały się rzadko - szczekanie psa albo rytmiczne uderzanie drewna o kamienne kostki - i cichły we mgle równie szybko, jak się rozlegały. Po chwili zaczynałem się zastanawiać,

czy naprawdę je słyszałem, czy były tylko tworem mojej wyobraźni.

Szedłem dalej. Wreszcie moje uszy pochwyciły dźwięk, który do złudzenia przypominał beczenie owcy, choć wiedziałem, że w grudniu to całkiem niemowlę. Mówiono mi przecież o obchodzonym w tym rejonie dwukrotnie w ciągu roku *fête de transhumance* - we wrześniu, kiedy ludzie prowadzili stada na zimowe pastwiska do Hiszpanii, i w maju, dla uczczenia ich szczęśliwego powrotu. Na całym obszarze dolin i wąwozów rzek w wyższych rejonach Pirenejów te dwa wydarzenia na stałe wpisane były do rocznego kalendarza i należały do długoletniej tradycji, którą mieszkańcy uważali za powód do dumy. Nieraz słyszałem określenia hiszpańskich zboczy jako *cote soleil*, a francuskiej strony gór jako *cote ombre*. Słoneczny blask i cień.

W miarę jak zbliżałem się do centrum wsi, domy stawały się coraz solidniejsze, a droga była w coraz lepszym stanie. Jednak dalej nie dostrzegłem ani śladu ludzkiej obecności. Na ścianach domów wisiły podniszczone tablice z ogłoszeniami reklamującymi mydło albo wytwarzane domowym sposobem papierosy, nalewki oraz paskudne kable, rozciągane pomiędzy kolejnymi budynkami. W Nulle wszystko wydawało się jednostajne i zrobione bez entuzjazmu. Kolory plakatów zdęły się wypłowieć i zblaknąć, papier odłaził w narożnikach, a z metalowych wsporników, które przytrzymywały kable, sypały się płatki rdzy. Jednak w tym bezruchu popołudnia i w atmosferze zubożenia było coś, co szalenie mi się podobało - jak nigdy modna fotografia, która z upływem lat zdęła się zestarzeć i zniszczyć.

Mo e to dziwne, ale w tej zapomnianej i przesi kni -
tej atmosfer minionych dni wioszcynie czułem si
jak we własnym domu.

Do tego czasu zd yłem ju doj do samego cen-
trum, Place de l'Eglise. Nasun łem gł biej czapk
- nieg zd ył ju przez czy si a do otoku i teraz
od wilgoci nieprzyjemnie sw działa mnie czoło
- i postawiłem kołnier. Na samym rodku placy-
ku znajdowała si kamienna studnia. Na wygi tym
w łuk, misternie kutym rusztowaniu wisiało wiadro
do czerpania wody. Z miejsca, gdzie si zatrzymałem,
wida było bistro-café, aptek i sklepik z papierosa-
mi. Wszystkie wydawały si zamkni te na głucho.
Stora nad kafejk była podniszczona i lu no zwisała
ze ciany, jakby nawet ona ju dawno straciła wszelk
nadziej . Jeden bok placyku wypełniała ciana ko -
cioła, któr chronił rz d platanów. Ich srebrn kor
pokrywała sie drobnych plamek, podobnie jak skó-
r na dłoniach starego człowieka. Nawet one rozta-
czały wokół atmosfer smutku i opuszczenia. Lamy
na ulicy wieciły ju jasnym blaskiem. Powiedziałem
„lamy”, lecz tak naprawd były to staromodne *flam-
beaux* - prawdziwe pochodnie ze smoły, pal ce si
na wolnym powietrzu. Strzelaj ce w gór iskry odbi-
jały si poprzez nagie gał zie drzew na kamiennym
bruku gmatwanin cieni.

Mój wzrok przyci gn ł w ski budynek, nieco wi k-
szy od pozostałych, zaopatrzony w drewnian tablic
c . Czy to pensjonat, czy mo e hotel? - pomy lałem.
Szybko przeszedłem na ukos przez plac i wspi łem
si po trzech kamiennych schodkach prowadz -
cych do niskich drewnianych drzwi, obok których
wisiał dzwonek z br zu. Przywi zany do niego gruby

sznurek obracał się jak fryga w strudze zimnego powietrza. Namalowana rycinie tabliczka nad drzwiami zawiadamiła, jak nazywają się właściciele tego domu: M & Mme GAŁY.

Zawahałem się, całkiem wiadomy fakt, i wyglądam do podejrzenia. Co prawda zacięła cię na policzku przestała już krwawić, ale na kołnierzu ciemniały kropelki zaschniętej krwi, ubranie było przemoczone do suchej nitki, a poza tym nie miałem z sobą żadnego bagażu, który mógłby przemawiać na moją korzyść. Rozprostowałem szalik, wepchnąłem głębiej do kieszeni płaszczka poplamione chusteczki i rękawiczki, a następnie poprawiłem czapkę.

W końcu pociągnąłem za dzwonek, nasłuchując, jak jego dźwięk rozlega się gdzieś w głębi domu. Z początku nic się nie wydarzyło. Wreszcie usłyszałem czyjeś kroki, które zbliżyły się do mnie, a potem zaczęły odsuwać się rygli.

Za drzwiami wyjrzał staruszek z wystającymi zębami, ubrany w koszulę z małym kołnierzykiem, kamizelkę i ciemne spodnie z brązowego drelichu. Aureola białych włosów otaczała pomarszczoną, ogorzałą twarz.

- *Oui?*

Spytałem, czy mógłbym tu dostać pokój na jedną noc. Monsieur Gały — przynajmniej tak przypuszczałem — zmierzył mnie uważnym spojrzeniem, lecz zachował całkowite milczenie. Przyjąłem, że winna za to ponosi mój kulawy francuski, więc wskazałem na swoje przemoczone ubranie, ranę na policzku i zacząłem tłumaczyć, że w górach przydarzył się mi wypadek.

- *Une chambre - pour ce soir seulement.*

Nie odrywaj c oczu od mojej twarzy, wrzasn ł przez rami w gł b domu:

- *Madame Gały, vicns ici!*

Z pogr onego w mroku korytarzyka wynurzyła si przysadzista kobieta w rednim wieku, stukaj c drewnianymi sabotami o wyło on płytkami podłog . Miała siwiej ce włosy, uczesane z przedziałkiem, odgarni te z czoła i ci gni te w jeden ciasno spleciony warkocz. To przydało jej nieco surowo ci, wzmocnionej przez fakt, e z wyj tkiem nie nobiałego fartucha od stóp do głów ubrana była na czarno. Nawet grube, wełniane po czochy, wystaj ce spod długiej do połowy łydki spódnicy, były zupełnie czarne. Jednak gdy popatrzyłem w twarz madame Gały, ujrzałem szczere, otwarte spojrzenie i przyjazne piwne oczy. U miechn łem si , a ona odwzajemniła u miech.

Gały machn ł r k , ebym opowiedział wszystko jeszcze raz. I znów zacz łem recytowa litani nie-szcz , które sprowadziły mnie do Nulle. Na wszelki wypadek nie wspomniałem o spotkaniu z my li-wymi.

Z ulg stwierdziłem, e madame Gały zdawała si wszystko rozumie . Po krótkiej, intensywnej konwersacji z m em, prowadzonej w dialekcie, którego za nic nie mogłem zrozumie , o wiadczyła, e owszem, mog zaoferowa mi pokój na t jedn noc. Obiecała tak e, e postara si znale kogo , kto mógłby jutro pojecha ze mn w góry i pomóc w odzyskaniu samochodu.

- Wi c nie ma nikogo, kto mógłby si teraz tym zaj ? - spytałem.

Ze skruszon min wzruszyła ramionami i gestem wskazała gdzie ponad moim ramieniem.

- Przykro mi, ale jest już zbyt późno.

Obejrzałem się i ku memu zdumieniu stwierdziłem, że w ciągu tych kilku minut naszej rozmowy zmierzchnął skrawek resztki dnia. Właśnie nie zamierzałem wygłosić jakiejś uwagi na ten temat, kiedy madame Gały powiedziała, że tak czy owak, ten szczególny dzień grudnia - *la fête de Saint-Etienne* - jest najważniejszym w tym ciągu całego roku, a jego obchody się gajczą czternastego stulecia. Co prawda nie rozumiałem wszystkiego, co do mnie mówiła, ale udało mi się zrozumieć, że bardzo jej przykro, ale wszyscy we wsi są zajęci przygotowaniami do wieczornych uroczystości.

- *Il n'y a personne pour votre aider, monsieur.*

Uśmiechnąłem się.

- W takim razie niech będzie jutro.

Muszę przyznać, że znacznie się uspokoiłem. Bez wątpienia to właśnie nie było przyczyną dziwacznej, niecodziennej ciszy, która panowała we wsi; to dlatego pozamykane były wszystkie sklepiki, a na rynku paliły się owe cudaczne *flambeaux*.

Skinąwszy, abyem szedł za nią, madame Gały ze stukotem powdrowała w głąb korytarza. Za naszymi plecami monsieur Gały zamknął drzwi i starannie je zaryglował. Kiedy zerknąłem przez ramię, wciastał na swoim miejscu z opuszczonymi wzdłuż ciała rękoma i spojrzał za nami z wyraźną dezaprobatą. Z jakiego powodu pojawienie się niespodziewanego gościa wzbudziło jego niezadowolenie, ale nie zamierzałem zawracać sobie tym głowy. Byłem tu i tu miałem zamiar zostać.

Na cianie dostrzegłem okrągły walec czarny, ale w wieszakach na suficie oprawkach brakowało

arówek. Zamiast tego korytarz oświetlony był lampami naftowymi, a wykrzywione lustrzane osłony powiększały optycznie niewielkie płomienie.

- Nie macie tu prądu?

- Sie jest dosyć zawodna, zwłaszcza w zimie. Przewodność czasami jest, a czasem go nie ma.

- Ale jest ciepła woda? - zapytałem z niepokojem.

Teraz, gdy uciekłem przed zimnem, poczułem, że jestem wykończony. Od wzdrowienia w dół po zboczach rozboleły mnie uda i łydki, a poza tym zmarzłem na kości. Perspektywa długiej kąpieli w wannie pełnej gorącej wody wydawała się wyjątkowo kusząca.

- Naturalnie. Mamy olejowy podgrzewacz do wody.

Szli mi nadal w głębie korytarza. Rzuciłem okiem na parę pokoi, do których drzwi były otwarte na oścież, ale wszystkie okazały się puste. Znikąd nie słyszałem rozmów ani hałasu robionego przez słuchającą, zajęte wypełnianiem swoich obowiązków.

- Czy macie państwo wielu gości?

- Nie, w tej chwili nie.

Czekałem, aż rozwinie temat, ale madame Gałczyńska zamilkła, a ja nie naciskałem, pomimo drobnego zaniepokojenia.

Wreszcie zatrzymała się przed wysokim, drewnianym biurkiem, które stało obok schodów. Doleciał do mnie delikatny zapach pszczelego wosku, co natychmiast przywiodło mi na myśl tylne schody, prowadzące na poddasze, gdzie znajdował się pokój dla dzieci w moim rodzinnym domu. Stanowiły poważne niebezpieczeństwo dla chłopców, którzy mieli zwyczaj biegać w samych skarpetkach.

- *S'il vous plait.*

Podsunała w moją stronę antyczną księgę - tomisko w skórzanej oprawie, z ciekawymi kartami w kremowym kolorze, poszatkowanymi przez cieniutkie, białe linie. Spojrzałem na znajdujące się w niej nazwiska i przekonałem się, że ostatnie wpisy pochodzą z września. Czy to może być liwe, że od tamtej pory nikt tu się nie zatrzymał? Posłusznie naskrobałem na dole strony swoje imię i nazwisko, tak samo jak zwykle. Kiedy formalnie zostało się zadowolony, madame Gały wzięła do ręki potężny, staromodny klucz, który wisiał na ścianie na jednym z sześciu haczyków, a następnie podniosła stojącą na blacie wiec.

- *Paradise* - powiedziała.

U PA STWA GAŁY



Szedłem w ład za gospodyni po wyłożonych płytkami schodach; dwukrotnie zahaczyłem czubkami butów o drewniane listwy ochraniające krawędzie stopni.

Na pierwszym podejściu madame Gały podniosła wyjątkowo, oświetlając drugą kondygnację schodów, a następnie ruszyli my zgodnie, a wreszcie zatrzymała się przed wyłożonymi boazerii drzwiami i otworzyła zamek.

- Zaraz rozpal ogień.

Wewnątrz panował przeraźliwy zgiełk, choć muszprzyno, a pokój był czysty i wygodny. W powietrzu wisiał ten sam zapach pasty do polerowania i ta sama woń kurzu, co na dole.

Podczas gdy madame Gały po kolei przykładała płomień do oliwnych lampek, ja rozejrzałem się po pokoju. Z drzwiami siedział mały stolik i krzesło z siedziskiem z trzciny. Przeciwległym cianem zajmowały dwa wysokie okna, od podłogi do sufitu. Po lewej stronie stało staromodne łóżko na drewnianym stelażu. Brokatowe zasłony, z rodzaju tych, jakie miała moja babcia, zwisały dookoła wezgłowia na kółeczkach z brzozy. Pomacałem ręką materac. Był

nieco nierówny i twardy, i trochę wilgotny na skutek długiego nieuywania, ale zupełnie wystarczał, aby zaspokoił moje potrzeby.

Przy przeciwległej ścianie znajdowała się ciemna komoda przykryta białym nakiem, a na niej stała duża porcelanowa miska i dzban z wodą do mycia. Wyżej na ścianie wisiło lustro w pozłacanej ramie, nieco podrapane na brzegach.

Cięta rana na moim policzku zaczęła nieznośnie kłuć. Przyłożyłem do niej palec i poczułem zaschniętą krew, z której już uformował się strupek. Zapytałem, czy madame Gały posiada może jakąś maść.

- Chodzi o to zacięcie - wyjaśniłem, czując, że muszę jakoś się wytłumaczyć. - W czasie wypadku uderzyłem głową o deskę rozdzielczą.

- Zaraz coś panu przyniosę - odparła.

- To ładnie z pani strony. Chciałbym prosić o jeszcze jedną rzecz. Powinienem wysłać telegram do moich przyjaciół w Ax-les-Thermes.

- Niestety, monsieur. W Nulle nie mamy telegrafu.

- A może jest gdzieś w pobliżu? Albo ktoś ma telefon?

Ale madame Gały pokręciła głową.

- W Tarascon, oczywiście, ale tego typu udogodnienia jeszcze nie dotarły do naszej doliny - wskazała na stolik. - Jeśli zechce pan napisać list, to jutro z samego rana wyślę go do Ax któregoś z naszych chłopców.

- Wić Ax jest bliżej niż Tarascon?

- Tak, troszkę bliżej.

Wciąż wydawało mi się, że to straszny kawał drogi, aby iść piechotą, ale skoro była to jedyna możliwość, to musiałem się zgodzić.

- Dziękuj - powiedziałem i poczułem, jak przeszedł mnie dreszcz. - Nie chcę się naprzykrza, ale byłem zmuszony zostawić w aucie swoją walizkę. Kiedy w bagażniku auta, wciąż byłbym bardzo zobowiązany, gdyby poproszyła mi pani coś, w co mógłbym się przebrać na noc.

Madame Gały skinęła głową.

- Zaraz poszukam czegoś, co mógłby pan włożyć, w czasie gdy pańskie ubranie będzie schło. - Zamilkła na chwilę. - Na wypadek, gdyby miał pan ochotę do nas przyjść, monsieur... Uroczysto ci z okazji *la fet de Saint-Etienne* rozpoczynaj się o dziesiątej wieczorem. Będzie pan tam mile widziany.

- To bardzo uprzejmie z pani strony, madame, ale nie chciałbym przeszkadzać.

Mało prawdopodobne, abym o tej porze jeszcze był na nogach, pomyślałem, zwłaszcza jeżeli wzię pod uwagę, jak paskudny miałem dzień.

- Wcale nie będzie pan przeszkadzał. Absolutnie nie.

Madame Gały uśmiechała się do mnie, a ja, pomimo zmęczenia i obolałych kolan, poczułem sympatię do tej kobiety. Jej entuzjazm był naprawdę ujmujący.

- To jedyna noc, kiedy wie zbiera się razem - kontynuowała, jakby recytując tekst z broszury wydawanej przez miejscowe biuro turystyczne. - Mamy zwyczaj przebierać się w tradycyjne stroje - tkaczy, garbarzy, ołnierzy, a nawet dobrych ludzi - co tam kto wybierze.

- Dobrych ludzi?

Les bons hommes. Już kiedy słyszałem to określenie, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć kiedy i gdzie.

- Tej nocy wspominamy starych przyjaciół i tych całkiem nowych. Tych, którzy wci s w ród nas, i tych, co odeszli na zawsze. - Głos madame Gały zadr ał. - Tych, których utracili my...

- Rozumiem...

Tu było całkiem inaczej ni w wi kszo ci miejsc, jakie dot d odwiedzałem. Tam ludzie z determinacj starali si zapomnie o niedawnej przeszło ci i y dalej. Od razu spodobało mi si , e takie male kie Nulle stara si czci swoj histori i podtrzyma tradycj , cho by tylko przez jedn noc w roku.

- Powiedziała pani, e *la fet* zaczyna si o dzie si tej?

- Punktualnie o dziesi tej, monsieur, w Ostał. Niełatwo tam trafi , poniewa w najstarszej *quartier* wiele ulic nie ma nazw, a kilka alejek ko czy si lepym zaułkiem. Ale mog dostarczy panu map , na wypadek, gdyby zdecydował si pan do nas przy- ł czy .

Nie mogłem si doczeka , kiedy dostan co do zje- dzenia i wcz e niej poło si do łó ka. Stanowczo nie byłem w najlepszym nastroju, eby bawi si w obcym towarzystwie, zwłaszcza e zbyt cz sto brakowało mi słów albo nie potrafiłem si w por odezwa . Ale wbrew wszelkim przeciwno ciom poczułem, e my l o wzi ciu udziału w uroczysto ci wydaje mi si kusz ca.

- Naprawd jest pani pewna, e moja obecno nie b dzie nikomu przeszkadza ?

Znów potrz sn ła głow .

- B dzie pan najmilszym go ciem. Zreszt , bardzo mi przykro, ale dzi wieczorem nie mog zapropo- nowa panu gor cej kolacji. Wszyscy musimy stawi

si w Ostał ju o szóstej, eby pomóc w przygotowa-
niach.

Roze miałem si .

- To przes dza spraw . W takim razie z pewno ci
przyjm zaproszenie. Tak samo jak propozycj po y-
czenia mapy.

Wyglądziła r koma fartuch i spojrzała na mnie
z promiennym u miechem, najwidoczniej zadowo-
lona, e rozstrzygn li my spraw . W tym momencie
nikogo nie przypominała tak bardzo, jak u miech-
ni t , matczyn twarz Pani Bunn, ony Pana Bakera
z mojej starej talii kart z serii Szcz liwe Rodziny.

- Czy monsieur Gały tak e b dzie tam obecny?

U miech znikł z jej twarzy.

- Och, nie. Nocne powietrze stanowczo mu nie
słu y - odparła cicho. - Zimno od razu włazi mu
w ko ci.

Poło yła klucz na stole, natychmiast wracaj c
do pełnego energii, rzeczowego tonu.

- Łazienka znajduje si na ko cu korytarza po pra-
wej stronie. Zaraz przygotuj panu wann , a potem
rozpal ogie i zajm si pa skim ubraniem.

- Dzi kuj .

- Czy jest jeszcze co , czego panu potrzeba?

- Nic wi cej. Bardzo dzi kuj .

Skin ła głow .

- *Alors, a ce soir.*

Gdy wyszła, natychmiast zdj łem mokre buty i skar-
petki, przez które ju zaczynały mnie sw dzie stopy,
a nast pnie wyrzuciłem na wierzch komody zawar-
to kieszeni: klucze, pudełko z papierosami i zapał-
ki. Potem usiadłem przy biurku. Le ało na nim kilka
kartek papieru listowego, jak równie antyczne pióro

ze stalówek . Ku mojemu zdumieniu kałamarz okazał si
pełen atramentu. Na papierze nie było nagłówka, wi c
rozejrzałem si dookoła w poszukiwaniu jakiej oficjal-
nej ulotki przeznaczonej dla go ci, na której mógłbym
znale rzeczywisty adres pensjonatu. Do drzwi przy-
pi ta była tabliczka z informacj , co go cie powinni
lub czego nie powinni robi podczas awaryjnej sytuacji
albo po aru, ale nic poza tym. W ko cu zdecydowa-
łem si napisa : „Na adres m & mme Gały, La Place
de l'Église, Nulle, Ariège. Bez w tpienia ewentualna
odpowied szybko zostanie mi dor czona.

Naskrobałem do moich przyjaciół kilka linijek
z informacj , e z przyjemno ci ich odwiedz , je li
nadał chc mnie zaprosi , ale poniewa nie mam
poj cia, jak długo potrwa naprawa mojego samo-
chodu, postaram si skontaktowa z nimi za dzie
lub dwa, eby ich powiadomi , kiedy powinni mnie
oczekiwa .

Nigdzie nie znalazłem bibuły, wi c kilka razy mach-
n łem w powietrzu kartk i podmuchałem na atra-
ment, a w ko cu wysechł. Nie było równie koperty,
wi c zło yłem list na troje, na odwrocie nakre liłem
drukowanymi literami adres hotelu w Ax-les-Thermes,
w którym zatrzymali si moi przyjaciele, i poło yłem
na stole, eby wychodz c, zabra go na dół.

Rozebrałem si do bielizny. Musz przyzna ,
e pomimo wyczerpania dopisywał mi humor.
Wzi łem z por czy łó ka czysty r cznik i ruszaj c
na poszukiwanie łazienki, zorientowałem si , e gwi -
d pod nosem jak wesół melodyjk .

CZŁOWIEK W LUSTRZE



Kiedy wróciłem do swego pokoju po długim moczeniu się w gorącej kąpieli, ogień buzował na palenisku, uwalniając przyjemny aromat sosnowej żywicy. Ten zapach znów poruszył jak struna w moim sercu; powróciłem wspomnieniami do zimowych dni spędzanych w Sussex, kiedy byłem małym chłopcem, a George przyjeżdżał do domu na ferie.

Podczas mojej nieobecności madame Gały przyniosła lampę naftową z rączką z brązu, z okrągłym palnikiem, z którego sterczał knot, i wybrzuszoną szklaną osłonę, i postawiła ją na stole. Oprócz tego na komodzie pojawiły się taca ze szklankami i dzbanek o grubym dnie.

Muszę przyznać, że wszystko to było bardzo sympatyczne i przyjemne.

Moje spodnie zostały ułożone na drewnianym stole i ustawione pod kątem naprzeciwko kominka. Ująłem palcami twarde tweed i ostro nie potarłem. Wciwy wydawały się nieco wilgotne, ale były na najlepszej drodze, żeby wkrótce nadawać się do noszenia. Sweter umieszczony był na nich sztywno, a rękawy zwisały bezwładnie. Skarpetki suszyły się obok paleniska, ułożone palcami - tam, gdzie wełna

była najgrubsza - w kierunku trzaskających płomieni. Płaszcz, czapka, buty zniknęły bezładnie, podobnie jak koszula. Przyszło mi do głowy, że pewnie madame Gały zdecydowała się ją namoczyć, żeby potem spróbowała usunąć krew z kołnierzyka.

Okazało się, że dotrzymała słowa i znalazła dla mnie zastępczy przydziewek. A włączyła mi - kostium. Podniosłem z łóżka tunik z szorstkiej bawełny i ucieknęłam pod nos. Rękawy ledwie się gęsiły mi do łokci, brakowało kołnierzyka, a przyszyte w miejsce guzików przyszyto dwie tasiemki. Wyglądało to jak coś w rodzaju stroju, jaki niegdyś musiałem na siebie włożyć w wyjątkowo paskudnej inscenizacji „Snu nocy letniej”, przygotowanej przez moją szkołę.

Tuż po zakończeniu wojny, jeszcze zanim dopadła mnie choroba, parę razy zdarzyło mi się uczestniczyć w balach kostiumowych, organizowanych w Londynie. Bardzo lubiłem tego typu rozrywkę. Podobała mi się anonimowość, jak zapewniało przebranie, dzięki której przez parę godzin mogłem udawać jak postać znaną z kart historii lub stron powieści. Jakiego Shackletona lub Quatermaina.

Wtedy czułem się nieco zeszywniały po wypadku, więc ostro nie włożyłem tunika, a następnie odsunęłam się o krok, żeby podziwiać w lustrze swoje odbicie. W stroju wieśniaka, lecz ze sterzonymi do góry włosami, jak chciała natura, raczej nie wyglądałem na jednego z bohaterów powieści sir Ridera Haggarda. Jednak własny widok sprawił mi przyjemność.

Przypatrzyłem się uważnie, czując, jak coś zmienia się we mnie, bo mimo rysów i postawy na ukośnej tej powierzchni z lustra spoglądało na mnie odbi-

cie, którego ju nie spodziewałem si zobaczy . Moje odbicie. Albo raczej odbicie kogo , kim mogłem by , gdyby smutek nie odcisn ł na mnie swego pi tna. Bruzdy wiadcz ce o stracie, o chorobie, nie znikły bez ładu, poza tym niezaprzeczalnie byłem zbyt bładny i chudy, a zielone oczy błyszczały troch za mocno. Ale rysy tej osoby wydawały si znajome. Moje dawne ja przebijało si na powierzchni . Twarz Freddiego Watsona, młodszego syna George'a i Anny Watson, który mieszkał w Crossways Lodge w Lavant, w hrabstwie Sussex.

Spogl dałem w lustro przez dłu sz chwil , raduj c si własnym towarzystwem, a w ko cu stopy zdr twiały mi z zimna. Pospiesznie zaczą łem si ubiera . Madame Gały nie przyniosła mi spodni, które pasowałyby do tuniki, wi c wywnioskowałem, e pewnie jej zdaniem powinienem wło y własne. Wierzch mankietów był jeszcze wilgotny, ale spodnie i tak nadawały si do noszenia. Wsun łem je szybko, zapi łem guziki rozporka i klapn łem na nierównym materacu, eby obejrze obuwie, które otrzymałem w zast pstwie moich własnych butów.

Obejrzałem je w migotliwym wietle lampy. One równie wygl dały na cz kostiumu teatralnego. Trzymałem w r ku botki z mi kkiej skóry, bez obcasów, klamer czy skuwek. Na ich widok znów obudziły si we mnie wspomnienia. Przypomniała mi si rodzinna wyprawa podczas Bo ego Narodzenia, kiedy mama zabrała mnie i George'a do Lyric Theatre na „Piotrusia Pana". Tamto popołudnie na zawsze utkwiło mi w pami ci, poniewa mama rzadko nas gdzie zabierała. W przerwie jedli my galaretk , mama za , której kremowo-brzoskwiniowa cera licz-

nie wyglądała w przybliżonym wietle teatru, robiła przegląd osób obecnych na widowni i najnowszych trendów w modzie. Potem przez parę miesięcy powtarzaliśmy z George'em powiedzonko Piotrusia Pana, a umieranie musi być „okropnie fajną przygodą”, bo wtedy wydawało się nam to szalenie zabawne.

Spojrzałem na trzymane w ręku buty. Dokładnie takie same nosił chłopiec grający rolę Piotrusia Pana. Niemal słyszałem w uszach głos George'a, który wyśmiewał się ze mnie, a w ogóle zastanawiam się nad włozeniem tego typu obuwia.

„No, chyba przesadziłem, chłopie - powiedziała by George. - Tym razem przesadziłem”.

Niemal mogłem usłyszeć jego arty, wygłaszane z kamiennymi minami i charakterystycznymi modulacjami w głosie. Czułem, jak te słowa szturchają mnie pod żebrami.

- Daj spokój, stary, wcale nie przesadziłem - odparłem. - Nawet odrobinkę.

I wtedy u mniech zniknął z moich warg. Prawda wyglądała tak, a te słowa należały do mnie, nie do George'a. Po prostu tak bardzo pragnąłem usłyszeć, jak mówi do mnie w ten lekko ironiczny sposób - z charakterystycznym opadaniem linii melodycznej pod koniec każdego zdania - pełnym uroku, nieco schrypniętym tonem, który oscylował gdzieś pomiędzy nudą a elegancją. Jednak rozmowa zawsze pozostawała jednostronna, niezależnie od moich starań, aby należycie wypełnić swój części dialogu.

Czy ta myśl przyszła mi do głowy dopiero w tym malutkim pokoju w Nulle? Jak to się stało, a nabrałem zwyczaju, aby każdy dowcipny, mój dry aforyzm przypisywać George'owi? Dlaczego odsunąłem się

z własnego życia na boczny tor, ustąpić bratu miejsce na rodzku sceny? Albo może było to coś, o czym wiedziałem już wcześniej, tylko nie chciałem przyjąć tego do wiadomości?

Ale teraz już wiedziałem i kiedy skórzane botki od teatralnego kostiumu wysuwały się z mojej ręki na podłogę, byłem całkiem świadomy, że coś ze mnie umyka. Że tracę coś na zawsze.

- Okropnie wielka przygoda - mruknąłem.

Siedziałem tam jeszcze przez chwilę, a następnie podszedłem do komody i nalałem sobie z butelki alkoholu na dwa palce. Był to ciociński, czerwony likier i przełknąłem go jednym haustem. Wydał mi się nieco za słodki jak na mój gust, niemniej jednak zdrowo podrapał mnie po tylnej ścianie gardła. Ogarnęło mnie gorąco. Nalałem sobie jeszcze jedną podwójną porcję i znów łyknąłem ją na raz. Alkohol zamazywał kontury przedmiotów. Teraz niechcinnie odnosiłem się do pomysłu, aby wynurzyć się z ciepłego kokonu, jakim był mój pokój. Wyjąwszy z pudełka papierosa, popukałem nim, aby wstrząsnąć tyto, i chciwie zaciągnąłem się dymem, jednocześnie nie przemierzając wielkimi krokami niewielką sypialnię. Tym razem znajdowałem przyjemność w stapaniu nagimi stopami po zimnym drewnianym desek. Mogłem przeżyć sobie wydarzenia minionego dnia, przeżyć je różnie sprawy.

Pstryknąłem niedopałkiem na radek paleniska i przykucnąłem, aby sprawdzić, czy skarpetki już wyschły. Nagły ruch sprawił, że zakręciło mi się w głowie.

- To z głodu - mruknąłem. - Po prostu chce mi się jeść.

Skarpetki były suche i sztywne jak deska, więc musiałem trochę przetrzeć i rozciągnąć twarde wełny, a w końcu dały się założyć. Buty okazały się dozwyczajne i raczej dziwnie prezentowały się w zestawieniu z tweedowymi spodniami, ale poza tym pasowały jak ulał.

Byłem gotów. Zgarnąłem z toaletki należącej do mnie drobiazgi i wziąłem narysowaną wcześniej mapę, którą zgodnie z obietnicą zostawiła mi madame Gały. Wreszcie po raz ostatni rozejrzałem się po pokoju i wyszedłem w żółty korytarz.

Na dole nie dostrzegłem nikogo, choć lampa naftowa paliła się jasnym płomieniem. Położyłem list w widocznym miejscu na wysokim blacie biurka, a póki niej pochyliłem się, zawołałem w mrocznej przestrzeni korytarza.

- Monsieur Gały? *Je m'en vien.*

Nikt nie odpowiedział. Odsuwając się, ujrzałem, że na polerowanym drewnie zostały odciski moich dłoni. Problem polegał na tym, że nie wpadło mi do głowy, żeby spytać, jak dostanę się póki niej do pensjonatu. Czy powinienem zabrać klucz do zatrzaśnięcia? A może należało uderzyć dzwonek lub pozostawić drzwi niezamknięte?

- Monsieur Gały, wychodź! - zawołałem ponownie.

Wciąż nie było odpowiedzi. Zastanowiłem się, a potem wzięłem za biurko, żeby odwieźć klucz na haczyk. W ten sposób monsieur Gały będzie miał szansę dowiedzieć się, że wyszedłem.

W niszy pod schodami stał wielki zegar z mahoniowymi obudowami. Popatrzyłem na tarczę w kolorze kości słoniowej, na wysmukłe rzymskie cyfry i delikatne,

czarne wskazówki. Z wnętrza dobiegł zgrzyt mechanizmu, a po chwili rozległy się piskliwe kuranty.

Wiedziałem, że spędziłem tu sporo czasu, ale mimo to ogarnęło mnie zdumienie na myśl, że właśnie minęła dziesiąta. W sanatorium, kiedy lekarze fasczerowali mnie rodkami na uspokojenie, ka dy dzieł mijał w mgnieniu oka. W innych wypadkach, otępiony lekami, którymi na siłę karmiono mnie z rana i wieczorem, miałem wrażenie, że czas ku tyka z trudem i w końcu zamiera w martwym punkcie. Ale czy to możliwe, że od momentu mojego przybycia do pensjonatu minęło całe siedem godzin? Nic dziwnego, że dokuczał mi głód.

Mój płaszcz wisiał na haczyku przy frontowych drzwiach. Wsunąłem go na ramiona, włożyłem czapkę, a potem otworzyłem ciężkie drzwi i wyszedłem w noc.

LA FÊTE DE SAINT-ETIENNE

Na Place de l'Église nie dostrzegłem żywego ducha. Mróz zdął już chwyciła na dobre i ziemia pod moimi stopami połyskiwała srebrem. Było bardzo cicho i pisknie jak na błyszczących pocztówkach z okresu Bożego Narodzenia. *Flambeaux* paliły się jasnym, żywym płomieniem.

Trzymając w ręku mapę madame Gały, skierowałem się na ukos przez plac w kierunku kościoła i labiryntu małych uliczek, z których składał się najstarszy *quartier* wioski; właśnie w tamtym rejonie powinien znajdować się ów Ostał, o którym mi mówiła gospodyni.

Minąłem rzęd platanów, zagłębiłem się w skłoniętej i nieopisaną boczniczką, która wiodła obok kościoła. Zimne powietrze szczypało mi policzki i zibijało dłonie, więc starałem się iść w miarę szybko. W ciągu kilku chwil, jakie upłynęły od mojego przejścia przez plac, grube opary zsuwały się z gór mgły opuciły się jeszcze nieje, spowijając wszystko kłębami, przez wiecając biel. Białe obłoki unosiły się wokół zabudowań i czaiły w zaułkach.

Przy pieszyłem kroku. Pasa de l'Église zawiódł mnie w platanikach, brukowanych uliczek,

z których wszystkie wyglądały identycznie i nie nasuwały żadnych wskazówek, dokąd mogły prowadzić. Wiedziałem, że zmierzam we właściwym kierunku, lecz choć madame Gały zaznaczyła właściwe przejścia, nie zawsze było jasne, które jest które. W dodatku w domach przylegających do placu ludzie zostawili gdzieś wiatła w oknach, lecz tu, w starym *quartier*, było ciemno, a oko wykoło. Wszystkie domy zdawały się zamknięte na głucho, a okna ukrywały się za szczelnie zasuniętymi okiennicami.

Zapaliłem zapalniczkę, żeby zerknąć na mapę; chciałem sprawdzić, gdzie się znajdują w odniesieniu do kościoła i Place de l'Église, i dopiero wówczas wyruszyłem w dalszą drogę. Okazało się, że jestem na jakimś skrzyżowaniu, którego madame Gały nie zaznaczyła na mapie. Zwykle nie bywam takim tępakiem, lecz brak tabliczek z nazwami ulic i skradająca się mgła wcale nie ułatwiały mi zadania.

Właśnie wtedy usłyszałem głosy, strzępy rozmów, śmiechy, odłamki dźwięków, które niosły się w nocnym powietrzu między wąskimi ulicami. Złoty był mapę i wcisnąłem ją do kieszeni, decydując się odtąd zaufać instynktowi. Ruszyłem przed siebie, skręciłem raz i drugi, a w końcu ujrzałem przed sobą wiatła i nagle wynurzyłem się z plataniny drobnych uliczek.

Na wprost mnie znajdował się spory prostokątny budynek, który wyglądał zupełnie jak stary targ wełniany w Tarascon. Noc odarła go z koloru, ale i tak przypominał kształtem i wielkością inne budynki komunalne, które podczas podróży widywałem w południowych regionach kraju. Wszędzie dobytej jasny wapień z Pirenejów i pochyły dach nadawały mu wygląd skromny, lecz zarazem pełen majestatu.

Wzdłuż frontowej ciany biegła kolumnada podzielona trzema łukami, a niskie schody rozciągały się na całą szerokość budynku. W pęknięciach i zakamarkach murów zgromadził się pył minionych lat. Solidne podwójne drzwi z drewna stały otworem, wylewając w grudniowy zmrok prostokąt przyjaznego, słotawego wiatła.

Czując dreszcz oczekiwania, wszedłem po schodach i po chwili znalazłem się w czymś, co wyglądało na rodzaj sieni. Temperatura była tu niewiele wyższa niż na zewnątrz. Przed sobą miałem potężne wysokie drzwi, ozdobione rzeźbami owoców i symbolami heraldycznymi. Na ciemnym drewnie widniały delikatne kształty i subtelne postacie.

Zdjąłem płaszcz, zdziwiony podziwem dla powagi, z jaką mieszkańcy Nulle podchodzili do swojego corocznego wiatła. Zamiast zwykłej kolekcji wieczorowych okryć, eleganckich peleryn i futrzanych etoli, ujrzałem wiszące na czarnych, stalowych hakach rzędy płaszczy w odcieniach błękitu, czerwieni, zieleni i brązu. W takim towarzystwie mój płaszcz sprawiał wrażenie osobiście nowoczesnego i wyszukanego przyodziewku.

Kilka razy odetchnąłem głębiej, aby uspokoić nerwy, a potem poprawiłem na sobie tunikę, aby wyprostować ewentualne zgniecenia, a następnie przekroczyłem próg z taką pewnością siebie, na jaką tylko było mnie stać.

Już przy wejściu uderzył mnie niemożliwy zaduch - woń ludzkich ciał zmieszana z rykiem ognia i nastrojem biesiady. Tak samo zaskoczył mnie hałas, ogłuszający cicho po nieruchomej ciszy w starym *quartier* - kachofonia miechów i rozmów, pobrzmiewania naczy

i nawoływania kelnerów, piesz cych tam i z powro-
 tem. Stałem w przedsionku, zahipnotyzowany rozgry-
 wając się przede mną sceną. Powietrze było ciężkie
 od dymu, który wydobywał się z widocznego w odle-
 głym końcu sali paleniska. Tysiące więc, umocowa-
 nych w wiszących na ścianach metalowych kinkietach,
 rzucały rozproszone światło i cienie, które bezustannie
 przemieszczały się i tańczyły. Przesunąłem wzrokiem
 po obecnych w nadziei, nie zauważyłem gdzie ma-
 dame Gały, ale w takim tłumie doprawdy trudno było
 dostrzec pojedynczą osobę.

Kiedy oczy wreszcie przywykły mi do półmroku,
 obejrzałem dokładnie miejsce, w którym się znalaz-
 złem. Sala była dwa razy dłuższa niż szersza, zwie-
 czona wysokim, wysmukłym sklepieniem. Na nagich
 ścianach nie dostrzegłem żadnych malowideł, foto-
 grafii ani też jakichś innych ozdób. Przy najdalszej
 ścianie stał długi stół z gatunku takich, jakie widu-
 je się w refektarzach, a dwa inne ustawione zostały
 wzdłuż ścian i otoczone rzędami ław. Na wszystkich
 leżały ciemne, białe obrusy. Krzesła dostrzegłem jed-
 ynie przy pierwszym stole.

W pewnym momencie ponad polifonią wzbijała się
 wysoka pojedyncza nuta, jak dyszkant nad rozgada-
 nym *obligato* tłumem. Dołączyły do niej proste, charak-
 terystyczne akordy i łatwa melodia *vielle*. Upłynęło
 jeszcze kilka chwil i jasny, drucy głos rozpoczął
 śpiew.

Lito ciwa stara zima powróciła
I znów kulawym krokiem przemierza nasze drogi
Rozcielajcie wszędzie biały derkocięgi
A północny wicher wyje w gałęziach sosnowych drzew.

Nie rozumiałem słów, ale pojąłem ich właściwy sens; skąd wiedziałem, że pieśń opowiada o górach, zimie, niegu i sosnowych lasach. To była stara ballada, śpiewana w pradawnym języku. Dopóki ten człowiek śpiewał, muzyka trzymała mnie siłą swego uroku, napełniając głowę obrazami i emocjami, których od dawna nie czułem. Pod powiekami zbierały mi się piekące łzy.

Kiedy, całe lata temu, próbowałem wytłumaczyć George'owi, co czuję, słysząc pieśń chóru albo pieśń gregoriański odbijając się w górnych częściach sklepienia katedry lub w stallach naszego małego, wiejskiego kościołka w Lavant, ale on mnie nie rozumiał. Muzyka nigdy nie budziła w nim wzruszenia i choć potrafił godzinami siedzieć i słuchać, jak gram na fortepianie, to wiedziałem, że myślimy o zupełnie innych rzeczach. Był tam ze mną dla mnie, nie dla siebie.

- *Monsieur, soyez le bienvenu.*

Drgnąłem, bo ten głos znienacka przywołał mnie do rzeczywistości. Odwróciłem się i ujrzałem mężczyznę z burzą rudych włosów i szczerą, otwartą twarzą. Patrzył na mnie z uśmiechem.

- Witam i dziękuję serdecznie - odparłem, wyciągając rękę. - Nazywam się Frederick Watson. Madame Gały powiedziała, że powinienem tu zajrzeć. Zatrzymałem się u niej w pensjonacie na dzień lub dwa.

- Guillaume Marty.

Nie odwzajemnił gestu powitania, choć jego mina świadczyła, że przyjmuje mnie z serdecznością, więc opuściłem rękę.

- Co za wspaniałe zgromadzenie - oświadczyłem.

- Och, tak. Wszyscy, którzy mogli przyjść, są tu dziś

obecni. - Skin łem głowę. - Proszę i za mną. Znajdź jakieś miejsce, żeby mógł pan usiąść.

Marty był ubrany jak ksiądz albo mnich; nosił coś w rodzaju stroju zakonnego, lecz długa, zielona szata w żaden sposób nie krępowała mu ruchów, kiedy zwinnie i szybko przeciskał się przez tłum. Na nogach miał sandały, a wokół talii skórzany pas, z którego zwisał zwinięty papier albo raczej zwój pergaminu. Słowem, jego wygląd absolutnie odpowiadał roli, jaką odgrywał. Po raz kolejny zachwyciłem się, ile trudu zadaje sobie mieszkać w tej małej wiosce, żeby mieć pewność, że ten wieczór będzie udany.

Idąc ze mną przez salę, Marty co chwila przystawał. Poznałem dwie urocze siostry, Raymonde i Blanche Maury, ubrane w suknie koloru królewskiego błękitu z czerwonymi szwami wokół szyi i mankietów; Senhera Bernarda i jego podstarzała wdowa o imieniu Na Azema - tak mi ją przedstawiono - która miała na włosach szary welon, spity tu pod podbródkiem; Na i Senhera Authierów. Ten drugi był masywny, potężnej postury; kolor policzków i szerokość jego ramion sugerowały, iż za swoje życiowe powołanie uważał nieumiarkowane w jedzeniu i piciu. Dopiero po kilku następnych prezentacjach zorientowałem się, że forma „Na” i „Senher” jest miejscowym odpowiednikiem naszego „pani” i „pan”. W pewnym momencie mignęła mi postać niezwykle podobna do mojej gospodyni i już podniosłem rękę, żeby pomachać na powitanie, gdy kobieta odwróciła głowę i przekonałem się, że to nie ona.

- Czy madame Gały jest tutaj?

- Nie wydaje mi się, żeby ją widział.

Kontrast pomiędzy wszechobecnym smutkiem, który przytłoczył mnie, gdy po raz pierwszy wszedłem do wioski, a wesołym nastrojem biesiady nie mógł być bardziej uderzający. Tu, w Ostał, wyraźnie wyczuwało się istnienie silnych związków społecznych i koleżeńskich. Wszyscy uśmiechali się do nas i kiwali głowami, ofiarując swój przyjaźni.

Wreszcie Guillaume Marty zatrzymał się i wskazał, abym usiadł na jednym z wolnych miejsc, jakie jeszcze pozostały na ławie. Posłusznie wcisnąłem się za stół, unosząc niezgrabne łokcie i kolana. Gdy odwróciłem się, aby podziękować, tak serdecznie się mną zajął, mój przewodnik zdyktował już zniknąć, wchłoniony przez tłum. Odchyliwszy się do tyłu, rozglądałem się po sali, ale nigdzie nie udało mi się dostrzec powłóczystej, zielonej szaty.

- Dziwne, że nawet nie powiedział „do widzenia” - mruknąłem.

Teraz moja uwaga przykuła osoby z najbliższego siedziska. Po prawej stronie ujrzałem jakiegoś młodzieńca mniej więcej w moim wieku, ze strzechobryzanych włosów sterczących jak słoma, grubymi czarnymi brwiami i paznokciami, które zdecydowanie wyglądały na brudne. Siedział skulony nad stołem. Jego ciemna tunika, przewieszana w pasie, nosiła na sobie lądę tłuszczu, czerwonego wina i miodu, jakby była spisem wszystkich posiłków, jakie dotychczas spożyła jej właściciel. W oczach tego człowieka dostrzegłem błysk ciekawości, który szybko ukrył, więc uśmiechnąłem się do niego. Odruchowo skinął mi głową, ale nie przemówił.

Zwróciłem się na lewo.

Gdybym był mistrzem literatury bym może potrafiłbym oddać słowami pierwsze wrażenie, jakie

wywarła na mnie siedząc tam dziewczyna. Niestety jest tak, jak jest, więc musi wystarczyć zwyczajny opis. Przypominała owe pełne uroku istoty, które malowali Burne-Jones albo Waterhouse. Jednym słowem, była zjawiskiem licznym i w pełni doskonałym - a ja, którego od tak dawna nie poruszyła niczyja piękność, poczułem, jak moje serce wzbija się do lotu. Ciemne włosy wiły się w lokach wokół porcelanowej twarzyczki, niekni tej pudrem i niezsutej różem. Pełne, przepiękne usteczka wyglądały tak, jak uczyła sobie natura, a dzięki ładom u miechu w kciukach jeszcze mocniej przemawiały do mojej wyobraźni.

Nieznajoma chyba musiała poczuć, jak intensywnie się w nią wpatruję, bo w pewnej chwili odwróciła się i spojrzała prosto na mnie. Pod długimi rzęsami ujrzałem mroźne, szare oczy. Gapiłem się w nie jak skończony idiota.

- Frederick Watson - wybełkotałem, przypominając sobie wreszcie o dobrych manierach. - Freddie. Moi przyjaciele nazywają mnie Freddie.

- A ja jestem Fabrisa.

To wszystko, co powiedziała. Ale i to wystarczyło. Jej głos już wydawał mi się znajomy, ukochany.

- Jakże pięknie imię! - zachwyciłem się. Mój mózg zdawał się pracować oddzielnie od reszty ciała. - Proszę mi wybaczyć, ale jestem...

Obdarzyła mnie słodkim uśmiechem.

- Niełatwo jest znaleźć się w całkiem obcym towarzystwie.

- Owszem - powiedziałem przelotnie. - Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewa.

- Nie.

Zamilkła i, dzi ki Bogu, ja równie . Poci gn łem spory łyk wina, eby jako uspokoi skołatane nerwy. Było do cierpkie, ró owe, z domieszk czego w rodzaju wytrawnej sherry. Od razu zaniostłem si kaszlem. Dziewczyna udała, e tego nie zauwa a.

Byłem wdzi czny losowi, e dookoła kł biło si tylu ludzi. Dzi ki temu mogłem obserwowa Fabriss bez rzucaj cej si w oczy natarczywo ci. Posyłałem w jej stron nie miałe, skromne spojrzenia. Zerkałem i natychmiast odwracałem si w drug stron . W ten sposób stopniowo udało mi si dostrzec szczegóły jej wygl du. Miała na sobie dług , niebiesk sukni , dopasowan w talii. R kawy były szerokie u dołu i, podobnie jak przy szyi, ozdobione białym motywem poł czonych kwadratów. Ten haft pasował do jej wyszywanego paska - wła ciwie pasa - który składał si z niebieskich i czerwonych wzorów na białym tle. Cały strój wygl - dał skromnie, a mimo to elegancko, jakby wcale nie chodziło o podkre lenie tego faktu. Nie było w nim zb dnych ozdób. Ol niewał prostot .

Powoli udało si nam znale sposób na prowadzenie rozmowy. Pod działaniem cierpkiego, ci kiego wina mój puls zwolnił do zwykłego rytmu, lecz mimo to czułem ka dy skrawek ciała siedz cej obok dziewczyny. Zupełnie jakby wysyłała elektryczne impulsy. Nie patrz c, widziałem jej biał skór i niebiesk sukni , i przepyszne włosy o połysku czarnego marmuru... W porównaniu z ni byłem niezgrabny i niezdarny, wi c szukałem ucieczki w niewinnych pytaniach, staraj c si zadawa je spokojnym, opanowanym tonem, cho nie było na to adnych szans.

Słu ba kr yła po sali, roznosz c wazy z zup . Kiedy podniesiono pokrywki, w powietrzu rozeszła

si smakowita, aromatyczna wo gor cej kapusty i bekonu, paruj cych porów i ziół. Zup nalewano chochlami do talerzy w kolorze gliny, ustawionych przed ka dym z obecnych.

Wydawało si , e ka de nast pne danie nie ró ni si od poprzedniego. Na stołach pojawiały si płaskie, szare tace, wypełnione po brzegi str kami fasoli z olejem, gotowan rzep , kurcz tami, baranin i solon wieprzowin . Po przeciwnej stronie sali ujrzałem chłopca, który taszczył wysoko na ramieniu drewnian desk z sze cioma pstr gami. Ich łuski połyskiwały srebrzy cie.

Na mój u ytek Fabrissa obja niała ka d now potraw , opowiadaj c o miejscowych specjałach i przepisach, o których nigdy dot d nie słyszałem. Jednym z da był osobliwy kompot z nieszpułki - paskudnego owocu, który nale y zebra wcze niej, eby dojrzewał ju po zdj ciu z drzewa. Słodkim smakiem i lepko ci przypominał miód. Inny zimowy deser, wyja niała Fabrissa, przyrz dza si z kwiatowych p ków karczocha hiszpa skiego. Sparzone i owini te w tkanin zakopuje si w ziemi, eby po jakim czasie wydoby je z powrotem i wymiesza z miodem, ubijaj c na gładk papk .

Nie bardzo pami tam, o czym poza jedzeniem rozmawiali my w tej wczesnej cz ci wieczoru. Wszystko zasnuła mgła, przefiltrowana przez gor ce opary wina. Nasza konwersacja była zapewne mało znacz ca, lecz jak e sympatyczna z mojego punktu widzenia. Nie pami tam nawet, czy Fabrissa mówiła do mnie po francusku, a ja do niej po angielsku, czy *moitie-moitie*, w dwuj zycznym duecie. Wci jednak, nawet po upływie pi ciu lat, czuj na czubku j zyka

słony smak tamtej wieprzowiny i szorstkich, zdrewniałych strków fasoli, liskich od oliwy; wyczuwam mi dzy palcami ziarnist faktur ciemnego chleba, który przypominał w dotyku krusz ce si ciasto.

Wci brzmi rai w uszach tamta pie , cho nie udało mi si zobaczy wykonuj cego j piewaka. Jego głos płyn ł poprzez sal , unosił si ku krokwiom, wciskał w ka dy zak tek murów i w ka d zakurzona paj cz sie . Pami tam, jak dziwiłem si , e mo na piewa tak długo tak równym i nieprzerwanym tonem, i zdaje si , e nawet wyraziłem na głos t opini . W pewnej chwili pomy lałem, e mog spróbowa powiedzie Fabrissie o swoich muzycznych aspiracjach, które miałem, zanim wybuchła wojna i zanim ojciec doszedł do wniosku, e kariera muzyka nie jest odpowiednia dla jego syna, jednak po chwili namysłu zrezygnowałem z tak osobistych zwierze . Lepiej było nie obci a dziewczyny tym brzemieniem, a poza tym nie chciałem, by postrzegała mnie jako kogo , komu nie powiodło si w yciu. Zamiast tego poprosiłem, by wyja niła mi fabuł ballady, a nast pnie odwdzi czyłem si , tłumacz c jej tajniki akompaniamentu - w jaki sposób jedna nuta spleta si z drug , eby powstała harmonia.

W ten sposób min ło sporo czasu, ale nic si nie zmieniło. Je li o mnie chodzi, to mógłbym trwa w tym zachwycie jeszcze długo. Cały wiat zaw ził mi si do szczupłych, białych dłoni Fabrissy, burzy jej czarnych włosów, prze licznych, szarych oczu i jasnego, słodkiego głosu.

- Czy jeste uczciwym człowiekiem? - spytała w pewnej chwili.

- Słucham?

Drgn łem, zaskoczony zarówno tre ci pytania, jak i powa nym tonem, którym zostało zadane. Tak bardzo ró niło si od naszej dotychczasowej lekkiej i niezobowij cej konwersacji, e nie bardzo wiedziałem, co o tym s dzi .

Ale odpowiedziałem. Oczywiście, e odpowiedziałem.

- Moim zdaniem tak - odparłem. - Jasne, e tak.

Fabrissa przechyliła głow na jedn stron w charakterystyczny dla siebie sposób i popatrzyła na mnie z uwag .

- A czy jeste człowiekiem, który potrafi odró ni prawd od fałszu?

Zawahałem si , jakbym zastanawiał si nad odpowiedzi . Od dziesi ciu lat słyszałem w głowie głosy, a wspomnienia były dla mnie bardziej jaskrawe i realne ni rzeczywisto za oknem. Prze yłem dziesi lat, maj c George'a za towarzysza. To wszystko sugerowało, e odpłyn łem do daleko od prawdziwego wiata i e jestem całkiem niezdolny do zauwa enia ró nicy pomi dzy prawd a kłamstwem, a jednak w tamtym momencie, gdy siedziałem z Fabrissa w cieplej atmosferze panuj cej w Ostał, odpowied wydała si oczywista.

- Tak. W wa nych sprawach jak najbardziej potrafi .

U miechn ła si , szeroko, z nadziej . Ja za , biedny niewolnik, poczułem, jak w głowie eksploduj mi tysi ce uczu . Byłem stracony. W oszałamiaj cy sposób, z sercem i dusz . Fabrissa wci wpatrywała si we mnie, jakby szukaj c odpowiedzi na pytania, które musiała jeszcze zada .

- Tak - powiedziała w ko cu. - Widz , e tak.

Spomiędzy moich warg wyliznął się niesłyszalny gwizd. Poczułem się tak, jakbym zdał pewien rodzaj testu. Współczesny sir Gawain wyruszył od Okrągłego Stołu, bo wreszcie znalazł to, czego szukał. Byłem całkiem wiadomy, że spojrzenie Fabrissy bacznie ledzi moją twarz, jakby rozważała, z kim ma do czynienia. Zauważyłem, jak się nad czym zastanawiała i namyślała, bo widać to było dokładnie w jej oczach. Jednak na zewnątrz wydawała się spokojna, niezwykle spokojna. Starłem się zachowywać tak samo, choć nerwy rozwalały mi obojętne - jak woda, która rozsadza odrodka toncy okrętu.

Ta chwila przeciągała się w nieskończoność. Kształty, dźwięki i zapachy sali, a także zgromadzenie w niej goście odpłynęły gdzieś w dal. Potem Fabrissa przesunęła się na ławie i czar przysł.

- Opowiedz mi o nim - poprosiła.

Poczułem, że ziemia usuwa mi się spod nóg - jak zapadnia na rusztowaniu pod stopami skazaćca. To był nagły, szybki upadek, a potem mocne szarpnięcie liny.

Skąd wiedziała? Nie powiedziałem przecie ani słowa. Nie uczyniłem żadnej aluzji. Nie chciałem rozmawiać o George'u, nawet z Fabrissą. Zwłaszcza z Fabrissą. Nie chciałem, aby wiedziała we mnie niechęć, za jakiego sam się uważałem, lecz mężczyźni, którym dzięki niej byłem przez parę ostatnich godzin.

- Co masz na myśli? - spytałem odrobin ostrzej, niż miałem zamiar.

Uśmiechnęła się słodko.

- Opowiedz mi o George'u.

Wciąż udawałem, że nie rozumiem, o co jej chodzi.

- Freddie... - szepnęła. Jej ręką przeliznęła się po szorstkim, białym obrusie i znalazła się odrobin bliżej mojej. Zauważyłem, że paznokcie przypominały kolorem perły.

Zaczerpnęłam powietrza w płuca.

- Nie mogłam.

- Dlaczego?

- Bo...

Jak mam to wytłumaczyć? Zająknęłam się, na gwałt szukając jakieś wymówki.

- Bo wszystko już zostało powiedziane.

- Moje powiedziane zostały tylko te złe rzeczy?

Jej dłoń była tak blisko, że niemal dotykała mojej. Zauważyłem, że na dużym palcu prawej ręki nosiła złoty pierścionek, o wiele dla niej za duży. Opierał się na kostce stawu, jakby zdziwiony, że w ogóle tam się znalazł.

- Mówienie nie pomoże.

W przestrzeni pomiędzy nami przeskakiwały iskry. Nie odważyłem się poruszyć. Nie odważyłem się wychylić w stronę Fabrisy nawet koniuszków palców.

- Mówienie w niczym nie pomoże - powtórzyłem, chociaż słowa wiły mi w gardle.

Spojrzałem na nią. Wcisnęła się w miechała, ale nie dostrzegłem w tym u miechu politowania, lecz raczej coś w rodzaju współczucia i zaciekawienia. I wtedy coś we mnie puknęło.

- A może mówiłem tylko dlatego, że inni tego od ciebie wymagali? Może o to chodzi? Ale tu jest całkiem inaczej. I sprawy wyglądają inaczej. Spróbuj.

- Spróbuj.

Otrzymałam się, poruszony tym, w jak ogromnym stopniu powróciło do mnie poczucie, i mogłoby

niewła ciwie os dzony. Matka rzucała oskar enia, e to przeze mnie nic nam si nie układa. Tata te tak uwa ał. Nie zniósłbym, gdyby Fabrissa pomy lała tak samo.

- Nikt mi nie wierzył, ale mimo to spróbuj .

Nie wiem, czy stało si tak celowo czy przez przypadek, ale gdy Fabrissa cofała r k , by poło y j z powrotem na kolanach, jej palce dotkn ły mojej dłoni. Wra enie było tak pot ne, tak intensywne, jakby nagle musn ł mnie płomie .

-Ja...

- Freddie, spróbuj jeszcze raz - wyszeptała.

W tych czterech słowach, czterech prostych słowach, kryła si obietnica, e mo emy prze y całe ycie, je li tylko b d gotów podj ryzyko.

Wci potrafi przywoła wra enie, które wówczas spłyn ło na mnie jak co w rodzaju ol nienia. Wra enie, e w ogóle istnieje taka mo liwo . Ka de ci gno, mi sie , ka da yła w moim ciele nagle zacz ła dr e , jakby powracała do ycia. Pomy lałem, e je li tylko znajd odwag , by mówi , to ona mnie wysłucha. Fabrissa mnie wysłucha.

Wzi łem gł boki oddech, a potem powoli, spokojnie wpu ciłem powietrze z płuc. Zacz łem mówi .

WSPOMNIENIA



- Pamiętam tam wszystko, co wydarzyło się tamtego dnia - powiedziałem. - Każdego najmniejszego szczegółu. Pamiętam tam zapach i nastrój, kilka sekund przed i po tym, jak rozległo się pukanie do drzwi. Byłem właśnie w pokoju dziecięcym i przypiekałem nad kominem kromki chleba. Siedziałem na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, a przede mną stał stary talerzyk z zielonej porcelany z kawałkiem masła. Był wrzesień, w powietrzu wisiał aromat nadchodzącej jesieni. Szkarłatne liście na rdzawym buku zaczynały zmieniać kolor i wczesnym rankiem na szybie zbierała się para wodna. Po raz pierwszy od poprzedniej zimy rozpalono ogień w kominkach, więc po całym domu rozchodził się przykry, zatęchły odór przypalonego kurzu, który latem zgromadził się w przewodach. Nad moim łóżkiem wisiała odręcznie wyrysowana mapa Europy, którą wydrukował „Manchester Guardian”. Cała była pokryta czerwonymi krzyżykami, bo w ten sposób próbowałem zaznaczać miejsca, gdzie właśnie stacjonował Królewski Regiment Hrabstwa Sussex - a przynajmniej miejsca moich wyobrażeń o tym, gdzie może przebywać mój brat. Gdzie jest George... - Urwałem, bo to wspomnienie ukłuło mnie zbyt boleśnie.

Fabrissa czekała. Wydawało się, że nie czuje potrzeby, aby mnie poganiać ani domagać się, bym poskładał te potargane strzępy w jedną, logiczną całość. Jej cierpliwie chyba zaczęła mi się udzielać, bo gdy znalazłem się, aby podjąć w tekście, prościej mi było odtworzyć w myśli cię wydarzenie, a potrzebne słowa przychodziły mi do głowy może nie tyle łatwiej, ile z mniejszym niezdecydowaniem.

- Nie usłyszałem pukania do drzwi. Ale pamiętam, że dotarł do mnie odgłos kroków naszej służki na kamiennej posadzce w holu. Florence zawsze szurała, jakby nie miała sił podnosić nóg. Przypominam sobie skrzypnięcie drzwi i szmer głosów, zbyt słaby, abym mógł rozróżnić słowa. Wydaje mi się, że już wtedy wiedziałem. W panującym w domu ciszy było coś, co na cały głos krzyczało, że ten kto jest niepodany go ciem. Przerwałem swoje zajęcie i nasłuchiwałem - nasłuchiwałem tego złowróżnego milczenia. Potem w holu zabrzmiał wysoki, przenikliwy głos matki. Stała przy drzwiach. „Tak, to ja jestem pani Watson”. Chwilę później dotarło do mnie jedno jedyne słowo, w którym najgorsze było to, że zostało wypowiedziane szeptem. „Nie”. Widelec wypadł mi z ręki. Widzę go, jak powoli spada coraz niżej i z metalicznym brzękiem uderza to jednym, to drugim kołosem o obmurowanie paleniska jak stepujący tancerz. Pamiętam chleb przypalony z jednej strony i całkiem biały z drugiej. Zerwałem się do biegu. Otworzyłem drzwi z takim impetem, że uderzyły o przeciwległe ściany, a w samych skarpetkach popadziłem w dół po schodach. Na tym samym co zawsze niebezpiecznym zakręcie poślizgnęła mi się noga; straciłem oparcie dla stóp, co skończyło się boles-

nym uderzeniem w gole . Krew przez czała si przez skarpetk i pomy lałem całkiem niedorzecznie, e za chwil dostan bur za swoj nieuwag . Zbiegłem na podest na pierwszym pi trze i pop - dziłem korytarzem a do miejsca, gdzie zaczynał si dywan. I wtedy z holu na parterze dobiegł odgłos, który jak nó rze nika rozplatał mi serce. Wła ciwie to nie był krzyk, raczej wycie lub zawodzenie przeplatane jednym i tym samym słowem, które powtarzało si jak refren: „Nie, nieeee!”.

Znowu przerwałem, bo wspomnienia były zbyt bolesne. Zerkn łem na Fabriss , eby poszuka u niej pociechy i przekona si , czy naprawd nadal chce słucha itioich wynurze .

Skin ła głow .

- Prosz , mów dalej.

Wytrzymałem jej spojrzenie, a potem znów wbiłem wzrok w to samo miejsce na stole co poprzednio.

- Czy mówiłem ci, e to było pi tnastego wrze - nia? Pranie dwa lata po tym, jak George zaci gn ł si do wojska- Od tamtej pory widziałem go zaledwie raz, mo e dwa- Został ranny i wtedy wysłano go do domu. Najpierw miał kłopoty ze słuchem, których nabawił si po bombardowaniu. Nic powa nego. Za drugim razem otrzymał postrzał w udo, lecz ta rana tak samo nie stanowiła zagro enia dla ycia.

Wzruszyłem ramionami. To był taki wymijaj - cy gest, którym starałem si pokry bezradn zło na lekarzy i na naszego ojca za to, e w ogóle pozwolili George'owi wróci na front, cho wietnie wiedziałem, e sam tego chciał. Heroizm od arogancji oddziela jedynie cienka linia, a on zawsze j przekraczał. Ostatecznie byli my synami Watsonów i nic nie

mogło nam się stać. George uwierzył w mit o własnej niezniszczalności, podczas gdy ja... Ja zawsze czułem, że wiat jest niebezpiecznym miejscem, gdzie łatwo można wpadnąć w pułapkę.

- W obu wypadkach wyleczyli go i wysłali z powrotem. Pamiętam, że wtedy a od maja nie mieliśmy od George'a żadnych wieści. Lada dzień miał przyjechać na krótką przepustkę, więc starałem się nie okazywać zdenerwowania. Poza tym tamtego lata chorowałem na wyjątkowo ciężki grypa, więc nie mogłem ledzić w gazetach przemieszczonego batalionu, w którym służył George.

Wpatrzyłem się we własne dłonie, w pokrywane cienkimi zmarszczkami. W niczym nie przypominały dłoni chłopca, który wpinał pinezki w mapę wiszącą na ścianie.

- Najgorsze było to, że nikt ze mnie nie porozmawiał. Ani wtedy, ani później. Kiedy wbiegłem do holu i popadłem do matki, po prostu mnie odepchnęła, jakby moja obecność budziła w niej wstręt. Niezbyt mocno, ale wystarczyło, abym zatoczył się na stojący w holu stolik, zwałając na podłogę kryształowy wazon z jesiennymi różami. Woda, kawałki szkła i porwane płatki kwiatów były na całym dywanie. To Florence zabrała mnie do kuchni, aby przemyć jodłem krwawym łodygą. Pamiętam jej zalane łzami twarz i przekrzywiony czepek. Wszyscy płakali: Florence i Maisie, i pani Taylor, nasza kucharka. One tak ją kochały George'a.

Mama zamknęła się w salonie i siedziała tam, dopóki nie wrócił ojciec. Zza drzwi dobiegał szmer ich rozmowy. Przycisnąłem ucho do wypolerowanego drewna, modliłem się, aby domyśliła się, że tam jestem,

i wpuścili mnie do rodzaka, żeby mnie pocieszyli. Ale żadne z nich nie pomyślało o mnie. I chociaż wiedziałem, że nadszedł telegram i wszystko legło w gruzach, to nikt się nie pofatygował, żeby zapoznać mnie z jego treścią. Żeby powiedzieć mi, co dokładnie stało się z George'em. Po prostu wszyscy zapomnieli o moim istnieniu.

Miałem już piętnaście lat, ale usiadłem w połowie schodów - tak jak wtedy, gdy byłem małym chłopcem - z głową opartą o poręcz, rękoma obejmując słupki. Przesiedziałem tak parę godzin, obserwując, jak zachodzące słońce przez wieca przez witraże i rzuca czerwone i niebieskie promienie na kamienną podłogę w holu.

- Czy chciałeś, żeby George do ciebie przyszedł?
Wzruszyłem ramionami.

- Sam nie wiem.

Fabrissa ostro nie wyciągnęła ręki i delikatnie nakryła dłoń moją dłoń. Jej palce były lodowato zimne, a dotyk tak lekki, tak nierzeczywisty, jakby wcale jej tam nie było. Mnie jednak przepęłniła wdziaczność za zrozumienie, jakie kryło się w tym geście. I wdziaczność za troskę.

- Dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się, że w telegramie napisano, iż George zaginął podczas akcji. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego ta nowina dotarła do nas tak późno. Tamto wydarzenie się przed wieloma, wieloma tygodniami. Dokładnie trzynastego czerwca. Wtedy doszło do bitwy na Łbie Dzika - w miejscu zwanym Ferm du Bois, na przedmieściach Richebourga l'Avoue. Dzień później zaczęła się bitwa nad Sommą. W telegramie napisano, że George „zaginął w akcji”. Nie chciał ponieść śmierci. To dlatego

tak trudno było mi się w tym połączyć. Myślałem - a raczej miałem nadzieję - że pozostaje pewien margines w tym względzie. Może Niemcy wzięli go do niewoli? Może leżał w jakimś szpitalu, postradał pamięć? Byłem wściekły na rodziców, że tak łatwo uwierzyli w najgorsze. że nie czepiali się nadziei, i być może ich syn wciąż żyje.

A później za pośrednictwem Coksa przysłano nam jego rzeczy. Wilgotne, zniszczone, sztywne od gliny, miedziane trupiarnie, drutem kolczastym i gazem. Czapka George'a przepadła bezpowrotnie, tak samo jak Order Podwójki i odznaka Roussillon, z których tak bardzo był dumny. Ale znalazła się tam jego kamizelka, sztywna od zaschniętej krwi, oraz szelki...

Z trudem przełknąłem to.

- Dopiero gdy podsłuchałem, jak Florence plotkowała przy tylnych drzwiach z chłopakiem ze sklepu z towarami żelaznymi, dotarło do mnie, że ciało George'a zostało rozerwane na strzypki i nie zostało nic, co nadawałoby się do identyfikacji. Prawie cały Trzynasty Batalion, składający się z mieszkańców Hampshire a także z East Sussex, został zmieciony z powierzchni ziemi. Od początku było wiadomo, że George zginął podczas tej zbiorowej masakry razem ze swoimi ludźmi. Chodziło o to, że po prostu nie dało się odróżnić jednego ciała od drugiego.

- I wtedy dopadła ci choroba?

Potrzebowałem głowy.

- Nie wtedy. Później. Załamanie nerwowe, zapał, *petit mal*, neurastenia, nerwy, jakkolwiek zechcesz to nazwać. To nie wyszło tak od razu - dopiero wtedy, gdy osiągnąłem wiek, w którym był George, kiedy

zginął. Dokładnie rzecz biorąc, zdarzyło się to w dniu moich dwudziestych pierwszych urodzin.

- Czy nie mówiłeś nikomu o swoim smutku?

Znowu wzruszyłem ramionami.

- A kto miałby mnie wysłuchać? W promieniu dwóch kilometrów od naszego domu mieszkało dwadzieścia, może trzydzieści rodzin, które były w takiej samej sytuacji jak my. Bitwa na Łbie Dzika przeszła do historii jako Dzień Zagłady Sussex. Setki tubylczych mężczyzn, chłopców takich jak George, poszło na wojnę, żeby nigdy z niej nie powrócił. W mojej wiosce, na ścianie Izby Pamięci jest tabliczka z nazwiskami trzydziestu mężczyzn - z różnych warstw społecznych - którzy polegli tamtego dnia. Tak samo było we wszystkich okolicznych wsiach. A potem zaraz nastąpiła kolejna bitwa, jeszcze gorsza, bardziej krwawa i trudniejsza do wytłumaczenia. Zdaje się, że wówczas myślałem, że nie mam prawa robić zamieszania. że jestem wystarczająco durny, żeby dać sobie z tym radę. Z pewnościami tak wcale nie uważali moi rodzice.

- Czyli żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, jak bardzo cierpisz?

- Wcale nie jestem pewien, czy to by im robiło jak różnicę. Widzisz, George był ich ukochanym synem. Nie chodziło o to, że celowo chcieli być dla mnie niedobrzy, tylko że już po utracie George'a wysłał z nich część do życia. Nawet przez myśl im nie przeszło, że ja również mogę za nim tęsknić. Ja za to, na swój popłuczony, staromodny sposób, uważałem, że rodzice mają większe prawo do smutku niż ja. Tak więc nic nie mówiłem.

- Twoi rodzice nie wiedzą?

Przytaknąłem.

- Matka zmarła zeszłej zimy, a ojciec na początku tego roku.

- Brakuje ci ich?

Zwykle w tym miejscu należało wymruczeć jakiś oklepany banał, ale tym razem się zawahałem. Jaki był sens kłamać? Z powodu dobrych manier, tradycji, obawy, że w oczach Fabrisy wyjdę na niewdzięcznika? Prawda wyglądała tak, że czułem ulgę, a nie żal. Teraz obydwójce nie żyli, więc nie było powodu udawać. Oboje okazali się niezdolni, by mnie kochać, ale to była ich wina, a nie moja.

- Czasami - odparłem po dłuższej chwili milczenia. - Od czasu do czasu coś się zdarza i wtedy o nich myślę. W sumie zachowałem kilka dobrych wspomnień. Jednak zasadniczo jest mi łatwiej bez nich.

Spojrzałem ostro nie na Fabrisę. Nie sprawiała wrażenia zgorzzonej ani zszokowanej moim wyznaniem. W migotliwym świetle więc jej skóra wydawała się niemal przezroczysta, jakby na skutek wysiłku wkładanego w słuchanie mnie odpłynęła z niej cała krew.

- Lubię myśleć, że byłbym zdolny zaakceptować jego śmierć, jeśli bym uwierzył, że to prawda. Chciałoby się tak, ale w końcu życie toczy się naprzód. Gdybym tylko mógł przyjechać do wiadomości, że on nie żyje... Ale nie potrafiłem się do tego zmusić. Przez całe lata. Sama myśl, że on już nigdy nie wejdzie przez drzwi, pogwizdując coś pod nosem, ani nie usiądzie w pokoju muzycznym, wypuszczając pod sufit kółka papierosowego dymu, podczas gdy ja zaczynam katować na fortepianie jak sonaty Beethovena, wydawała mi się zbyt absurdalna.

Jak s dz , wła nie brak wiedzy najbardziej udr czył mój nieszcz sny umysł. Nie wiedzie , co wła ciwie si wydarzyło, w jaki sposób on umarł ani kiedy? Ogarn ła mnie obsesja na punkcie poł czenia w jedno tych ostatnich chwil George'a. Przeczytałem ka d publikacj , która ukazała si w prasie podczas mojej choroby i któr przez to przeoczyłem. Przystudiowałem wszystko na temat bitwy pod Richebourgiem l'Avoue, co tylko trafiło do moich r k - o ukształtowaniu terenu, warunkach pogodowych, stosunku liczbowym ołnierzy tamtej armii do naszych... Wyszukałem tych kilku niedobitków, którzy prze yli walk , i napisałem do nich listy z pytaniem, czy przypadkiem nie widzieli, co si stało z George'em. Wzruszyłem ramionami. - Wszystkich wp dziłem w nieszcz cie...

- Zmarli pozostawiaj w ród nas swoje cienie, jak echo w przestrzeni, w której niegdy yli. Prze laduj nas, nie przekwitaj c, nie starzej c si tak jak my. Strata, któr oplakujemy, nie wpływa na ich przyszło , lecz wył cznie na nasz . - Fabrissa mówiła tak cicho, e musiałem wyt a słuch, by usłysze j przez hałas panuj cy na sali. - Ale nie to było przyczyn twojej choroby - dodała. - Nie sam fakt mierci brata, lecz to, co nast piło pó niej.

Znów skosztowałem wina i poczułem, e sala kołysze mi si przed oczyma. Wypiłem ju wicej ni dosy , ale wiedziałem, e musz czym przyt pi pami , je li w ogóle mam doko czy opowiadanie.

- Cokolwiek robiłem, rodzicom nie sprawiało to adnej ró nicy - powiedziałem zrównowa onym tonem. - Próbowałem jako wynagrodzi im utrat George'a. Starałem si podwójnie by dla nich

synem. Ale oni chcieli George'a, a nie jego kiepsk imitacj . Chcieli syna, który grał w rugby i krykieta, i który nie wahał si pój na wojn , nie za chorowitego, zamkni tego w sobie chłopca - chłopca, który bardziej interesował si muzyk i ksi kami ni jazd konn , polowaniami czy je d eniem na ły wach po rzece w zimie, kiedy Lavant cinała si lodem.

Zwijąłem w palcach nitk wyci gni t z tuniki; okr całem j dookoła palca tak długo, a w ko cu całkiem odci ła dopływ krwi. Mi kka skóra na koniuszku palca najpierw zbladła, a potem stała si fioletowa. Fizyczny dyskomfort wyra nie mnie uspokajał.

- Jak na ironi , je li wzi pod uwag niech rodziców do mojego zamiłowania do czytania, to wła nie pewna ksi ka ostatecznie wywołała u mnie atak choroby. Chodziło o ostatni prezent George'a dla mnie, który przysłał w grudniu tysi c dziewi set pi tnastego roku, owini ty w szary papier i zawi zany sznurkiem. - Zawahałem si . - Poza tym przytłaczał mnie ci ar winy. Przez sze lat ani razu nie udało mi si wypełzn z jego cienia. W ko cu zabrakło mi sił do wałki. Po prostu łatwiej było ulec.

- Z jakiego powodu miałby czu si winny?

Westchn łem.

- Z ka dego. Sam nie wiem. To nie ma sensu, ale wła nie tak si czułem. Czułem si winny, e jestem niedobrym synem, e byłem za młody, eby i walczy , e yj , podczas gdy George umarł... Znów z trudem przełkn łem lin . - Ale chyba przede wszystkim dlatego, e uczyłem si y bez niego. Wydawało mi si to aktem okropnej zdrady.

- Zdrady wobec kogo?

- Wobec George'a. - Niewyra nie machn łem r k ,
czuj c w yłach wypite wino. - Wobec nas. Wiem,
e to było zupełnie nieracjonalne.

- Prze y , kiedy inni umieraj ... To wymaga szczegó-
ólnego rodzaju odwagi - powiedziała mi kko.

- Tak. - Westchn łem z ulg , e Fabrisa mnie
rozumie. - Jest jeszcze co . Wiem, e teraz to zabrzmie
idiotycznie, ale przez całe dni i tygodnie po nadej-
ciu telegramu usiłowałem prowadzi z losem co
w rodzaju targu. Mówiłem - sam sobie, bo przecie
nie Bogu, w którego ju nie wierzyłem - e je li oka e
si , e George yje, to ja nie przeczytam tej ksi ki
albo nie zagram tej etiudy, albo zrobi to lub tamto.
Takie głupie zakłady, których nawet nie pami tam.

Mocniej poci gn łem za nitk i szarpałem j , dopó-
ki nie p kła. Napi cie ust piło; czułem, jak krew wraca
do mojego palca.

- Zaginiony w akcji... Zaginiony, przypuszczalnie
zabity... Nie mieli my ciała, eby je pochowa . Nie
było pogrzebu. Nie mogli my wznie pomnika, eby
upami tni mier George'a.

Fabrisa przytakn ła.

- Wtedy nie czuje si , e co przemin ło.

Pokr ciłem głow .

- Zrozumiałem to dopiero podczas pewnej uroczy-
sto ci w katedrze w Chichester, gdy uczczono pami
poległych ołnierzy z Królewskiego Regimentu
Hrabstwa Sussex, po wi caji c im kaplic wi tego
Jerzego. To było jedenastego listopada tysię c dzie-
wi set dwudziestego pierwszego roku, dokładnie
w rocznic zawieszenia broni. Wtedy dotarła do mnie
wiadomo jego całkowitej i zupełnej nieobecno ci.
Wtedy zrodziło si natarczywe, pozostawione bez

odpowiedzi pytanie, gdzie dokładnie zginął George?. W jaki sposób umarł? Jego nazwisko znajdowało się na liście i wszyscy je widzieli, ale co to właściwie miało znaczyć? Oczywiście był także pomnik - krzyż z białego kamienia na Eastgate Square i kolejna tablica w nowej izbie pamięci, która powstała w naszej wsi. Ale to również nie oznaczało obecności George'a.

- Jednak on to rozumiał. Tak więc wycofałem się z życia, żeby być razem z nim.

Zalała mnie fala wdzięczności, a oto ta przez liczną nieznaną, całkowicie obcą dziewczyną pojmuję w lotka dla moich przyjaciół, podczas gdy ci, którzy powinni byli znać mnie lepiej, nie rozumieli niczego.

- Wytrzymałem sześć lat. Ale w końcu nadeszło załamanie nerwowe, psychiczna zapadła, jakkolwiek to nazwać. Był grudzień tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku. Zabrano mnie do prywatnego szpitala, do sanatorium dla chorych z problemami psychicznymi, neurasteni i innymi konsekwencjami związanymi z przeżyciem okopów. Personel medyczny okazał się uprzejmy i dobrze wykształcony. - Zerknęłam na Fabrisse. - Kłopot w tym, że wcale nie chciałem wyzdrowieć, jeżeli oznaczałoby to utratę tej resztki kontaktu z bratem, jak jeszcze udało mi się zachować.

Nareszcie. Nareszcie to powiedziałem. Odetchnęłam głębiej i ze znużeniem opuściłem ramiona, jakby ta spowiedź kosztowała mnie wiele wysiłku. Wszystkie emocje, ale i pytania, którym tak długo pozwalałem gnić w swoim wnętrzu, leżały teraz rozrzucone jak zbyt ciężkie podarunki. Potem na moich ustach pojawił się cień uśmiechu. Czułem, że przynajmniej cię wyraża nie żelazną. Nadal byłem wyjątkowo cier-

ka, to jasne, ale po raz pierwszy od tamtego wrześniowego dnia tysiąc dziewięćset szesnastego roku moje podarte na strzepy serce zaznało odrobiny spokoju.

Zapadło między nami milczenie. Lecz w tej ciszy wszystkie wypowiedziane i niewypowiedziane słowa wydawały się śpiewać. W nich zawierał się cały świat.

- Nadszedł czas, by pozwolił mi odejść. Najwyższa pora wyjść z cienia i ty dobrze o tym wiesz.

W mgnieniu oka uniosłem powieki. W jej głosie i tonie było coś, co poruszyło inne, znacznie większe wspomnienie, przemykające po powierzchni mego umysłu. Bez wątpienia istniał jakiś związek pomiędzy jasnym głosem Fabrisy, przemawiającej do mnie w Ostał, i szeptem słyszonym na drodze do Videssos.

- Freddie... - odetchnęła raczej tym słowem niż je wymówiła. - Wiesz o tym. W przeciwnym wypadku nie byłoby ci tutaj.

Ten głos! Jej głos... Jak to możliwe? Czy by górskie powietrze splątało mi figła, zniekształcając i zmieniając moją zdolność rozpoznawania?

- To była ty - powiedziałem w końcu z niedowierzaniem, ale mimo wszystko wiedząc, że to prawda.
- To ciebie słyszałem.

NAPAD



Odwróciła głowę .

- Fabrissa? - zapytałem z naciskiem. - Czy to ty wołała do mnie w górach? Wcze niej, zanim jeszcze rozprętała się nie yca? To ty? Widziała mnie? Odpowiedz, prosz !

Wci nie odpowiadała. Ju chciałem dalej nalega , ale nagle dotarło do mnie, e atmosfera w Ostał uległa zmianie. W powietrzu czuło się oczekiwanie, było przepełnione napięciem.

Na moment oderwałem oczy od Fabrissy. W czasie naszej rozmowy wszystkie inne bod ce straciły znaczenie, lecz teraz wiat znów nabrał ostroci, zupełnie jak na zakończenie koncertu, gdy na widowni zapalają się światła. Białe obrusy nie wyglądały już tak nieskazitelnie jak przedtem, lecz były zastawione opróżnionymi talerzami, pochłapane winem i pełne okruchów chleba; walały się po nich kości kurczaka i resztki baraniej pieczeni.

Hałas wyrażony nie ucichł. Jak niski pomruk odpływu, który cofa się znad brzegu w głąb morza, szum rozmów nadal był słyszalny, choć znacznie bardziej przytłumiony niż przedtem. Wszędzie widziałem niespokojne spojrzenia, rzucane spod kapturów. Umilkły

miechy. Po raz pierwszy, odkąd usiadłem przy tym stole, ogarnęły mnie niedobre przeczucia.

Zwróciłem się do Fabrissy, ale ona pogryła się we własnych myślach. Kiedy wymówiłem na głos jej imię, drgnęła gwałtownie, jakby całkiem zapomniała o moim istnieniu.

- Fabrissa? - powtórzyłem łagodnie. - Co jest? Co tu się dzieje?

Popatrzyła na mnie, a w jej wzroku kryła się taka ałość, taka tsknota, że aż zaparło mi dech w piersiach. Zapomniałem się; instynkt kazał mi wyciągnąć ręce i objąć jej wspaniałe ramiona. Ukryte pod jakimś materiałem bawełnianej sukni ciało wydawało się tak szczupłe i kruche. Sama skóra i kości, niewiele więcej. Jednak tuż obok, czułem, jak moje serce piewa z radością, jak rozpiera się i jak z uniesienia szybuje w powietrzu. A potem Fabrissa odsunęła się, jakby mój dotyk sprawiał jej ból, więc cofnęłam rękę, choć mnie o to nie prosiła.

I nagle dotknęłam czegoś. Kawałek szorstkiego materiału, całkiem innego w strukturze niż reszta jej sukni. Ostro nie uniosłam włosów dziewczyny i ujrzałam prosty krzyż z ółtej tkaniny, wielkością mniej więcej mskiej dłoni, który był naszyty na plecach.

- Co to jest? - spytałam.

Potrzebowały głowy, jakby wyjątkowo były zbyt skomplikowane. Teraz dostrzegłam coś, co przedtem umknęło mojej uwadze - mianowicie, że kilkoro go ci nosiło takie same krzyże, przypięte do szat albo naszyte na plecach sukien.

- Fabrissa, co one oznaczają?

Nie odpowiedziała, ale widziałam, że zrobiła się niespokojna. Atmosfera na sali była ciężka i dusz-

na od napięcia. Wszyscy czekali na coś, co wkrótce się wydarzy, bez trudu mogłem to odczuć. Dreszcz spłynął mi po kręgosłupie. Sięgnąłem po szklankę z winem, całkiem zapominając, że jest pusta.

- Cholera!

Chyba jednak dobrze się stało, bo kontury przedmiotów zaczynały mi się lekko rozmazywać. Zdaje się, że byłem trochę podciety.

Wtedy doleciał do mnie całkiem wyraźny stukot kośkich kopyt, dobiegający z ulicy, a potem brzęk uprzęży. Zmarszczyłem brwi. Kto o tej porze i przy takiej temperaturze włączył się po mnie cie?

- Nic ci się nie stanie - powiedziała przede mną Fabrisa.

- Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Po długim milczeniu jej głos zabrzmiał zaskakująco głośno. Obejrzałem się na nią spłoszony.

- Nie zrobi mi krzywdy? Co chcesz przez to powiedzieć?

Ale jej oczy znów stały się pochmurne. Całkiem zbiło mnie to z tropu. Zupełnie nie wiedziałem, co o tym sądzić, co sądzi o tym wszystkim.

Spojrzałem na prawo. Mój sąsiad wciąż siedział pochylony nad swoim talerzem, ale przerwał jedzenie. Ten sam widok powtarzał się wzdłuż naszego stołu i na całej sali. Zaniepokojone twarze. Twarze pełne przestrochu. Twarze tych, którym wcześniej przedstawił mnie Guillaume Marty. Siostra Maury o pomarszczonych policzkach, Senher i Na Bernard, kurczowo trzymający się za ręce, wdowa Azema, spoglądająca w dal swoimi zmątniałymi od starości oczyma. Znów poszukałem wzrokiem madame Gały wiedząc, że widok znajomej osoby w pewnym stopniu mnie uspokoi, lecz nadal nie udało mi się nigdzie jej dostrzec.

Sala wydawała się zimniejsza i wypełniona tym samym poczuciem. Ale, które uderzyło mnie po wejściu do Nulle - z t r ó n i c , e teraz smutek zaprawiony był strachem.

Naraz w odległym końcu sali wybuchła jakaś sprzeczka. Słychać było podniesione głosy, potem łoskot wywracanej ławy. Z początku s d z i e m , e chodzi o jak p i j a c k b u r d . Ostatecznie było do p ó n o , a wino przez cały wieczór lało się strumieniami.

Fabrissa odwróciła się ku wejściu. Ja także spojrzałem w tamtym kierunku i dokładnie w tym momencie ciśnie drewniane drzwi otworzyły się z rozmachem. Do sali wkroczyli dwaj mężczyźni.

- Co, do diabła...

Ich twarze skrywały kwadratowe osłony stalowych hełmów; blask więc zamigotał na ostrzach obnażonych mieczy, odbijając się od metalu smugami roztańczonych, złotych iskier, podobnie jak po uderzeniu młotem w kowadło.

Przez moment panowało ogólne milczenie. Przelotnie zastanowiłem się, czy ten incydent tak stanowił część wieczornego rytuału. Może chodziło o absurdalnie wierne odtworzenie oryginalnych, dawno zapomnianych obchodów *fet de Saint-Etienne*, które potraktowano zbyt poważnie, podobnie jak spraw kostiumów, tradycyjnych potraw czy występ trubadura i jego *vielle*.

Wtedy rozległ się krzyk kobiety i już wiedziałem, że to nie przedstawienie. Wybuchła panika. Mój nieokrzesany siad niezgrabnie gramolił się na równe nogi, dając mi łokciem solidnego kupa. Upadłem na Fabrissę, a jej gęste włosy przelotnie musnęły mi twarz. Ogarnął mnie subtelny zapach lawendy i jabłek.

- Freddie... - wyszeptwała.

Kilku m... czyni starało się wypchnąć intruzów poza obręb budynku. Niektórzy wywijali nożami liwskimi, wyciągnęli te z pochw przy paskach, inni chwycili prowizoryczną broń, która akurat znalazła się pod ręką: polana, metalowe pręty z paleniska, a nawet ciężki szpikulec, na którym pieczono mięso.

Ostrza dęgały zajadle i ze wstępnym przeszywały powietrze, lecz ani razu nie zdołały się zetknąć. To była nierówna walka, bo choć oponenty byli lepiej uzbrojeni, ich przeciwnicy mieli zdecydowaną przewagę liczebną. Tłum ryczał i parł do przodu, wymachując niezliczonymi ciałkami i nogami. Podniósł się wrzask, aby zabarykadować drzwi. Sytuacja była naprawdę paskudna i z każdą chwilą stawała się coraz gorsza. Nie chciałem, aby Fabryssa znalazła się w niebezpiecznym miejscu.

Dziwne, lecz mimo wyczerpujących przeżyć tego dnia i chociaż musiało być już dobrze po północy, poczułem nagle przyływ energii, woli działania. Adrenalina krążyła mi w żyłach. Tym razem postanowiłem nie cofnąć się przed niczym.

Chwyciłem dłoń Fabryssy.

- Musimy się stąd wydostać.

- Jesteś pewien?

W jej tonie brzmiała miertelna powaga, jakby moja raczej oczywista propozycja miała jeszcze inne znaczenie, wykraczające poza zdrowy rozsądek. Wziąłem ją za rękę i fala gorąca pomknęła przez moje żyły, niosąc krew do podstawy kręgosłupa. Poczułem, że rosnę; jestem zdolny do czegoś nadzwyczajnego.

- Chodź. Muszę zabrać ci daleko stąd.

1

Czy udało mi się powstrzymać radośny uśmiech? Spojrzajcie wstecz, wcale nie jestem tego pewien, ponieważ wreszcie nadeszła moja godzina. Przez całe życie byłem kimś drugim, po lednim. Niewłaściwym człowiekiem na niewłaściwym miejscu. Kimś, kogo łatwo pokonać.

Nie takim jak George.

Tej nocy wszystko się odmieniło. Fabrissa obdarzyła mnie zaufaniem; wybrała właśnie mnie. To był dar, którego wcale się nie spodziewałem. Nawet teraz, po ponad pięciu latach od tamtego wydarzenia i w świetle wszystkich następnych wydarzeń, czuję, że euforia tamtej chwili nigdy mnie nie opuściła.

- Czy jest stąd inne wyjście?

Wskazała na odległą kłótnię sali.

Walcownicy zostali wypchnięci na zewnątrz, ale w środku trwała walka na całym pomieszczeniu między ludźmi, którzy nosili znak ółtego krzyża, i tymi, którzy go nie mieli. Miałem wrażenie, że obserwuję tę scenę gdzieś z wysokości, że nic mnie z nimi nie łączy, a mimo to znajduję się w samym centrum wydarzeń. Ciskałem dłońmi Fabrissy, rzuciłem się prosto w masę ludzkich ciał, jak gdyby starałem się płynąć naprzeciw fali. Biegliśmy razem, ona i ja, niezgrabnie trzymając się za ręce.

- Tędy? - rzuciłem podniesionym głosem, żeby mogła mnie usłyszeć.

Dostrzegłem nieduże drzwi w ścianie, na wpół ukryte za piramidami drewnianych krzesel i ciężkimi drewnianymi skrzyniami z metalowymi zamkami i okuciami.

Fabrissa skinęła głową.

- Te drzwi prowadzą do tunelu, który biegnie pod Ostałem.

Z sił , o której posiadanie nawet si nie podejrze-
wałem, przeci gn łem skrzyni na bok i zrzuciłem
krzesła z tak łatwo ci , jakby zrobiono je z tektury.

Czy byłem przera ony? Powinienem by , to jas-
ne, ale nie s dz , ebym wówczas odczuwał strach.
Dot d pozostało mi jedynie wspomnienie determina-
cji, z jak d yłem do jasno wyznaczonego celu - eby
zabra Fabriss w bezpieczne miejsce. Odczepiłem
haczyk i parłem na drzwi obiema dło mi, a powsta-
ła szpara wystarczaj co szeroka, eby my mogli si
tamt dy precisn . Wystarczyło da nura pod nisk
poprzeczn belk i po chwili obydwój zsun li my
si w mrok.

Stopnie były do płytkie i wyra nie zniszczone
po rodku, wi c mocniej ni dot d trzymałem dło
Fabrissy, eby my si nie po lizgn li. Ze znajduj -
cej si nad naszymi głowami sali dobiegały wrzaski
kobiet, wykrzykiwane m skimi głosami polecenia
i płacz dzieci. Potem rozległ si trzask rozłupywanego
drewna i szcz k metalu, który uderzał o metal. Chwil
pó niej drzwi zamkn ły si z trzaskiem i zanurzyli-
my si w całkowitej ciszy.

P dziłem naprzód, lecz wkrótce musiałem zwol-
ni , bo przecie nie znałem na pami wymiarów
tego tunelu. Tutaj powietrze było przynajmniej
suche, bez ładu wilgoci, a jego zapach przypominał
mi katedr i katakumby - wszystkie te ukryte miej-
sca, które pozostawały w zapomnieniu przez długie,
nudne lata. Jaka paj cza sie zawisła na mojej twa-
rzy, oblepiaj c usta i oczy. Spluni ciem odrzuciłem
precz filigranowe nici, cho nieprzyjemne wra enie
pozostało.

- Czy chcesz, ebym szła przed tob ? - W ciem-

no ci jej głos brzmiał niezwykle mi kko. - Chodziłam
t dy ju wcze niej.

U cism łem jej dło , eby zaznaczy , e dobrze
mi tak, jak jest, i zaraz poczułem, jak odwzajemnia
mój u cisk. U miechn łem si .

- Dok d prowadzi ten tunel?

- Na zbocze pagórka na zachód od wsi. To całkiem
niedaleko.

ÓŁTY KRZY



Potykaj c si , posuwali my si naprzód w zupełnej ciemno ci. Tunel pocz tkowo opadał, potem nagle przez jaki czas prowadził poziomo i wreszcie zaczął powoli pi si w gór . Oddychałem poszarpanymi, nierównymi haustami, a na moich skroniach i policzkach perlity si krople potu, który wgryzał si w ledwie zagojone zadrapanie.

Starałem si skoncentrowa na stawianiu kroków. Nie widziałem kompletnie nic. Od czasu do czasu czubkiem głowy muskałem sklepienie tunelu, ciany za były tak blisko, e mogłem si o nie otrze , lecz wci nie miałem poj cia, gdzie si znajdujemy. Jednak Fabrissa wydawała si tak spokojna jak wczynie. Nasze przyprawiaj ce o klaustrofobi otoczenie nie wywoływało w niej zm czenia ani nie powodowało zadyszki.

Tak wi c brn li my dalej, przedzieraj c si przez podziemny wiat, a wreszcie otoczenie zaczęło si zmienia . cie ka stawała si coraz bardziej stroma i w ko cu poczułem na twarzy powiew wie ego powietrza.

Nagle tunel skr cił ostro w gór . Mrok przed nami przeszedł z kompletnej czerni w szaro . Zza czego ,

co wyglądało na drzwi blokujące wylot tunelu, przewiecały szpileczki księycowego blasku.

Odetchnąłem z ulgą.

- Tam jest mosiężne kółko - powiedziała Fabrisa.

- Drzwi otwieraj się do środka.

Jak lepiec przesuwalem palcami po powierzchni desek, a wreszcie udało mi się trafić na uchwyt. Był nieprzyjemnie zimny i sztywny. Złapałem go z całej siły obiema rękoma i pociągnąłem do siebie. Nawet nie drgnęły. Szeroko rozstawiłem nogi, zaparłem się i spróbowałem jeszcze raz. Tym razem drzwi drgnęły w okolicach zawiasów, choć nadal nie ustąpiły.

- Czy to może być ktoś, kto zatarasował je od zewnątrz?

- Nie sądzę. Raczej jest tak dlatego, że od bardzo, bardzo dawna nikt tu nie przechodził.

To nie była odpowiednia chwila na zastanawianie się, co Fabrisa miała na myśli. Po prostu trzymałem mocno uchwyt i ciągnąłem z całej siły, potem zastosowałem serie ostro zakończonych szarpnięć, a wreszcie rozległy się głośne trzaski i drewno dookoła zawiasów pękło.

- No, prawie się udało - oznajmiłem, wciskając palce w szczelinę pomiędzy skrzydłem a framugą.

Fabrisa wsunęła ręce poniżej moich dłoni i dotknęła nas, co szarpali nas, a nagle przekonałem się, że znajdujemy się na zewnątrz, w chłodnym, nocnym powietrzu. Za naszymi plecami drzwi wisiały luźno na zawiasach, co przypominało mi wejście do nieczynnej kopalni miedzi, którą razem z George'em odkryliśmy w pewien deszczowy sierpniowy dzień podczas wakacji spędzanych w Kornwalii. Oczywiście George natychmiast chciał wejść do środka, ale ja byłem zbyt przerażony.

To były inne czasy, inne miejsce.

Odwróciłem się do Fabrisy, która stała bez ruchu w bezbarwnym, białym świetle księżyca.

- Jako wyszliśmy - wy dyszałem, staraj się odzyskać oddech.

- Tak - odrzekła z prostotą. - Wyszliśmy.

Staliśmy na nagim kawałku ziemi, mniej więcej w połowie wzniesienia położonego na wschód od wioski. Uświadomiłem sobie, że jestem po przeciwnej stronie doliny niż ta, z której przyszedłem do Nulle poprzedniego dnia po południu. Czułem, że wieje powietrze przyprawia mnie o zawrót głowy, a nasze osłabienie i towarzystwo Fabrisy wprawia w stan upojenia.

Nagle ogarnęło mnie poczucie winy, którego nie potrafiłem zignorować.

- Musz tam wracać. Musz coś zrobić. Jako pomóc. Może ktoś jest poważnie ranny.

Westchnęła.

- Tam wszystko już skończyło.

- Nie możemy być pewni.

- Wszędzie panuje spokój - odparła. - Posłuchaj. Popatrz. - Wskazała na leśną dolinę wioski. - Wszędzie jest cicho.

Przesunęłam wzrokiem za jej palcem, wyławiając z mroku strzeliste wieki ciała oraz szachownic domów, zabudowań i ulic, z których składało się Nulle. Sam Ostał, tonący w blasku księżyca, znajdował się dokładnie poniżej nas. Nie zaobserwowałem żadnego ruchu. Nikogo tam nie było. Nie dostrzegłem żadnych wiatów, a moje uszy nie wychwytywały niczego poza stateczną ciszą gór.

- Czy mam rozumieć, że to wszystko było czułością? - zapytałem. - Ci żołnierze? Walka?

Ale chociaż bardzo pragnęłam uwierzyć, że nie ma potrzeby interwencji, tamto zajęcie wydawało mi się stanowczo zbyt brutalne jak na odgrywanie komedii.

- Chodź - powiedziała cicho Fabryssa. - Zostało nam niewiele czasu.

- Dokąd idziemy?

- Do miejsca, gdzie możemy na spokojnie usiąść i porozmawiać.

Bez słowa ruszyła w dół; nie miałam wyboru, jak tylko iść za nią. Szła szybko, a jej długa biała kitna sukienka szeleciła, przy każdym ruchu owijając się dookoła nóg. Pod unoszącymi się włosami dostrzegłam w przelocie błękitny krzyk. Nie myślałam o tym, co zamierzam zrobić, przy każdym kroku, żeby się z nią zrównać.

- Zaczekaj!

Jednym szarpnięciem oderwałam z pleców Fabryssi postrzępiony kawałek materiału.

- Widzisz? Tam było więcej takich krzyków.

Uśmiechnęła się.

- Po co to zrobiłaś?

- Właściwie sam nie wiem po co. Bo nie tam wyglądał. Zupełnie jakby nie powinno go tam być - zaważałam się. - Masz coś przeciwko temu?

Czułam, jak bystre spojrzenie jej szarych oczu przebiega po mojej twarzy, zapamiętała każdy szczegół. W końcu Fabryssa potrząsnęła głową.

- Nie. To było odważne.

- Odważne?

- Zgodne z nakazem honoru.

Podczas gdy ja wciąż się zastanawiałam, dlaczego Fabryssa wybrała takie, a nie inne słowa, dziewczyna

odwróciła się, ruszając w dalszą drogę. Wepchnęłam
łóty krzyż do kieszeni i tak się poszedłem.

- A więc, co oznaczają te krzyże? Widziałem, że kil-
koro ludzi w sali tak się je nosiło.

Nie odpowiedziała ani nie zwolniła kroku. Nocne
powietrze zdawało się przesuwać razem z nią, a pół-
przezroczysty blask księżyca sprawiał, że miałem
wrażenie, iż jej postać składa się raczej z wody albo
powietrza niż z krwi i kości. Postanowiłem więc nie
naciskać. Nie chciałem zakłócać delikatnej równowa-
gi pomiędzy nami i to wydawało mi się w najlepszej
odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania, które pragnę-
łbym jej zadać.

Ścieżka wiała się zakosami w pokrytej rosą trawie.
Zerknąłem przez ramiona i ujrzałem otwór tunelu, któ-
ry oddalał się z każdą chwilą. Byliśmy już blisko
wioski, ale zamiast iść w kierunku Nulle, Fabryssa
poprowadziła mnie w kierunku małego stawu, który
znajdował się na zboczu, i wskazała ręką, że właśnie
tu powinniśmy się zatrzymać. Czym prędzej usiad-
łem na omszałym pniu zwalonego drzewa, wdychając,
że oto nadarzyła się okazja ulżenia obolałym stopom.
Buty na moich podszewkach zaczynały mnie uwierać.

Niebo powoli zmieniało kolor z czarnego na atra-
mentowy. Spojrzałem na szlak, którym przyszliśmy;
na pokrytej poranną rosą trawie pozostały srebrzyste
ślady moich stóp. Wit musiał być już całkiem nie-
daleko.

Przez moment zastanowiłem się, że to do-
dziwne widzieć rosę w grudniu, a potem przyszło
mi do głowy, że wcale nie odczuwam chłodu, choć
zostawiłem w Ostał mój płaszcz i czapkę. Poza tym
czułem się niezwykle lekko, jakby po spędzeniu wie-

czoru w towarzystwie Fabrisy spłynęło na mnie
nieco jej delikatno ci i subtelno ci.

Spojrzałem w dół na nieruchomą powierzchnię
wody i ujrzałem zapadnięte z braku snu policzki
i podkręcone oczy, które patrzyły na mnie w świetle
niepewnego brzasku dnia. Odbicie Fabrisy było zdecydowanie
mniej wyraźne. Odwróciłem się szybko,
przeraził mnie, że zaraz może zniknąć, ale wciąż tam
była.

- Bałem się, że ty...

- Jeszcze nie - odparła, czytając w moich myślach.

- Nie musimy przecież tam wracać.

- Zostało nam już niewiele czasu - odrzekła
z uśmiechem. - Chciałabym opowiedzieć ci coś
o sobie, jeżeli tylko będziesz miał ochotę mnie
wysłuchać.

Serce skoczyło mi w piersi.

- Bądź zaszczycony, słuchaj mnie wszystkiego,
co zechcesz mi opowiedzieć.

Przez cały wieczór nie paliłem, pewnie dlatego,
że inni tego nie palili. Nawet się nad tym zastanawiałem.
Ale teraz wyłowiłem z kieszeni papierosa
i zapalniczkę.

- Pozwolisz? - zapytałem, wyjmując papierosa
i stukając nim w srebrne wieczko.

Fabrisa pochyliła się w moją stronę.

- Co to jest?

- Gauloise'y - odpowiedziałem. - W normalnych
warunkach palę Dunhille, ale tu za nic nie można ich
kupić.

Podsunąłem jej papierosa. Pokręciła głowę,
ale z osłupieniem obserwowała każdy mój ruch.
Wpatrywała się we mnie, gdy wkładałem papierosa

do ust, a potem stulon dłoni osłaniałem zapałk ,
ebyj zapali , i gdy przytkn łem płomie do koniusz-
ka. Szeroko otworzyła oczy, gdy skr cony w kunsztow-
ne girlandy dym poszybował w rozja nione porann
zorz powietrze, i wyci gn ła r k , staraj c si owi-
n go sobie dookoła palców.

- Jakie to pi kne!

- Pi kne? - za miałem si oczarowany jej zachwy-
tem. - To tylko jeden ze sposobów palenia, jak s dz .

Zatrzasn łem papiero nic i razem z zapałkami
schowałem do kieszeni.

- Jeste nadzwyczajna. Szczerze mówi c, nigdy
dot d nie spotkałem kogo takiego jak ty.

- Jestem dokładnie taka sama jak inni - odparła.

U miechn łem si , my l c jednocześnie, jak bar-
dzo si myli i jak cudownie, e nie zdaje sobie z tego
sprawy.

OPOWIE FABRISSY



Przez dłu szy czas siedzieli my w milczeniu. Palilem papierosa, Fabrisa za utkwiła wzrok w sklepieniu nieba, jakby chciała policzy bledn ce gwiazdy. Czy naprawd wówczas wieciły gwiazdy? Nie potrafi sobie przypomnie .

Nagle usłyszałem, jak wci ga gł boko oddech i ju wiedziałem, e uło yła sobie w głowie cał histori , dokładnie tak samo jak wcz e niej ja. Natychmiast zgniotłem pod podeszw niedopałek i odwróciłem si , gotów do słuchania. Chciałem dowiedzie si o niej wszystkiego, co tylko zechce mi wyjawi . Pozna najdrobniejsze szczegóły. Zachwycaj ce, niemaj ce znaczenia detale.

- Urodziłam si pewnego wiosennego popołudnia - zaczę ła Fabrisa. - wiat wła nie budził si do ycia po ostrej, mro nej zimie, niegi topniały, a górskie potoki na nowo ruszyły w dół. Ł ki w wyszych partiach doliny wypełniły si drobnym, niebieskim, ółtym i ró owym kwieciem. Mój ojciec zwykł powtarza , e w dniu mych narodzin po raz pierwszy usłyszał nawoływanie kukułki. To dobry omen, uznał. Nasi s siedzi przyszli powita mnie z bochenkiem chleba - białego chleba, wypieczonego z białej m ki,

nie za z grubego, br zowego ziarna. Inni tak e przy-
nosili nam dary: gruby wełniany koc na zim , zwie-
rz ce skóry, gliniany garnuszek, drewnian skrzynek
z przyprawami... Najbardziej cenny był kawałek soli,
owini ty w kawałek bawełnianej szmatki, ufarbowa-
nej na niebiesko.

Nadszedł maj. Pasterze wraz ze stadami powró-
cili z zimowych pastwisk w Hiszpanii i nasza wio-
ska znów t tniła yciem i rozbrzmiewała odgłosami
codziennych zaj - kobiety spotykały si przy pracy,
e by pogaw dzi , a drewniane pedały krosien postu-
kiwały na kamieniach.

Zamilkła. Z rado ci w duszy czekałem na dalszy
ci g. Chciałem pozwoli , e by Fabrissa snuła t opo-
wie w swoim tempie i na swój sposób, podobnie
jak ona post piła ze mn . Nawiasem mówi c, sama
przyjemno słuchania jej głosu była tak wielka,
e Fabrissa mogła nawet recytowa list rzeczy odda-
nych do prania, a i tak w moich uszach brzmiałoby
to jak niebia ska muzyka.

- Moje narodziny zostały uznane za znak, e odt d
nasze ycie b dzie układa si lepiej - ci gn ła
po chwili. - Moja matka i ojciec cieszyli si we wsi
sympati i powa aniem. Byli wierni i przestrzegali
zasad honoru. Ojciec pisał listy w imieniu tych, któ-
rzy nie potrafili czyta ani pisa . Tłumaczył zawito ci
procedur s dowych tym, którzy potrzebowali, by kto
ich reprezentował albo udzielił pomocy. Ka dy pełnił
funkcj najbardziej zgodn ze swoim charakterem.

- Rozumiem - odparłem, cho naprawd nie rozu-
miałem niczego.

- Po latach przemocy i ci głych ataków wydawało
si , e nasi wrogowie skierowali spojrzenie w inn

stron i jeste my bezpieczni, przynajmniej przez jaki czas. Oczywiście zdarzały się zwykłe siedzkie nieporozumienia czy bójki, całkiem zwyczajne w społecznościach, które muszą żyć w cieniu wojny. Ale to były sporadyczne incydenty, nie zaś systematycznej akcji odwetowej. I chociaż kaźdy z nas znał kogoś, kogo zabrano do więzienia, to jednak większość tych ludzi wracała bez szwanku, a ich jedyną karą był obowiązek noszenia żółtego krzyża.

Instynktownie wsunąłem rękę do kieszeni. Wyjąłem stamtąd skrawek materiału i położyłem na kolanach.

- Czy mam rozumieć, że to był sposób karania ludzi?

Opuściłem spojrzenie na poszarpany kawałek materiału, na jego wyblakły, brzydki kolor. Co prawda zdarzało mi się słyszeć, że Niemcy nakładają sankcje na ludność cywilną - pisano o tym w „The Times” - ale nie spodziewałem się czegoś takiego.

- Jak się domyślasz, naszym wrogom chodziło głównie o upokorzenie tych, którzy nosili krzyż - mówiła dalej Fabryssa. - Ale w końcu, kiedy tak wielu ludzi zostało naznaczonych, ten symbol w pewien sposób stał się świadectwem niezłomności i siły charakteru.

- Czym w rodzaju symbolu honoru.

- Tak.

Przyszło mi do głowy, że dla Fabryssy ten krzyż jest pamiłką dawnych czasów i że może by gdzie chciała go zatrzymać, więc wyciągnąłem go w jej stronę.

- Przepraszam. Bardzo mi przykro, że ci go zabrałem.

Ale ona pokręciła głową. Przez chwilę nie bardzo wiedziałem, co robić, a w końcu schowałem

krzy z powrotem do kieszeni. Trudno było uznać szmatkę za klasyczny dar miłości, ale na razie to było wszystko, co miałem.

- Z biegiem czasu najazdy zdarzały się coraz częściej i coraz bardziej regularnie. Całe wsie zabierano do niewolnictwa - mężczyźni, kobiety, dzieci... Przynajmniej tak nam mówiono. W Montailou, odległym o niecałą godzinę drogi, przedsiadawca w Pamiers zaciągnął do siebie dego, kto miał więcej niż dwanaście lat. Przesłuchania ciągnęły się tygodniami. Ludzie opowiadali o tym szeptem, przysłaniając usta dłonią, albo zakrywając twarz rękami. Lecz nawet wtedy mieli nadzieję, że nasza wioska jest zbyt mała, aby ktoś poza nami mógł się nią zainteresować...

Po raz drugi w ciągu tak wielu dni w uszach zabrzmiały mi przykurzone słowa mojego nauczyciela.

- „Zielona ziemia, skąd pan w czerwieni krwi tych, którzy pozostali wierni...” - mruknął.

Efekt moich słów był natychmiastowy. Oczy Fabrissy zabłysły.

- Wiacie znasz naszą historię?

- Obawiam się, że bardzo pobieżnie. Tyle tylko, że w tym regionie konflikty zbrojne nie są niczym nowym.

- W takim razie wiesz, co to znaczy niewolnictwo - spędzenie długich lat w strachu, że ktoś z twoich bliskich pewnej nocy zostanie zabrany z domu. Najgorsze wydawało się to, że nie wiadomo było, komu można zaufać. Zdarzało się, że skuszeni obietnicami bezpieczeństwa i wizją bogactwa siedzący w ukryciu szpiegowie zdradzali swoich. Bałam się naszych wrogów, ale oni nie budzili we mnie nienawiści - zawahała się.

- Jednak trudno było nie gardzić tymi, którzy odwrócili się od własnej społeczności i stanęli do walki przeciwko nam.

Skin łem głow . We wczesnym okresie wojny - wydaje mi się, że to musiało być podczas pierwszej przepustki George'a - podsłuchałem, jak on i ojciec rozmawiali w gabinecie. Zostawili uchylone drzwi. Pamiętam tam, jak mój brat tłumaczył, że nie czuje nienawiści do zwykłych żołnierzy z niemieckiej armii, którzy podobnie jak on walczyli za swoją ojczyznę, uczciwie i sprawiedliwie. Ojciec przytakiwał - „tak, tak” - a powietrze było gęste od dymu papierosowego i oparów whisky. Jednak według George'a ci, którzy uchylali się od służby ze względu na dopychawki religijne, albo, co gorsza, szpiegowali na rzecz Niemców, zasługiwali wyłącznie na pogardę i obrzydzenie. A ja, podsłuchując na korytarzu ich rozmowy, wykluczony z tego mroźnego świata, wyraźnie słyszałem w głosie ojca podziw i zachwyt. I Bóg mi świadkiem, że byłem bardzo zazdrosny.

- Nie miałem pojęcia, że Niemcy działali również w tym rejonie Francji - powiedziałem na głos, bardziej do siebie niż do Fabrisy, starając się odepchnąć nieprzyjemne wspomnienia.

Znałem na pamięć listy pól bitewnych - Loos, Arras, wzgórze Łba Dzika, Passchendaele - gdzie w tępym osignięciu militarne zostały okupione krwi niezliczonych ludzkich istnień, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć żadnej znaczącej bitwy, która rozegrała się poniżej Doliny Loary.

- Nie - odpowiedziała. - Byłam do młoda, ale wietnie zdawałam sobie sprawę, że walka wcale nie toczy się w obronie wiary, lecz przede wszystkim

chodzi o terytorium, bogactwa, o zaspokojenie chci-
wości i demonstrację siły.

- Masz rację - mruknąłem., myśląc o pogardzie,
jak George wywił dla polityków, bez wahania wysy-
łając tych uczciwych ludzi na śmierć.

Wiatło wyraźnie przybierało na sile, z powro-
tem nadając wiatu jego zwykły kształt. Zerknąłem
na Fabrice i ujrzałem, jak bardzo jest blada. Jej skóra
w blasku wiatu wydawała się niemal niebieskawa.

- A potem stało się. Pewnego dnia żołnierze przy-
szli po nas.

EXODUS



Serce we mnie zamarło.

- Fabrissa, naprawdę nie musisz... Je li to dla ciebie zbyt trudne...

Jak e chciałem uchroni j od bólu, który nies wspomnienia! Jak bardzo pragn łem otoczy j ramionami i powiedzie , e ju wszystko w porz dku. Ale oczywi cie nic nie było w porz dku. Zreszt czy mogło by ?

Leciutko potrzebowała głow , lecz nawet si nie zajmowała. Zrozumiałem - skoro raz zdecydowała si mówi , chciała przej przez wszystko a do ko ca, cho by nie wiem ile miało j to kosztowa .

- To wydarzyło si w grudniu - mówiła. - Nastął pogodny dzie , bardzo zimny i ol niewaj cy od blasku słońca i bł kitu nieba. Po południu jasno zatrzymała si w górach nieco dłu ej ni zwykle, jak prz dza ze złotego jedwabiu rozrzucona na o nie onych wierzchołkach Sabarthes i Roc de Sedour. Wszystko połyskiwało złotem i biel . I chocia to kłóciło si z nasz wiar , pami tam, e pomy lałam, i trudno jest nie wierzy , e to r ka samego Boga stworzyła tak cudowny dzie .

Popatrzyłem na ni , wzruszony tak prostym i szczerym wyznaniem. Ale rado tamtego wspomnienia

zdawała się już ulotnić. Fabrissa znów była miertelnie poważna.

- Kiedy zapadł wieczór, wszyscy zgromadzili się w Ostał na fet.

- Na fet de Saint-Etienne?

Przytaknęła.

- Krężyły plotki, że w Tarascon widziano ołnierzy, lecz sędzieliśmy, że to zbyt daleko, żeby mieli tu przyjechać. Oczywiście istniały podejrzenia, że nasi wrogowie dysponują listami nazwisk, mają spisy majątków i wiedzą, kto złożył przysięgę na wierność, a tego mogli się dowiedzieć jedynie poprzez szpiegów, którzy byli w ukryciu pośród nas.

- Masz nadzieję, że tych, którzy nie zostali zmuszeni do noszenia ółtego krzyża?

- To nie takie proste - odparła, a potem się zawahała. - Ale gromadzić się na uroczystości, nie wiedzieliśmy, że oddział ołnierzy już wyruszył w góry... Tym razem pogłoski niestety okazały się prawdziwe. Moi rodzice, mój brat i ja spędziliśmy wieszcz poprzednich dwóch dni u rodziny mojej mamy w Junac, po przeciwnej stronie doliny. Podróż powrotna trwała dłużej, niż się spodziewaliśmy, a zimno osłabiło w tym czasie zdrowie mojego brata.

- Masz brata? - zawołałem bez tchu, choć od razu wiedziałem, że to idiotyczne z mojej strony, i tak się ucieszyłem z podobieństwa, jakie zaistniało pomiędzy nami. - Starszego brata?

- Był trzy lata młodszy ode mnie - odpowiedziała cicho.

-Był?

Potrząsnęła głową, mnie zaś ogarnęła wściekłość na samego siebie, że w ogóle się wtrąciłem. Czy bym

nie wiedział, że Fabrissa sama opowie mi o wszystkim, ale na swój własny sposób i w wybranym przez siebie momencie?

- Przepraszam. Nie powinienem ci przerywać.

- Już prawie dochodziliśmy do domu, gdy nagle z lasu wybiegł jakiś chłopiec. Był w szoku, połykał słowa i starał się mówić tak szybko, że prawie nie mogliśmy zrozumieć, co chce nam powiedzieć. Ojcu jako udało się go uspokoić i w końcu wyciągnął z tego przerażonego dziecka, że... - Przerwała, szeroko otwierając oczy.

- że co?

- że doszło do masakry. że wioski położone na dnie doliny zostały spalone do gołej ziemi. że wyrzucano do pieców starców, kobiety i dzieci. że pola spłynęły krwią...

Zmartwiałem.

- O mój Boże...

- Oczywiście nie mieliśmy pojęcia, czy te wieści są zgodne z prawdą - mówiła dalej Fabrissa. - W poprzednich tygodniach często zdarzały się fałszywe alarmy. Nie było żadnej pewności, że tym razem jest inaczej.

Wyciągnąłem z papieronicy następnego papierosa i zapaliłem.

- Co zrobiliście?

- Mój brat zawsze był słabego zdrowia, więc ojciec zdecydował, że zaprowadzi jego i matkę do domu. Mnie powiedział, że bym szła dalej, a on dołączy do mnie w Ostał tak szybko, jak tylko zdoła. Jeszcze zanim się rozdzielili, kazał mi obiecać, że nie piszę ani słowa na temat tamtego chłopca. Fałszywe czy prawdziwe, takie wieści ci mogły wnieść panikę i nie-

potrzebne przerwy. O wiele lepiej było poczekać, a ojciec omówi te sprawy ze starszymi i wspólnie postanowi, co należy przedsięwziąć.

Kiedy dotarłam do Ostału, zastałam wszystkich w doskonałych nastrojach. Cała wioska zgromadziła się, by wziąć udział w corocznym uroczystości. Serce krajało mi się na myśl, że w ciągu zaledwie paru godzin nasz wiat może zniknąć na zawsze.

- To musiało być bardzo trudne.

- Usiadłam za stołem, choć przytłaczał mnie ciężar tego, co wiedziałam i co za wszelką cenę musiałam ukryć przed innymi. Przez cały czas czujnie obserwowałam drzwi, czekając na przybycie ojca. Wreszcie wszedł i od razu on, Guillaume Marty, Senher Bernard, Senher Authier i reszta naszej starszyny zamknęli się w osobnym pomieszczeniu. - Fabrisa zawahała się przez chwilę. - Dopiero później dowiedziałam się, że ojciec jeszcze raz przepytał chłopca i przekonał się, że tamten z pewnościami mówił prawdę. Polecił matce spakować wszystkie rzeczy, które mogliśmy mieć na własnych grzbietach, a następnie kazał chłopcu chodzić od domu do domu, aby ostrzec tych, którzy nie poszli do Ostału. Co prawda nie było ich zbyt wielu. Stara Na Sanchez, zła ona chorobliwa, i monsieur Gały.

- Gały?

- Oczywiście w tamtej chwili nie miałam o niczym pojęcia. Wciąż modliłam się, aby ten alarm okazał się fałszywy. Pierwszą wskazówką, że jest inaczej, był stukot kopyt i parskanie koni. Chwilę później do Ostału wkroczyło dwóch żołnierzy i podniósł się zgwień.

Siedziałem jak sparaliżowany.

- Zaczęła się walka. Odnierze łatwo zostali wypchnięci na zewnątrz, drzwi zabarykadowano, ale znajdujący się pośród nas szpiegowie tak się przybyli uzbrojeni, by wesprzeć napastników. Lecz wkrótce również oni zostali pokonani. Sama obecność odnierz stanowiła najlepszy dowód, że główny oddział jest już w drodze. Codziennie zdarzało się, że wrogowie wysyłali kogoś na zwiady. Zwykle aresztowania przebiegały szybko i bez rozlewu krwi, tym razem jednak sprawy wyglądały inaczej. Przeraziła ich doniesienia o masakrze w dolinie zrobiły swoje. Ojciec, tak samo jak inni, wiedział, że musimy uciekać, zanim przyjdą główne siły.

- Nie wszyscy byli przygotowani do ucieczki. Raymond i Blanche Maury oświadczyli, że są zbyt starzy, żeby opuścić dom, i że raczej umrą we własnym łóżku. Jednak w końcu ci ludzie zrobili tak, jak im radzono, i wymknęli się z Ostału przez podziemny tunel. Nasi *bons hommes*, Guillaume Marty i Michel Authier, zostali wybrani, by zostać na posterunku i powstrzymać odnierz.

Od nadmiaru informacji kręciło mi się w głowie. Nagle dowiadywałem się o tylu zawikłanych, pogmatwanych sprawach.

- Matka szybko uporała się z wyznaczonym jej zadaniem. Podobnie jak inni, którzy zdecydowali się opuścić wioskę, zapakowała cały niewielki dobytek, jaki dała radzenie - bochenek chleba, trochę fasoli, wina, parę koców - i razem z moim bratem oraz resztą uciekinierów czekali na nas u wylotu tunelu. Droga mocno dała się we znaki mojemu bratu. Zawsze był chorowity i miał niewielki zapas sił, żeby przetrwać długi okres zimy. Widziałam po jego twarzy, jak bardzo

cierpi, cho nigdy si nie skar ył... - znowu przerwała opowie . - On nigdy si nie skar ył. Ani razu.

- Jak miał na imi ? - spytałem.

- Jean. Nazywał si Jean.

Przez moment siedzieli my w zupełnym milczeniu, a strz py wspomnie trzepotały wokół nas jak targane wiatrem wst ki.

- Dok d poszli cie? Czy w ogóle istniało jakie bezpieczne miejsce?

- W górach znajdowały si jaskinie, ukryte przed ludzkim okiem. - Wskazała przeciwn stron doliny, ponad dachami u pionych domów - w kierunku lasu, przez który zmierzałem w stron Nulle. - Najmniejszy rozst p w skale prowadził do tuneli, do znanych od pradawnych czasów kryjówek, do labiryntu przej i grot.

My l c o drogowskazach, które widziałem zaledwie wczoraj, a które prowadziły do jaski w Niaux i Lombrives, obejrzałem si do tyłu - na drog , któr schodzili my w dolin . Ciekawe, jak tamtym ludziom udało si przedosta na t stron wioski bez zwrócenia na siebie uwagi ólnierzy.

- Czy te pieczary były wystarczaj co obszerne, by pomie ci was wszystkich?

I znów ujrzałem ten sam, tajemniczy pół miech.

- Tam, pod ziemi , s całe miasta, wspaniałe i ogromne.

- Zdumiewaj ce.

- Tak. Dok d było mo na, jechali my na wozach, a droga stała si zbyt stroma. Wyprz gli my wi c muła, ufaj c, e sam znajdzie drog do domu. Nasi towarzysze post pili tak samo. Mieli my nadziej , e lady pozostawione przez kopyta naszych zwierz t

i koleiny posłu jako fałszywy ład dla tropi cych nas ołnierzy.

- Okr yli my wiosk , eby pój w przeciwnym kierunku, to znaczy na wschód. Szli my lasami, unikaj c otwartych przestrzeni. Potem rozpocz li my wspinaczk do miejsca, sk d mo na było dosta si do jaski .

- Wci nie rozumiem, w jaki sposób tak liczna grupa unikn ła spotkania z ołnierzami.

- Znali my ten teren jak własn kiesze , a oni nie. Poza tym mieli my szcz cie, bo tej nocy nie było ksi yca. Zreszt główny oddział znajdował si znacznie dalej, ni si obawiali my - zamilkła na chwil . - Pochód posuwał si do wolno, wybieraj c miejsca pogr one w mroku i pod osłon drzew. Nie zabrali my pochodni. Szli my w absolutnym milczeniu. Na odległym kra cu wioski znajduj si dwie cie ki wiod ce w gór przez las. Jedna bardzo stroma, zaro ni ta bukszpanem i srebrn brzoz . Druga jest nieco dłu sza, ale za to nie tak stroma, i szeroka na tyle, e dwie osoby mog i obok siebie.

- Wła nie t cie k dotarłem wczoraj do Nulle od wschodu, kiedy musiałem zej z głównej drogi.

- Była jeszcze noc, kiedy przybyli my do miejsca, gdzie obie cie ki si spotykaj . Mój brat ledwie trzymał si na nogach. Nic nie mówił, ale było jasne, e nie ujdzie daleko. Zamiast wi c i dalej z innymi, mój ojciec zdecydował, e troch odpoczniemy, a potem spróbujemy dogoni ich o pierwszym brzasku. Wci miał w pami ci pewn o wiele trudniejsz , lecz prostsz drog do jaski , ale kiedy zabł dził na niej jeszcze jako chłopiec i od tamtej pory ani razu tamt dy nie

szedł. Je li pami go nie zawodziła, mówił, pewien ostro nachylony stok prowadził a do płaskowy u; tamt dy za powinni my dosta si w pobl e miejsca, do którego zmierzała reszta mieszka ców wioski.

Opu cili my wi c naszych przyjaciół, ycz c im wszystkiego dobrego i wyra aj c nadziej , e spotkamy si nast pnego ranka. Potem ukryli my si w poszyciu, przytuleni do siebie w poszukiwaniu ciepła i owini ci kocami, aby jako przetrwa noc. Mój brat nic nie mówił, ale s dz c po paru chlipni ciach i zdławionym łkaniu, na sił starał si powstrzymać. Dałam mu troch wina i nakłoniłam go, eby zjadł odrobin chleba. Nie odwa yłam si za piewa kołysanki, dzi ki której mógłby szybciej zasn , lecz gładziłam go po włosach i tuliłam do siebie, eby własnym ciepłem ogrza jego szczuplutkie, dr ce ciało. Powoli jego oddech stawał si coraz spokojniejszy, a w ko cu Jean zasn ł. Ja tak e zasn łam.

O BRZASKU



- Zbudziło mnie potrzysanie za rami. Stał nade mniojciec. Na dworze witało. Słyszeli my z dołu nawoływania ołnierzy, a ich szorstkie przeklestwa niosły si w przejrzystym porannym powietrzu a do naszej kryjówki. Z pewno ci wiedzieli, e nie udało si nam odej daleko. Byli my pewni, e nikt z tych, którzy zostali w wiosce, nie zdradzi miejsca naszego ukrycia, ale serca ciskały si nam z obawy o ich ycie.

- Czy oni...? - pozwoliłem, by reszta pytania zawiśła w powietrzu.

- Ju nigdy wi cej ich nie zobaczyli my - odparła z prostot .

Nie było potrzeby mówi dalej.

- Jean był coraz słabszy. Nocny chłód i nasza przera aj ca sytuacja zrobiły swoje. Ojciec niósł go na plecach, ja z matk szły my za nimi. Z pocz tku ruszyli my w dół t strom cie k , szukaj c ukrytego przej cia, o którym wspominał mój ojciec. Wsz dzie panował nastrój opuszczenia i całkowitego bezruchu. Tylko z dołu dobiegały okrzyki i nawoływania ołnierzy.

- Nie uszli my daleko, gdy udało si nam natrafi na przerw w le nym poszyciu. Ojciec odci gn ł

na bok skroczone, poprzerastane gałęziami wawrzynu i odsłonił dawny szlak.

Na samo wspomnienie na twarzy Fabrisy pojawił się uśmiech.

- Naprawdę wyglądało to jak drewniane schody, których stopnie tworzyły korzenie drzew. Jean uważał, że to strasznie zabawne, więc od tej chwili dokładałam wszelkich starań, żeby go rozweselić.

Znowu spowiadała.

- W tamtym czasie kasał ją prawie bez przerwy. Ojciec wiele razy musiał delikatnie stawiać ją na ziemi i czekali my, gdy Jean walczył, żeby odzyskać oddech.

- W końcu udało się nam dojść do płaskowyzwiska, niewiele większego od skalnej półki wciętej w zbocze góry. Ujrzałam na twarzy ojca ulgę, że pamięć go nie zawiodła. Powyżej zauważyłam rozpadlinę w kształcie półksiężyca, ukrytą pod pochylą skarpą. Z miejsc położonych poniżej półki wejście do jaskini było całkowicie niewidoczne. Krótki tunel zaprowadził nas do wielkiej pieczary, która z kolei łączyła się z siecią jaskiń ukrytych głęboko w górach. Wkrótce usłyszeliśmy głosy i po niedługim czasie znaleźliśmy naszych siadów.

Z moich ust wymknęło się westchnienie ulgi.

- Każda rodzina zajmowała niewielki skrawek, na którym utworzyła swoje obozowisko. Na początku wszyscy byliśmy pełni nadziei. Dzieci bawiły się, zachwycone cudami podziemnego świata, a kobiety pomagały mojej matce opiekować się Jeanem. W pierwszym okresie jego zdrowie zaczęło się polepszać i widziałam, jak codziennie przybywa mu siła.

Zmarszczyłem brwi.

- Codziennie? To ile czasu przybywali cie w tych jaskiniach?

- Och, bardzo długo.

- Tygodnie? - spytałem, wstrząsnął ty na samym końcu takiej mołki ci.

- Długo. - Zamilkła na moment. - Była zima, więc przypuszczaliśmy, że ołnierze zrezygnują i dadzą nam spokój a do wiosny. Właśnie nie tak bywało w przeszłości. I z początku zdawało się, że takie mają zamiary. Odeszli, lecz pod koniec dnia niespodziewanie wrócili. Zawsze wracali. To była taka zabawa w kotka i myszkę.

Fabrissa przez chwilę patrzyła na mnie, zaraz jednak zwróciła spojrzenie w kierunku lasu na linii horyzontu.

- Po prostu my byliśmy ostatni, rozumiesz? Nasza wioska stanowiła jeden z nielicznych ocalałych bastionów oporu. Nie mogli pozwolić, żeby tak było nadal. Więc czekaliśmy i czekaliśmy, a nadeszły cię nie-yce. Wydawało się, że wtedy na pewno odejdziesz. Ale oni nie odchodzili. Okupowali wioskę. Naszą wioskę. Mijały kolejne tygodnie, a w końcu duch zaczął w nas podupadać. Mamy czy nie wymykali się z jaski, żeby przynieść jedzenie i odrobinę niezbędnych rzeczy - trochę oleju do lamp, wiec, rozpałki do ognisk - ale nigdy nie było tego do. Wszyscy byliśmy głodni i przemarznięci.

Zastanowiła się, a ja, po raz pierwszy odkładając opowiadać, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć ręk, by przytulić ją do siebie. Próbowałem zamknąć we własnych dłoniach drobne dłonie Fabrissy, lecz jej palce były tak lodowato zimne, że niemal nie czułem ich dotyku.

- Jean bardzo chorował. Wilgość i chłód wnikały w jego kości, w pierś. Nocami nie mógł spać. Bez prze-

rwymy kasłał i dławiał się, usiłując złapać oddech. Potrzebne mu było więcej powietrza i słone, czyli właśnie nie to, czego nie mogliśmy mu dać. Każdego dnia patrzyłam, jak wyciekają z niego siły, i wiedziałam, że nie mogłam niczego zrobić. Miał tylko czternaście lat, kiedy umarł...

Serce cisnęło mi się z żalu i współczucia. Wiem, że Fabrisa także straciła ukochanego brata, podobnie jak ja, tylko w o wiele gorszych okolicznościach, które dla mnie byłyby wręcz nie do zniesienia. Moja niewiedza co do okoliczności śmierci George'a przez ładowała mnie przez całe lata, ale przynajmniej nie musiałem patrzeć, jak zginął. A Fabrisa była z Jeanem przez cały czas. Widziała, jak odchodził, i w jakien sposób nie mogła zapobiec najgorszemu. Jak można w ogóle żyć, mając takie wspomnienia?

- Tak mi przykro - powiedziałem cicho.

Słone weszło, zimne i białe na tle błękitnego nieba. Ciemne kształty drzew i mroczne sylwetki gór pokryła zielenie i szarość czegoś nowego dnia. Bez trudu mogłem dostrzec w dali nieznajczap na czubku Roc de Sedour.

Przygarnąłem Fabrisę do siebie. Tym razem trzymałem ją mocno w ramionach, choć jej postać zdawała się tak nierzeczywista, i miałem wrażenie, że jest utkana z mgły.

- Nawet nie mogliśmy go pochować - wyszeptała.
- Ziemia na zewnątrz była zbyt twarda, a w jaskini podłoga stanowiła lita skała. Tak więc leżał z innymi, którzy także nie zdołali przeżyć: z Na Azem, dziećmi Bulotów... W miarę upływu czasu było ich znacznie, znacznie więcej.

Wstrzymałem oddech. Od tak dawna noc w noc widziałem obraz George'a umierającego w błocie

i krwi i zwojach kolczastego drutu, w przyprawiającym o mdłość smrodzie trupiarni, wśród towarzyszy walki, którzy zostali porozrywani na strzypę przez miny, grad pocisków albo zaduszeni gazem. Ale my i o Fabrissie, zamkni tej w takim miejscu obok zwłok ukochanego brata, wydawała się koszmarem o całym innym wymiarze.

- W tygodnie po jego mierci, mniej więcej w porze zimowych targów w Esperaza, nad linię drzew pojawiły się ciemne smugi skręconego dymu. Już wiedzieliśmy, że to płonie nasza wioska. Ogarnięcie w cieknęło - ci, że nie zdołaliśmy nas złapać - choć było wiadomo, że jesteśmy gdzie blisko - ognierze podłożyli ogień pod wszystkie zabudowania. Spalili wszystko, Ostał, nasze domy... Wszystko uległo zniszczeniu.

- Fabrissa... - Nie zdołałem wykrztusić nic więcej.

- Potem nadeszła odwilż i zaczęliśmy myśleć, że tamci o nas zapomnieli, więc staliśmy się mniej ostrożni. Pewnej nocy ktoś musiał zauważyć dwóch naszych mężczyzn, jak wracali do jaskini. Ognierze poszli ich ładem i wystawili wartę. Wkrótce odkryli jedno z wejść do tunelu i było tylko kwestią czasu, kiedy znajdą resztę...

Zamilkła na chwilę.

- Słyszeliśmy ich, jak zwałali na stos kamienie, jak wbijali młotami w skały drewniane belki... światło stawało się coraz słabsze, a w końcu zapadła ciemność. Miejsce, które dotychczas było naszym schronieniem, teraz stało się naszym grobem. Wszystkie szczeliny zostały zamknięte... Nikt nie mógł wydostać się na zewnątrz...

Czułem, jak Fabrissa wylizuje się z moich objęć. Nagle zakręciło mi się w głowie. Nudno ci, które

dotąd jako zdołałem opanowywać, tym razem wzięły nade mną góry.

- Nikt stamtąd nie wyszedł - szepnęła. - Nikt.

Bąłem się, a za chwilę zemdlałem. Dłonie mi zwilgotniały, a piersi przygniatał nieznośnie ciężar. Pochyliłem się naprzód i opierając ręce na kolanach, opukałem głowę.

- Freddie? - Usłyszałem szeptał Fabrissy.

W jej głosie brzmiał niepokój; kochałem ją za to.

- Wszystko w porządku.

- Freddie... - powtórzyła. - Nie bój się.

- Nie bój? Ja się nie boję...

Poderwałem głowę, a przed oczyma zataczała się ciemność kolorów. Wciąż słyszałem jej kojący głos, który powtarzał moje imię. I tym razem bezładnych w głębi wiedziałem, że to właśnie głos Fabrissy słyszałem podczas tej burzy.

- Ale jakim cudem? - mruknąłem sam do siebie. - Jak?

Spojrzałem na nią z niemym zaskoczeniem, widząc w jej oczach odbicie własnej udręki. Czułem się tak okropnie zmęczony. Nasza rozmowa strasznie mnie wyczerpała, a w dodatku zdałem sobie sprawę, że jestem przemarznięty do szpiku kości.

Fabrissa także sprawiała wrażenie znużonej. Nie poruszyła się, ale wyczuwałem w niej pewną nerwowość, jakby zbyt długo z czymś zwlekała. Czułem, że mi się wyślizguje i choć bardzo chciałem ją zatrzymać, jednak zdawałem sobie sprawę, że na to brakuje mi sił.

- Jest rano - wybełkotałem, spoglądając w dół na wioskę, w której zaczął się już poranny ruch. - Powinienem odprowadzić cię do domu.

Potrzebał mi miódz łopatkami, choć jednocześnie trząsłem się z zimna. Próbowaliśmy się podnieść, ale nagle zdałem sobie sprawę, że nogi odmawiają

mi posłuszeństwa. Uniosłem cię ręką do czoła.
Było tak gorąco, że niemal się oparzyłem.

- Czy może znów się zobaczy? - Potykałem się
na każdym słowie. - Może dzisiaj w późniejszej godzinie...

Czy powiedziałem to na głos, czy wymówiłem te
słowa tylko we własnej głowie?

Znów chciałem wstać, ale kolana ugryzły się pod
mnie. Opadłem na prowizoryczną ławkę, czując, jak
ostre krawędzie kory wbijają mi się w skórę.

- Fabrissa...

Walczyłem z całych sił, żeby podnieść głowę.
Chciałem się uwolnić, chciałem uciec z więzienia,
którym stała się dla mnie moja własna pamięć.

- Musz... odprowadzi cię... do domu... - powtó-
rzyłem, ale wszystko wyszło nie tak, jak trzeba.

Starałem się skupić wzrok na twarzy Fabrissy,
na jej szarych oczach, ale przede mną stały teraz
dwie dziewczyny, a ich obraz rozmazywał się, to znów
nabierał ostrości. Spróbowałem wymówić jej imię,
lecz słowa wiły mi w gardle.

- Wić znajdź mnie - wyszeptała. - Znajdź nas.
Wtedy będziesz mógł odprowadzić mnie do domu.

- Fabr...

Czy to ona mnie opuszczała, czy ja odchodziłem
od niej? Moje serce zapadło się wewnątrz siebie.

- Nie odchodź - wyszemrałem. - Proszę cię, Fabrissa!

Ale była już zbyt daleko. Już nie mogłem jej dosięgnąć.

- Przyjdź i znajdź mnie - rozległ się jej szept. -
Znajdź mnie, Freddie.

Potem nie czułem już nic oprócz przerażenia wiadomości,
że po raz kolejny zostałem zupełnie sam.

GOR CZKA



- *Monsieur Watson, s'il vous plait!*

Kto wołał mnie po nazwisku, a potem na moim ramieniu spoczęła czyja ręka i zaczęła energicznie mnie potrząsać. Ale za nic nie chciałem powrócić do rzeczywistości.

- Fabrissa...

- Monsieur Watson!

Całe moje ciało przeszywał ból. Byłem zupełnie zesztywniały i w nieprzyjemny sposób zdawałem sobie sprawę z istnienia po mojej lewej stronie rozmaitych kości - łokieć, biodra, rzepek stawu kolanowego - które spoczywały przyciśnięte do twardego podłoga. Prawą ręką zatoczyłem szeroki łuk i pod dłoń poczułem kurz i drewniane deski podłogi.

Próbowałem podnieść głowę, ale wówczas cały świat zawirował i z powrotem opadłem na poprzednie miejsce. Gdzie byłem? Znowu rozległ się ten głos, tylko odrobinę głębszy niż poprzednio. Energiczny i nieznoszący sprzeciwu, zupełnie jakbym słyszał kogoś z sanatoryjnych pielgniarek.

- *Monsieur, s'il vous plait, vous devez vous lever.*

- Fabrissa? - zamruczałem po raz kolejny.

I znowu na moim ramieniu pojawiła się ta sama rękawka, a mocne palce zacisnęły się, ugniatając ciało niemal do kości.

Dlaczego próbowali mnie obudzić? Nie potrzebowałem żadnych pigułek. Nie chciałem, żeby mnie budzono.

- Zostawcie mnie - mruknąłem, próbując przekręcić się na drugi bok.

- Monsieur, musi pan wstać. To niedobrze tak leżeć.

Najwyraźniej ta kobieta nie miała zamiaru odchodzić; zmusiłem się, żeby jeszcze raz otworzyć oczy, lecz zamiast białego, wykrochmalonego fartucha i czarnych bucików siostry oddziałowej ujrzałem par drewniaków.

Madame Gały. Nie byłem w sanatorium, lecz w pensjonacie w Nulle, i z jakiego powodu, którego nie umiałem od razu powiedzieć, leżałem na podłodze. Wytężyłem wszystkie siły, by się podciągnąć do pozycji siedzącej, wysunąłem spod siebie nogi, a potem spróbowałem wstać.

- Niech mi pan pozwoli pomóc sobie, monsieur. - Madame Gały ujęła mnie mocno pod łokieć i poprowadziła w stronę krzesła. - Proszę.

Osunąłem się miękko i natychmiast pochyliłem do przodu, opierając łokieć na kolanach. Czekałem, a przestanie kręcić mi się w głowie.

- Czy ona jest tutaj?

- Kto, monsieur?

- Fabrissa - odparłem, trochę podnosząc głos. - Czy wróciła ze mną? Jest tutaj?

- Nikogo tu nie ma - odparła madame Gały.

Bez trudu usłyszałem zakłopotanie, ukryte pod maską uprzejmości.

- Nie ma jej?

Fala rozczarowania wsi kła we mnie jak atrament w bibułę, choć mówiłem sobie, że właśnie nie tego należało się spodziewać. O tej porze Fabrisa z pewnością ci była już w domu, we własnym łóżku. Nagle przed moim nosem zjawiała się szklaneczka z jakim przezroczystym płynem.

- Proszę to wypić.

Zdołałem pociągnąć zaledwie kilka łyków przeraźliwie gorzkiego specyfiku, gdy palce zatrząsły mi się jak w febrze. Ciepła ręka madame Gały otoczyła moje dłoń, aby pomóc mi opróżnić szklaneczkę do dna, a potem delikatnie wyjęła ją spomiędzy moich palców.

- To pomoże panu zasnąć.

Posłusznie skinęłam głową, bo już dawno nauczyłam się nie pytać, do czego służą konkretne pigułki albo jak działają określone lekarstwa.

- Która godzina?

- Dziesiąta rano, monsieur.

- Rano?

- Tak jest.

Rozejrzałem się po pokoju. Najwyraźniej madame Gały miała rację. Wszystko dookoła skąpane było w białym świetle. Ogień zdążył się wypalić, pozostawiając na palenisku piramidki żółtego, szarego popiołu. Na kominku zauważyłem butelki i szklanki - obydwie puste.

- Zaniepokoiłiśmy się, kiedy rano nie zszedł pan na niadanie, monsieur.

- Nie miałem pojęcia, że już tak późno.

Zmarszczyłem brwi, starając się uporządkować w pamięci wydarzenia wczorajszego wieczora.

Wzi łem k piel i wróciłem do pokoju, eby wypa-
li papierosa i napi si czego mocniejszego pod-
czas szykowania si do wyj cia. Zerkn łem na swoje
ubranie. Wci miałem na sobie tunik i spodnie, ale
nigdzie nie było ladu mi kkich, skórzanych butów.
Nie pami tałem, ebym je zdejmował. Pokr ciem
głow i wtedy gdzie za oczami eksplodowała mi fee-
ria barw. Czym pr dziej przycisn łem pi ci do skroni,
eby okiełzna ból.

- Monsieur, mo e posła po doktora? - zawołała
szybko madame Gały.

- Nie, nie. adnych lekarzy.

Wirowanie w głowie wyra nie straciło impet
i po chwili wiat si uspokoił. Dlaczego nie pami ta-
łem rozstania z Fabriss ani drogi powrotnej do pen-
sjonatu? Najwidoczniej zdj łem buty i zacz łem si
rozbiere , ale co potem? Czy bym zemdlął?

- Czy pani wie, o której godzinie wróciłem do
domu?

- Wrócił pan, monsieur?

- Z Ostał. Kto przecie musiał mnie słysze .

W jej milczeniu pojawiła si jaka ostro no ; mógł-
bym przysi c, i madame Gały toczy walk z czym ,
co by mo e bardzo chciaaby powiedzie , ale brak jej
miało ci.

Zastanowiłem si , ile ona wie o tym, co si wyda-
rzyło. Czułem, e gor czka ro nie w zawrotnym tem-
pie, ale nie miało to znaczenia. W danym momencie,
w pensjonacie w Nulle, liczyło si jedynie to, dlaczego
nie ma przy mnie Fabrissy.

Dlaczego mnie opu ciła?

Odchyliłem si do tyłu na krze le. Co udało mi si
zapami ta ? Tak, wczesn cz wieczoru pami tałem

całkiem wyraźnie. Szedłem przez Place de l'Église, a następnie srebrzysty od mrozu alej, która prowadziła wzdłuż muru kościoła. Gwiazdy na niebie błyszczały jak diamenty, a ja skostniałymi z zimna palcami ciskałem ukrytą w kieszeni, odrzecznie narysowaną mapę. Tak trafiłem do Ostału, gdzie powitał mnie Guillaume Marty i przedstawił pozostałym gościom. Potem było gorąco, bijące od ognia huczące na kominie, rytmiczny zapiew trubadura, przyplawy i odpływy konwersacji...

I Fabrisa.

Z wrażenia wstrzymałem oddech. Fabrisa... Pamiętam tam, jak rozmawialiśmy w nieskończoność. Obnażyłem przed nią swoją duszę i byłem tym nieco skrępowany, lecz jednocześnie nie czułem, że ciar moich wspomnień wyrażałem. A potem zaczęły się kłopoty i uczta skończyła się bijatyką. Tak, dokładnie to pamiętałem. Ale czy nie wyszliśmy razem, Fabrisa i ja, wyłącznie dlatego, że zapewniła mi, że wszystko w porządku? Potem przyplawo wspomnienie pyłu i zakurzonych pajęczyn, których było pełno w tunelu, naszych ręk, rozdzieranych do krwi podczas zmagania z popkami deskami, wreszcie wyjście na powierzchnię w połowie wzniesienia położonego na zachód od wioski i szarego brzasku dnia. Pamiętałem, jak w godzinie witu siedzieliśmy nad stawem i jak nadeszła pora, gdy Fabrisa powierzyła mi swoje wspomnienia. Opowiedziała mi o swojej stracie i miłości.

Czy mogłem się mylić?

Wyskoczyłem z krzesła; kilka wielkich kroków wystarczyło, by przemierzyć pokój na ukos. Otworzyłem na oścież okno z takim rozmachem,

e uderzyło o cian , i wychyliłem si na zewn trz najdalej, jak starczyło mi odwagi. Chciałem zobaczy miejsce na wzgórzu, gdzie razem siedzieli my. Musiałem sam sobie udowodni , e znajduje si tam, gdzie powinno by . Lodowaty powiew wtargn ł do pokoju i okr cił si wokół mnie, cho mógłbym przysi c, e wcale nie czułem zimna.

R ka madame Gały znowu spocz ła na moim ramieniu.

- Prosz , monsieur, niech pan si schowa do rodka. Zazi bi si pan.

- To tam - odparłem, machaj c r k w kierunku wschodz cego sło ca. - Wła nie tam byłem razem z ni .

Ujrzałem zaniepokojenie mojej uprzejmej gospodyni i wła nie zamierzałem rozproszy jej w tpliwo ci, gdy nagle do mnie dotarło, e zmienił si rodzaj wiatła wpadaj cego do pokoju. Cały Place de l'Eglise pokrywała cieniutka warstewka białego puchu.

- O której zacz ł pada nieg?

- Och, wcz nie rano, monsieur. O trzeciej albo czwartej.

Okr ciłem si na pi cie, eby znale si twarz w twarz z madame Gały.

- Pani si myli. Z pewno ci nic nie padało, kiedy wracałem do domu, a wtedy musiała by ... - przerwałem, bo prawd mówi c, trudno mi było okre li dokładn godzin . - Nie pami tam dokładnie - przyznałem. - Wiem tylko, e było ju jasno.

Nie było tak zimno, eby mógł pada nieg, powiedziałem sobie, ale moje prze wiadczenie szybko osłabło. Spojrzałem na swoje chude, nagie ramiona. Skóra była szorstka od g siej skórki, a kostki zaci -

ni tych na parapecie dłoni zdęły przybrać sinawy odcień.

- Niegłęboko z pewnością ci padał północy - powtórzyłem z uporem, wskazując idealnie gładką przestrzeń pod oknem. - Widzi pani, nie ma żadnych ładów. Musiało zacząć padać już po moim powrocie.

- Powinien pan odpocząć, monsieur - powiedziała łagodnie.

Było jasne, że mi nie wierzy. Zniechęcony odsunąłem się od okna i pozwoliłem, aby je zamknęła. Zaskrzypiały zawiasy, a parę srebrnych płatków sfrunęło z parapetu na podłogę. Madame Gały zasunęła aluzję, odcinając nas od reszty świata. Metalowy uchwyt ze stukotem wskoczył na miejsce.

- Przecież musiała pani słyszeć, jak wracałem - upierałem się.

Westchnęła.

- Nie chodzi wyłącznie o to, kiedy zaczął padać niegłęboko - powiedziała z ociąganiem, jakby za wszelką cenę starała się nie powiedzieć za dużo.

- Co pani ma na myśli?

Zawahała się, z najwiskładniejszą starannością planując dobór słów.

- Czy jest pan pewien, monsieur, że w ogóle pan wychodził? Nie widziałam pana w Ostał wczoraj wieczorem. Nikt z gości pana nie widział. Martwiłam się, że może pan zabił dzień.

- To przecież... miechu warto.

- Doszłam do wniosku, że pewnie przemyślał pan jeszcze raz, czy celowe jest wychodzenie na taki zimny dzień. Dopiero gdy dzień rano nie pojawił się pan na niadaniu, zaniepokoiłam się, że może i leżał pan poczuł.

Nagle u wiadomiłem sobie, że chwyciłem się na nogach. W nadziei, że uda mi się ukryć własną słabość, oparłem się ramieniem o ścianę. Tapeta była już do starsza, ozdobiona powtarzającymi się motywami niebieskich i różowych kwiatków, i spłowiała w miejscach, gdzie promienie słoneczne wysały z niej kolor.

- Proszę, monsieur - powiedziała madame Gały. - Powinien pan usiąść.

Skrzyłem ramię.

- Do czego wyrażnie przypominam sobie, jak wkładałem tunikę. - Zerknąłem w dół. - To tunika, proszę pani, i te buty. Zostawiłem list w recepcji, a potem wyszedłem. Na zegarze była dokładnie dziesiąta. - Urwałem. - Czy znalazła pani mój list?

- Owszem - odpowiedziała z rozwagą. - Ale przypuszczam, że położył go pan tam, a potem wrócił do pokoju. Monsieur Gały twierdzi, że nie słyszał, jak pan wychodził.

Nic na to nie odpowiedziałem. Było jasne, że madame Gały coraz bardziej niepokoi się o stan mojego umysłu. Być może obawiała się, że jestem pijany albo cierpię z powodu opóźnionych skutków wczorajszego wypadku. Nagle jej spojrzenie umknęło przed moim wzrokiem i w ułamku sekundy wróciło, jakby istniało coś, co pragnęła przede mną ukryć. Za pół godziny za wolno, odezwał się w mojej głowie drwiący głos. Ten sam dokuczliwy głos, który tak często słyszałem w sanatorium - buntował mnie przeciwko zaleceniom lekarzy i staraniom pielęgniarek - ale szeptem, że już zniknął na dobre, skoro nie odezwał się przez tak długi czas.

Pożyczone buty leżały pod stołem. Czy to może być liwe, że po powrocie do pokoju zrzuciłem je z nóg

i zostawiłem właśnie tam? Widziałem, że są nieskazitelnie czyste. Nic nie wskazywało na to, by ktoś chodził w nich po ulicy, a już na pewno nie po niegu. Na czubkach nie było plam od mrozu albo rosy. Wyci gn łem r k , eby dotkn mankietów spodni. One tak e były zupełnie suche.

- Niech pani posłucha, madame, dokładnie pamiętam, jak szedłem do Ostała.

Starąłem się mówić wolno i wyraźnie, dokładnie wymawiając słowo po słowie, jak pijak, który ostro nie rozważa ka dy krok, zanim zdecyduje się go postawić.

- Szedłem zgodnie z planem, który mi pani narysowała. Najpierw na ukos przez plac, potem uliczką na lewo od kościoła...

- Na lewo? Powinien był pan pójść na prawo!

Nie pozwoliłem sobie przerwać.

- No cóż, ostatecznie i tak udało mi się trafić na miejsce. Co prawda musiałem zatrzymać się przez chwilę na skrzyżowaniu w labiryncie uliczek za kościołem, tak jak pani mnie ostrzegała, ale szybko się zorientowałem, gdzie jestem, i...

- Na skrzyżowaniu ulic, monsieur?

- ...i bez trudu znalazłem Ostała. Było tam już całkiem tłoczno i ka dy miał przebranie na *fet*, tak jak pani mówiła, więc wydaje się całkiem możliwe, że po prostu nie zauważyła mnie pani w tym tłumie, prawda?

Wyraz jej twarzy na serio zaczął mnie przerażać. Widziałem tam współczucie, ale i sporo prawdziwego zaniepokojenia. Pamiętałem, że dokładnie tak miała siostra oddziałowa w sanatorium w dniu, w którym mnie tam przyjmowano. Tak samo wtedy,

jak i teraz niewytłumaczalna przepa dzieliła logik
mojego wiata i wiata reszty ludzko ci. Wci spoty-
kało mnie to samo.

- Bardzo si ciesz , madame Gały, e podczas tej
szamotaniny nie doznała pani adnego uszczerbku
na zdrowiu. Bałem si , e kto mo e zrobi pani
krzywd .

- Krzywd , monsieur?

- Co prawda Fabrissa powiedziała, ebym si nie
martwił. Przypuszczam, e to cz tradycji zwi za-
nej z *fet* , ale musz przyzna , e udało wam si mnie
nabra . Wszystko wygl dało naprawd prawdziwie.
Oczywi cie to stało si znacznie pó niej, by mo e
pani ju wcz e niej poszła do domu.

Wiedziałem, e mówi za szybko i za gło no, lecz
nic nie mogłem na to poradzi .

- Przywitał mnie taki przyjemny go , który
nazywa si Guillaume Marty, a potem wzi ł za r k
i przedstawił... - zawahałem si przez chwil , eby
przypomnie sobie, kogo tam poznałem - ...dwóm
siostrom, wdowie o nazwisku Na Azema...

Madame Gały słuchała mnie w milczeniu.
Najwyra niej zrezygnowała z zamiaru przemówie-
nia mi do rozs dku. Moja pewno siebie znów nieco
si zachwiała.

- Była tam taka para mał e ska o nazwisku Authier
i całe mnóstwo innych pani s siadów. Ale wi kszo
wieczoru sp dziłem w towarzystwie pewnej czaru-
jcej dziewczyny... - zamilkłem, bo nagle poczułem
si zmieszany. - Nazywała si Fabrissa. Czy pani
j zna?

Napotkałem nieruchome spojrzenie madame Gały
i dostrzegłem w nim co w rodzaju politowania. Nagle

w mojej pamięci ożył wyrazisty obraz matki, który utrwalił mi się tamtego dnia w restauracji w pobliżu Piccadilly, i jak inny wyraz twarzy. Nie było tam litości, tylko niechęć i wstręt. Zamrugałem, wciągnęła na siebie, a zachowałem takie nic niewarte wspomnienie, a co gorsza - ona wciągnęła potrafiło mnie zabrać, podobnie jak wiele innych.

Spróbowałem jeszcze raz.

- Chodzi mi o taką uderzającą cię dziewczynę z długimi, czarnymi włosami, rozpuszczonymi na ramiona. Ma bladą cerę i zadziwiająco szare oczy. Pani przecież musi wiedzieć, o kogo chodzi.

Madame Gały się poruszyła.

- Nie znam nikogo o tym imieniu.

- No dobrze, może w takim razie była tam czyimś gościem?

Jeszcze zanim te słowa wymknęły się z moich ust, już wiedziałem, że to całkiem nieprawdopodobne. Gdyby Fabryssa rzeczywiście przysłała do Ostała z kimś innym, to czy rozmawiałaby ze mną przez całą noc? Czy zgodziłaby się wyjść stamtąd w moim towarzystwie?

- No cóż, być może tak - wymamrotałem. - Jeśli przypadłem jej do gustu...

Nagle przypomniało mi się coś jeszcze, co mogło stanowić pewien dowód.

- Mój płaszcz - zawołałem pełen entuzjazmu. - Zostawiłem go w przedsiönku w Ostała. Kiedy wybuchło zamieszanie, tak się spieszyłem, aby jak najprędzej nas stamtąd wydostać, a całkiem o nim zapomniałem. Na pewno nadal tam jest.

Patrzyła na mnie bez zmuszenia oka.

- Pański płaszcz wisi na haczyku przy drzwiach

wej ciowych, gdzie osobi cie powiesiłam go wczoraj wieczorem, eby wysechł.

- W takim razie kto musiał go tu przynie -
o wiadczyłem, cho prawd mówi c, moja wola wal-
ki wyczerpała si do cna.

Czy to w ogóle miało sens? Dowody przedstawione przez madame Gały pozostawały w jawnej sprzeczności z moimi wspomnieniami z minionego wieczoru. Cóż wi cej mo na było powiedzie ?

- Fabrissa musiała go znale i przyniosła go tutaj -
- mrukn łem.

Gdzie była teraz?

Dreszcz wstrz sn ł całym moim ciałem. Nagie deski podłogi bole nie raniły mi stopy. Obj łem si r koma, czuj c pod cienk tunik kształt własnych eber.

Madame Gały wzi ła mnie pod rami .

- Pan powinien koniecznie poło y si do łó ka, monsieur.

- Kto musi j zna - powiedziałem, cho bez sprzeciwu pozwoliłem gospodyni d wign si z krzesła i poprowadzi w kierunku łó ka.

Odwróciła si , gdy zdejmowałem spodnie, a potem podniosła kołdr , ja za posłusznie wsun -
łem si do po cieli. Jak łatwo mi było z powrotem wcieli si w rol pacjenta. Lamówka z błyszcz ce-
go materiału otaczała regularne kwadraty kołdry. Madame Gały podci gn ła wysoko przykrycie, a pod moj brod , a nast pnie troskliwie wygładzi-
ła fałdy. Do diabła, gdzie si podziała Fabrissa? Znów wracały do mnie urywki naszej rozmowy, dotycz ce okropnej tragedii, jaka stała si udziałem jej rodziny.

- Czy podczas wojny na tych terenach wrogie wojska prowadziły jakie szeroko zakrojone działania?
- zapytałem.

Jeśli nawet zaskoczyłem madame Gały tym nieoczekiwanym zmianą tematu, nie dała tego po sobie poznać. Teraz oczywiście już wiem, że po prostu starała się mnie udobruchać. Tak samo zachowywali się lekarze i pielęgniarki w szpitalu. Pierwsza zasada: nie robić nic, co może spowodować albo poruszyć pacjenta.

- W Le Vernet był obóz dla jeńców niemieckich - odparła. - Ale to spory kawałek stąd.

- My lałem raczej o jednostkach niemieckich, które pojawiały się na tym obszarze. O nieoficjalnych akcjach.

Pochyliła się nade mną, żeby poprawić kołdrę. -
- żeby zobaczyć, czy dobrze.

- Stracili my wielu naszych chłopców; wielu młodych ludzi stąd walczyło na północy kraju... Monsieur Gały i ja...

Przerwała i przez ułamek sekundy, zanim zdążyła ukryć swoje uczucia, w jej oczach błysnął ból. Ze wstydem przyznałam, że nie próbowałam dowieść się prawdy. Dopiero później się dowiedziałem, co spotkało madame Gały. Co spotkało jej rodzinę.

- Wiście nie trafiały tu żadne zabłędne oddziały?

- Nie, monsieur. W naszym regionie nie prowadzono walk.

Osunęłam się bezwładnie na poduszki zagłówek. A opowieść Fabrisy? Ten wstrząsający opis ataku na wioskę, kiedy wszyscy mieszkańcy musieli uciekać w górę? Śmierć jej brata? To przecież były prawdziwe przeżycia, bolesne i żywe.

- Wiście Nulle nigdy nie padło ofiarą wojny? Nie

było tu żadnego najazdu, wysiedlenia, niczego podobnego?

-Nie.

Czy bym coś le zrozumiał? Naturalnie, to całym moim liwem. Tak samo jak to, że poplątałem historię Fabrisy z własną. I znowu - załóżmy, że tak było. Zamknijmy oczy. Czy jestem człowiekiem, który potrafi odróżnić prawdę od kłamstwa? Właśnie o to zapytała mnie Fabrisa wczorajszego wieczoru. Wówczas byłem pewien, że tak. Ale teraz? Teraz nie umiałem nawet odpowiedzieć na pytania, które mi stawiano.

- Jednak w Nulle czuję się straszny smutek. - Usłyszałem własny głos. - Kiedy tu przybyłem, od razu wiedziałem, że coś jest nie w porządku. że nad tym wioskiem wisi jakiś cień.

Madame Gały przerwała krzyknieniem.

- Wczoraj wieczorem w Ostał było zupełnie inaczej - mówiłem dalej. - Tam wszyscy doskonale się bawili, przynajmniej do momentu, gdy zaczęło się owo nieporozumienie.

Nagle madame Gały na nowo podjęła swoją pracę - zupełnie jakby ktoś wcisnął niewidzialny przełącznik - choć nadal nie odezwała się ani jednym słowem. Z niezwykłą pieczołowitością ustawiła krzesła przy stole i powiesiła moje spodnie na stojaku do ubrań.

- Czy jeszcze potrzeba panu czegoś, monsieur?

Nic nie przychodziło mi do głowy. Ale nagle doszedłem do wniosku, że chciałbym, aby została. Jej obecność przynosiła mi ukojenie.

- Błagam, że sprawiam pani tyle kłopotu...

- Jestem szczęśliwa, że mogę panu pomóc, monsieur.

Zabrała pustą butelkę oraz szklankę i postawiła je na tacy.

- Zajrzyj tu mniej więcej za godzinę - powiedziała.
- A teraz powinien pan spróbować zasnąć.

Byłem zmęczony, tak bardzo zmęczony... Był może zaczął działać rodek nasenny, który mi podała.

- Kiedy odzyska pan nieco siły, Michel Breillac będzie do pańskiej dyspozycji. On zna się trochę na samochodach. Z pewnościan panu pomoże.

- Dziękuję - wymruczałem, ale już wyszła, zostawiając uchylone drzwi.

Nasłuchiwałem stukania jej sabotów, oddalających się korytarzem i potem w dół po schodach. Ten dźwięk wydawał się dziwnie uspokajający, zwyczajny... Z powrotem opadłem na poduszki.

Z wyjątkiem uczucia łęczycego mnie z George'em, idea miłości zawsze wydawała mi się kwestią podporządkowania siebie innej osobie. Oddania się we władanie jakimś przemożnym siłom będącym utraty kontroli nad własnym życiem. Teraz myślałem o miłości jako o czymś naturalnym - czymś, nad czym nie trzeba się zastanawiać, jak nad oddychaniem albo podnoszeniem twarzy do słońca w pogodny, letni dzień.

Fabrissa... To imię krążyło w moich myślach na kształt dziecięcej piosenki. Fabrissa. Melodia jej imienia obracała się, związała spiralnie i okręcała coraz ciężej i ciężej dookoła kądzielczy steczki mojego ciała.

- Gdzie jesteście?

Nagle uświadomiłem sobie, że odezwałem się na głos, choć nie miało to żadnego znaczenia. Nie było tu nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć.

- Znajdźcie - wymruczałem, zjęj imieniem na ustach osuwając się w bezdenną otchłań.

POD OPIEK MADAME GAŁY



Przespałem cały ten dzień a do wieczoru, albo raczej dryfowałem to w jedną, to w drugą stronę niepokojnego półsnu. Zdawałem sobie sprawę, że ktoś wchodzi do pokoju i wychodzi z niego; widziałem jakie kształty, rozmazane twarze, słyszałem, jak układano drewno w kominku, a potem doleciał do mnie trzask zapalanej zapalniczki, gdy służka rozniecała ogień.

W pełni zbudziłem się tylko dwukrotnie. Raz, kiedy madame Gały postawiła obok łóżka miskę gorzej zupy i kawałek chleba, i dopilnowała, abym to zjadł; drugi, gdy wróciła, by zaaplikować mi kolejną porcję gorzkiego białego lekarstwa. Czy to był jakiś tradycyjny tutejszy rodek leczniczy? Nigdy się nie dowiedziałem i, prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodziło.

- Która godzina?

- Póznaj - odparła, przykładając chłodną dłoń do mojego czoła.

Nie pomyślałem, żeby ją zapytać, czemu zadaje sobie tyle trudu dla zupełnie obcego człowieka. Z pewnością czuła się w pewien sposób za mnie odpowiedzialna, jako za gościa, który przybył do jej domu, ale nawet w takim wypadku jej troska wykraczała poza zwykłe granice obowiązku.

Jednak macierzy ska opieka madame Gały okazała si niewystarczaj ca, by powstrzyma gor czk . Wraz z nastaniem wieczoru temperatura zacz ła niebezpiecznie pi si w gór . Rytmiczne skurcze napi nały ka dy mój mi sie i ka de ci gno, gdy próbo wałem pokona chorob , ale siły obronne organizmu były zbyt w tle, ja sam za zbyt słaby, by móc zrobi cokolwiek poza łudzeniem si nadziej , e jako uda mi si zwalczy niemoc.

Moja skóra na przemian płon ła i oblewała si potem; rzucałem si i obracałem na łó ku jak szcz tki rozbitego statku miotane po morzu przez nawałnic , prze ładowany przez sny i oszuka cze złudzenia. Orszaki aniołów, wstr tne gargulce i upiorne zjawy, jak równie dawno niewidziani przyjaciele tanecznym krokiem przesuwali si przed moimi oczyma przy d wi kach karuzeli z wesołego miasteczka, a potem melodii „Dla Elizy”, któr w ko cu zast pił rytm ragtime'u.

Przez całe godziny, jak pó niej oznajmiła mi madame Gały, znajdowałem si w stanie zawieszenia, podczas gdy gor czka szybowwała coraz wy ej i wy ej. Z pewno ci oscylo wałem pomi dzy złudzeniem pi kna a koszmarem. Najpierw spod wie o skopanej ziemi wynurzyła si r ka ko ciotrupa, a na konarach obumierały p ki kwiatów. Potem patrzyłem z tyłu na postaci rodziców, oboj tnych i głuchych na moje pragnienie, by mnie kochali. Wreszcie ujrzałem u miechni tego George'a, który stał w ogrodzie nad strumieniem, ale gdy zawołałem go po imieniu, odsun ł si poza zasi g moich r k i zwyczajnie odwrócił si , by odej . Chwil pó niej pogodny krajobraz zast piły obrazy kolczastego drutu, błota i krwi, walki i innych niewyobra alnych cierpie tego wiata.

Gorczka ust piła mniej wi cej o trzeciej nad ranem. Czułem, e wynosi si chyłkiem z podwini tym ogonem, jak parszywy kundel. Gdy opadła, przestałem si trz , a skóra, dot d lepka, wreszcie wróciła do normalnego stanu. Po raz pierwszy od paru godzin zobaczyłem, e otaczaj mnie dobrze znane przedmioty codziennego u ytku. Ujrzałem krzesło, spodnie rozwieszona na wieszaku do ubra , stół, dogasaj ce na palenisku płomienie, i w ko cu madame Gały, która spokojnie pochrapywała na krze le obok mojego łó ka. Pasemka siwych włosów wymkn ły si z jej starannie splecionego warkocza; w przelocie mign ła mi twarz młodej, przystojnej dziewczyny, któr niegdy była. Nie potrafiłem sobie przypomnie adnej sytuacji, kiedy moja matka okazywała tak trosk o mnie. Nie budz c kobiety, wyci gn łem r k i lekko poło yłem dło na jej dłoni.

- Dzi kuj - wyszeptałem.

W pokoju panowała niesamowita cisza. W pi - cym i pogr onym w bezruchu domu bez trudu mogłem usłysze warkot maszynerii i tykanie stoj - cego na dole w holu zegara. Zło yłem r ce na kołdrze w pozie kamiennego rycerza spoczywaj cego na pły - cie nagrobka i odwróciłem si do okna. Zastanowiłem si , czy w tej e chwili Fabrissa tak e spogl da w nocny mrok i czy przypadkiem przyszło jej do głowy, eby przyj tu i o mnie zapyta . Rzuciłbym jej do stóp t resztk , która jeszcze ze mnie została - te poszarpane kawałki mojej duszy - z nadziej , e zechce mnie pokocha . Czy mo liwe, e j wystraszyłem? Czy le a - ła teraz z szeroko otwartymi oczyma w ciemno ci, my l c o mnie tak, jak ja my lałem o niej?

Ksi ycowy blask przedarł si przez zamkni - te aluzje i nakre lił na podłodze dług , jasn lini .

Przyglądałem się, jak światło księżyca tańczyło i powoli przesuwało się w miarę upływu godzin, podczas gdy wiat obracał się w swoim zwykłym tempie. Myślałem o tym, co powiem Fabrissie, gdy wreszcie ją odnajdę. O pięknie drobnych rzeczy. O tym, jak ptaki rozwijają skrzydła do lotu, uderzając nimi w powietrze, o małych, białych kwiatkach lnu, który kwitnie latem, i o parafianym kocińku, który w porze niw zdobi pługi i kłosa zboża. O nutach, wspinających się po skali chromatycznej. O tym, że bym ją kochał.

Później zapadłem w sen. I tym razem nic mi się nie śniło.

Gdy się obudziłem, było już rano. Madame Gały zdołała pójść, a krzesło stało oparte o ścianę, jakby nikt go stamtąd nie ruszał. Fizycznie byłem wykończony, lecz ogólnie czułem się znakomicie - powiedziałem, od dawna nie czułem się tak dobrze. Poza tym dokuczał mi piekielny głód.

Usiadłem prosto, rozważając kwestię, czy już wstać, czy jeszcze trochę poleżeć. Nie miałem pojęcia, która jest godzina. Właśnie gdy zdecydowałem, że jednak umyję się i ubiorę, rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę.

Do pokoju weszła madame Gały, niosąc przewieszoną przez ramię moją wieczerkę z koszulką oraz wigającą przed sobą tacę z niadaniem.

- Przyniosłam panu coś do zjedzenia - oznajmiła.

Uśmiechnąłem się i wygładziłem kołdrę.

- Jak to miło z pani strony. Muszę przyznać, że dzisiaj mam wilczy apetyt.

Byłem wzruszony tym, że natychmiast wynalazła sobie w pokoju jakieś zajęcie, żeby ukradkiem sprawdzić, czy na pewno zjadam wszystko do ostatniego okruszka. Kiedy chciałem wyrazić wdzięczność za jej nocne czuwanie, zbyła mnie machnięciem ręki. Jednak słowa z delikatnego rumieńca, który oblał jej policzki, moje słowa musiały sprawić jej przyjemność.

- List został dostarczony do rodziców przyjaciół wczoraj po południu, monsieur. Chłopiec może jutro jeszcze raz, kiedy tylko będzie pan wiedział, jak wygląda sprawa, jeżeli chodzi o pański samochód.

- Dziękuję - powiedziałem, wycierając ręce w serwetkę. - Pani, zdaje się, mówiła, że jest tu ktoś, kto mógłby pomóc?

Skinęła głową.

- Michel Breillac i jego synowie przyjdą punktualnie o dziesiątej.

- A która jest godzina?

- Dochodzi dziewięć.

- Doskonale. W ciągu godziny na pewno się przygotowa.

Kiedy madame Gały zrozumiała, że zamierzam im towarzyszyć, po jej szerokiej twarzy przemknął cień zaniepokojenia.

- Nie sądzę, żeby to było rozsądne z pańskiej strony, monsieur, zwłaszcza, przez co pan przeszedł wczoraj wieczorem. Jest chłodno, niewiele powyżej zera. Lepiej, jeżeli monsieur Breillac dowie się od pana, gdzie jest pański wóz, a resztę zajmie się sam. To bardzo bystry człowiek.

Może wydaje się to niezwykle, że zastanawiałem się nad tak eskapadą po powąnym ataku gorączki,

ale prawd mówię, wierzyłem, że po tej nocy jestem silniejszy i w lepszej kondycji niż dotychczas. Czułem się pełen animuszu i zdrowszy na ciele i umyśle, niż byłem przez dłuższy czas.

- Czuję się całkiem dobrze - uśmiechnąłem się. - Właśnie ciwie jestem w szczytowej formie.

Madame Gały pokręciła głowę.

- Będzie znacznie lepiej, jeżeli odpocznie pan jeszcze jeden dzień. Teraz nie wolno panu się przemęczać.

- Zobacz pani, że wszystko będzie dobrze - powtórzyłem z naciskiem.

Oczywiście nadzorowanie ratowania mojego małego, biednego auta wcale nie było głównym celem, jakim się przywieszałem. Madame Gały mówiła, że nie zna dziewczyny o imieniu Fabrissa, więc należało znaleźć kogoś, kto ją zna, a tego z pewnością nie mogłem sobie pozwolić, tracić czas na wypoczynek w miejscowym pensjonacie.

- No cóż, jak pan sobie życzy, monsieur - westchnęła, choć widziałem, że uważa mnie za wariata. - Proszę być gotowym o dziesięć tej.

Gdy wyszła, czym prędzej odrzuciłem kołdrę i wyskoczyłem z łóżka. Pod nagimi stopami czułem chłód desek, ale tym razem podłoga nie chwiała się pod mną. Szybko spryskałem twarz zimną wodą i postarałem się przyczesać zwichrzoną czuprynę, a następnie przesunąłem palcami po brodzie, aha! - nie mam przy sobie maszynki do golenia. Wolałem jednak nie wołać madame Gały, na wypadek gdyby chciała ponownie starania i wyperswadować mi wyprawę z Breillacami.

Ubrałem się do końca i wciągnąłem na nogi fitwell-sy. Skóra na mocnych, starych butach pomarszczyła

si nieco na skutek suszenia przy gor cym komin-
ku, ale w aden sposób nie wpłyn ło to na wygod
noszenia. Nast pnie pogrzebałem w kieszeni spod-
ni w poszukiwaniu papiero nicy i zapalek, a potem
otworzyłem okno, eby wyjrze na pokryty biel Place
de l'Eglise.

Ponownie zanurzyłem r k w kieszeni. I nic.
Poło yłem papierosa na parapecie i zmarszczyłem
brwi. Mógłbym przysi c, e po tym, jak chciałem
odda ółty krzy Fabrissie, a ona go nie przyj ła,
schowałem kawałek materiału z powrotem do kie-
szeni. A jednak kiesze była pusta. Znalazłem tylko
kł bek kłaczków i wypalon zapałk .

Czy to mo liwe, e wypadł mi gdzie po drodze
do domu? Skoro nie potrafiłem sobie przypomnie ,
jak wracałem, takie wytłumaczenie wydawało si
najbardziej prawdopodobne, cho czułem si mocno
zawiedziony.

- Nic nie szkodzi - mrukn łem, zamykaj c okno.
Bo widzi pan, byłem pewien, e jako j znajd .

WYPRAWA W GÓRY



Kiedy zabrzmiało dziesięć uderzenie zegara, zszedłem na dół, do recepcji.

Monsieur Breillac i jego dwaj synowie już na mnie czekali, więc szybko zostali mi przedstawieni. Guillaume i Pierre Breillac byli bliźniakami w wieku osiemnastu, może dziewiętnastu lat, a ich twarze ginęły w ogromnych futrzanych czapkach zwieszanych pod brodę. Byli tak do siebie podobni, że z trudem mogłem ich odróżnić - a do chwili, gdy się okazało, że Guillaume do końca nie mówi po angielsku, natomiast Pierre nie zna ani słowa w tym języku. Monsieur Breillac nie powiedział nic, tylko skinął głową na powitanie; w jego oczach dostrzegłem ten sam smutek, który za miewał spojrzenie monsieur Galy'ego, a także jego oczy, gdy się działo, że nikt jej nie widzi.

Madame Galy wciąż się upierała, że nie powinienem wychodzić z domu, ale gdy spostrzegła, że nie dam się zniechęcić, znalazła mi futrzaną czapkę i szalik, a także parę grubych męskich rękawic.

- Proszę podziękować panu Galy'emu za poświęcenie - powiedziałem. - Pasuj jak ulań.

- One nie są własnością moją - odparła cicho.

Zauważyłem, że bracia Breillac i ich ojciec wymienili pośpieszne spojrzenia, ale nikt nie powiedział ani słowa, więc bez zbędnych komentarzy wsunąłem dłoń w kieszenie w trzech kawkach i zapomniałem o całej sprawie.

Guillaume podjął się roli tłumacza, bo mimo że całkiem nieźle mówiłem po francusku, to mój zasób słów nie obejmował takich pojęć, jak wał napędowy albo stopień w starszych typach samochodów. Po sporej ilości gestykulacji przeplatanej niezdatnym tłumaczeniem udało nam się ustalić, gdzie mniej więcej znajduje się moje auto i co moim zdaniem wymaga naprawy.

Wyruszyliśmy krótko po dziesiątej piętnaście przy błękitnym, bezchmurnym niebie, na którym nie znalazł się ani jeden obłoczek. Gdy przechodziliśmy przez Place de l'Eglise, czułem, że serce mi rośnie na widok niezwykłej urody tego miejsca; patrzyłem na ten sam stary wiat innymi oczyma. Białe, zimowe słońce wisiało nisko na niebie i dzień był wietlisty i pogodny, aczkolwiek dość zimny.

Monsieur Breillac położył rękę na ramieniu Guillaume'a i przez chwilę przejrzał mi przez ramię. Poczekałem, aż jego syn wszystko przetłumaczy. Okazało się, że padła propozycja, byśmy raczej poszli przez las, niż ryzykowali jazdę charretonem.

- To dwuosobowy wózek cięgnięty przez osła - wyjąknął Guillaume, widząc moje podniesione pytanie co brwi. - Ojciec uważa, że droga jest oblodzona, więc jazda po niej może być powolna i zdradliwa, natomiast prowadzić przez las będzie ciężej, osłonięte przez drzewa, są o wiele bardziej bezpieczne dla podróżnych.

Oczywi cie, je li mam wystarczaj co du o sił
na tak wypraw ...

Bior c pod uwag , jak bardzo byłem chory, mo e
si pan dziwi mojej arogancji albo raczej głupocie, jak
pewnie pan uwa a. Doprawdy, sam si sobie dziwi ,
nawet dzi jeszcze. Kiedy spogl dam wstecz, mog
powiedzie jedynie tyle, i okazało si , e miałem
do siły, która była mi potrzebna. Gor czka pozosta-
wiła rodzaj nerwowej energii i poczucie celu, którego
od pewnego czasu mi brakowało.

Z ochot przystałem na propozycj monsieur
Breillaca. Musz przyzna , e byłem podekscytowany.
Podczas odpoczynku przy stawie Fabrissa powiedzia-
ła, ebymj odszukał. A teraz znów szedłem w te same
góry, gdzie po raz pierwszy usłyszałem jej głos.

Na szcz cie w ci gu nocy nie spadł wie y nieg,
wi c pomimo solidnego mrozu maszerowało si nam
całkiem nie le. Wyruszyli my w do dobrym tempie
i wkrótce znale li my si na mostku, który przekro-
czyłem przed dwoma dniami. Kiedy ci kim kro-
kiem po nim przeszli my, Trzy Gburowate Kozły i ja,
spojrzałem w dół: zamarzni ta woda l niła w wietle
grudniowego dnia jak gładka, szklana powierzchnia.
Z lodu sterczały kawałki trzciny i br zowego sitowia,
podobne do rz dów male kich ólnierzyków, którzy
zostali wzi ci w niewol akurat w tej chwili, gdy zima
odniosła zwyci stwo.

W drowali my przez jednostajny krajobraz, przez
br zowe bruzdy kolein, pokryte lodow skorup ,
i w niedługim czasie znale li my si na obrze ach
lasu, gdzie gał zie drzew połyskiwały od mrozu.

Wskazałem cie k , któr schodziłem, i jeden za dru-
gim ruszyli my pod gór . Było do stromo, a mimo

to wydawało mi się, że wspinaczka wymaga mniej wysiłku niż poprzednio. Breillac i jego synowie okazali się spokojnymi towarzyszami, a słoneczna i bezwietrzna pogoda podnosiła mnie na duchu. Wytężyłem słuch, w nadziei, że znów usłyszę głos Fabrissy, lecz dzień nie wskazywało na to, że we mgle ukrywają się jakieś postacie albo że na wzgórzach kryją się strażnicy.

Powstrzymałem się od pytania Breillaców, czy znają Fabrissę, ponieważ nie chciałem pozbawić się resztek złudzeń. Im dłużej udawało mi się omijać ten temat, tym dłużej mogłem pielęgnować w sercu nadzieję, że tamci powiedzą mi, gdzie ją znaleźć.

Tak więc szli my przed siebie. Pamiętam, że gdzieś z wysokości, z gąstwin nagich gałęzi, dobiegał pieśń jakiegoś ptaka. Może to był kos, może w drowny drożdż - wydawało się dziwne słuchać tych typowo angielskich dźwięków w głębi francuskiego lasu, co bezzwłocznie podsunęło mi absurdalną myśl, że bym może któregoś dnia, trzymając się za rękę, będziemy razem z Fabrissą w drodze po kredowych wyżynach hrabstwa Sussex. Oczywiście moje plany przypominały raczej zamki z piasku - były ulotne jak sny, jak marzenia o srebrzystych dniach, które możemy spędzić w towarzystwie ukochanej osoby. Jak niezliczone zmierzchy, kiedy razem spojrzę na słoneczko, znikające powoli w głębi ziemi. Jak noce ukołysane w czyich objęciach... Umiechnęłam się na wspomnienie młodych, szarych oczu, bladej cery, i gęstych, wspaniałych włosów, które mi kłósały opadały na jej ramiona. Serce zabiło mi z tęsknoty i pragnienia, by jak najszybciej ją zobaczyć.

- Guillaume, czy znasz dziewczynę o imieniu Fabrissę ?

Pomyślał przez moment, a potem pokręcił głową.
- Moje Pierre jak zna? Albo wasz ojciec? Czy może się zapyta?

Odwrócił się do nich, ja zaś nadal paplałem lekkim tonem, zbierając siły, żeby stawić czoło rozczarowaniu.

- Zostali my przedstawieni sobie dwa dni temu, podczas *fet*. Jak ostatni idiota nie zapamiętałem jej nazwiska. Bardzo jestem ciekaw, gdzie ona mieszka.

Usłyszałem, jak Breillac senior powtarza jej imię i zaraz kręcił głową, podobnie jak w chwilę później Pierre. Wreszcie Guillaume zwrócił się do mnie.

- Nie - oznajmił. - Żaden z nich nie zna takiej dziewczyny. Nawiasem mówiąc - dorzucił - mój ojciec nie przypomina sobie, żeby widział pana w Ostał, monsieur.

Łódź skurczył mi się nieprzyjemnie.

- Nie widział mnie? No cóż, było tam mnóstwo ludzi. Trudno kogo zauważyć w takim tłoku. Na przykład ja przez całą noc nawet w przelocie nie zauważyłem madame Gały, a to właśnie ona mnie tam zaprosiła. To pewnie taki zwyczaj, jak się działo - zamilkłem na chwilę. - Mam nadzieję, że twój ojciec nie brał udziału w walce?

Zachichotałem.

- Czy wiesz, że z początku myślałem, że to wszystko dzieje się na serio? Te miecze i hełmy... Wyglądało to bardzo przekonująco.

Guillaume wbił we mnie spojrzenie.

- Walka, monsieur?

- No dobrze, niech będzie, że bijatyka. Zwykła bójka. Nagle urwałem, żeby popatrzeć na niego.

- Ty tak było tam, Guillaume? Na *fet de Saint-Etienne*?

- Oczywiście, że byłem. Wszyscy byli my.

Wydawał się naprawdę zbity z tropu, a ja, czując, że w pewien sposób zepsułem nam wszystkim ten dzień, nie odezwałem się już ani słowem. Ale w głębi duszy bardzo się zżymałem. Nawet zakładając, że przez większość czasu byłem zajęty czymś innym, to chyba do dziwnego, że moje wrażenie z tamtego wieczoru tak bardzo różniło się od ich wspomnień?

Teraz rzadko padało jakieś słowo, bo cieka robiła się coraz bardziej stroma. W końcu dotarliśmy do skrzyżowania, gdzie dwieście kilometrów czyły się w jedną drogą prowadzącą do głównej drogi.

Zatrzymaliśmy się dla złapania tchu. I właśnie wtedy poczułem na karku znajome mrowienie, ten sam ruch powietrza. Spojrzałem na góste poszycie po mojej lewej stronie i w mroku udało mi się rozpoznać skręcone korzenie wiekowych drzew, nękające w zбочu góry.

- Jak schody - mruknąłem, słysząc w głowie głos Fabrisy.

- Monsieur, czy to ta droga?

- Słucham?

Zdałem sobie sprawę, że moi trzej towarzysze zatrzymali się i patrzyli na mnie wyczekując, aby im następną wskazówkę.

- Tak, to właśnie ciwa droga. Prosto przed siebie.

WSPANIAŁY POMYSŁ

Zbliła się jedenasta trzydzieci, kiedy wynurzyli my się z lasu tu obok znaku na drewnianej tabliczce.

Znow przystaliśmy na krótki odpoczynek. Począstowałem swoich towarzyszy papierosami, Breillac senior zaopodobał nam piersiówk wypełnioną paskudnym trunkiem o zapachu anyżu. Kiedy dygnął solidny łyk, a następnie wytarł brzeg rękawic i podał dalej.

Okropna pogoda sprzed dwóch dni, jak również moje zdezorientowanie tu po katastrofie sprawiły, że nie potrafiłem oszacować nawet w przybliżeniu, ile czasu nam trzeba, aby dotrzeć do miejsca wypadku. W rzeczywistości maszerowali my drogą nie dłużej niż pięć minut, gdy w polu widzenia pojawił się biały austin.

- *Voilà* - zawołałem z ulgą, że jakim cudem moje auto jednak nie osunęło się w przepaść. - *Voilà la voiture.*

Na wpół lizgając się po oblodzonej nawierzchni, na wpół idąc, mozolili my się jeszcze minut lub dwie, aby pokonać ostatnie dwieście metrów. We czwórkę gapili my się na auto, podczas gdy Breillac i jego

synowie rozmawiali o czymś tak szybko, że w ten sposób nie mogłem za nimi nadążyć.

Przyglądałem się, jak Guillaume zdejmuje z ramienia zwój liny i przywiązuje ją do tylnego zderzaka. Drugi koniec okręcił sobie wokół pasa. Pierre poszedł w jego stronę. Oparli ręce na kolanach i zaczęli się głośno, podczas gdy stary Breillac stał z boku i wydzierał się na cały głos jak naganiacz na targu rybnym.

Przy odgłosach skrzypienia metalu i posapywania chłopców auto powolutku wynurzało się z nadkrawężnika przepaści, a wreszcie wszystkie cztery koła znalazły się na *terra firma*.

- Znakomicie - krzyknąłem do Guillaume'a. *-Et a vous, Pierre, merci.*

Guillaume odwiązał liny i odsunął się, żeby ojciec mógł dokładnie obejrzeć zniszczenia. Stary Breillac obszedł dookoła poobijany samochód, jak klient biorący udział w licytacji, a następnie pokręcił głową, wskazując, że po prostu osłaniając wlot powietrza do chłodnicy oraz kilka niezidentyfikowanych przewodów, które wisiały jak pęk porozrywanych nici. Po jego minie można było się domyślić, że naprawa będzie sprawą dość skomplikowaną.

-Quatre, cinq jours... Minimum.

-Tata mówi...

- Tak, ale cztery albo pięć dni. Czy może go zapyta, co jego zdaniem powinniśmy zrobić? Czy w Nulle jest jakiś warsztat samochodowy? A może trzeba zaholować auto do Tarascon?

Guillaume odwrócił się do ojca i wdał się w następną, długą dyskusję, odsunąłem się więc o parę kroków od ich głośnej rozmowy i przysiadłem na kamieniu. Słonce stało wysoko nad górami, więc było już nawet

nie ciepło, to przynajmniej niezupełnie zimno. Z daleka płyn ły strzepy ptasich treli, a powietrze wypełniała gsta wo ywicy.

Przysłaniaj c oczy przed o lepiaj co białym blaskiem sło ca, który odbijał si od niegu, uwa nym wzrokiem przegl dałem stoki znajduj ce si poni ej drogi. Nigdzie nie dostrzegłem domów ani adnych ładów ludzkich siedzib. Guillaume potwierdził moje spostrze enia. Poza paroma pasterskimi chatami, porzucanymi na czas zimy, na tej wysoko ci nie było adnych zabudowa . Nikt nie chciał mieszka w tak surowym otoczeniu, w dotkliwym chłodzie i przy porywistych wiatrach.

Zapaliłem papierosa, my l c o tym, co powiedziała mi Fabrissa. cie ka, któr uciekała wraz ze sw rodzin , była zaro ni ta bukszpanem i... czymjeszcze? Zab niałem palcami po kolanie; listkach bukszpanu i... Przypomniałem sobie. To była brzoza. Srebrna brzoza. Zimozielony bukszpan i srebrna brzoza.

I jedno, i drugie było do popularne w tej cz - ci Francji, ale z miejsca, gdzie siedziałem, mogłem dostrzec oba. Wyra ny poblask srebrno-czarnej k py brzóz, a obok, troch bardziej po prawej stronie, gł - bok ziele krzewów bukszpanu. Czy powinienem uwa a to za potwierdzenie, e znajduj si na wła - ciwym tropie?

- Mo e wła nie tam j spotkam...

- Tak, monsieur? - spytał Guillaume z figlarnym błyskiem w oku.

Oblałem si rumie cem.

- Nic. Po prostu gło no pomy lałem - odparłem, podnosz c si z miejsca. -l co nowego? Co proponuje twój tata?

Staralem si uwa a , gdy Guillaume wyja nia plan ojca, ale moje my li uparcie powracały do skrawka ziemi, który znajdował si poni ej naszych stóp.

- ...oczywi cie, je li to panu odpowiada, monsieur. Je li nie, znajdziemy jaki inny sposób.

Zdałem sobie spraw , e Guillaume zamilkł i teraz spogl da na mnie wyczekuj co.

- Wybacz, ale nie zrozumiałem. Czy mógłby ...

Guillaume zacz ł wyja nia wszystko jeszcze raz, spokojnym i opanowanym głosem.

- Mój ojciec uwa a, e s dwa wyj cia...

K tem oka dostrzegłem, jak co porusza si w dolinie poło onej poni ej drogi. Mo e był to błysk bł kitu? Nie potrafiłem tego stwierdzi . Wysun łem si krok do przodu i, wykorzystuj c czubki nagich brzoź jako punkt orientacyjny, wyznaczyłem prost lini do zbocza po przeciwnej stronie doliny. Zmru yłem oczy; w pewnej chwili mój wzrok zatrzymał si na wystaj cej szarej skale osłoni tej przez wysokie drzewa. Wygl dało na to, e ze zbocza sterczy skalna półka, i cho z tej odległo ci trudno było stwierdzi co na pewno, zdaje si , e pod ni znajdował si otwór w kształcie półksi yca.

- ...wi c zakładaj c, e mamy do czynienia z uszkodzeniem podwozia, ojciec uwa a, e powinien si tym zaj wyspecjalizowany mechanik - zako czył Guillaume. - Jeden z jego dawnych kolegów pracuje chez Fontez w Tarascon, wi c na pewno b dzie mógł zaproponowa panu dobr cen .

- Czy jest jaka mo liwo , eby si tam dosta ?
- Wskazałem r k południowo-wschodni kierunek na przeciwległym zboczu.

Nawet je li Guillaume poczuł si obra ony moim brakiem uwagi, to nie dał tego po sobie pozna .

- Owszem, je li pójdzie si prosto t drog , a pó -
niej zejdzie z niej w okolicy Miglos. Tylko nie bardzo
wiem, po co kto miałby to robi . Tam nie ma niczego
ciekawego.

- A jak tam doj z tej strony doliny? Dokładnie
z tego miejsca? Czy w lesie jest jaka cie ka?

- Nawet je li jest, to ja nic o niej nie wiem. -
Guillaume wrzusił ramionami. - W tamtej cz ci gór
prowadzono prace przy u yciu ładunków wybucho-
wych, eby przygotowa miejsce pod budow nowej
drogi na południe. To było mniej wi cej dwadzie cia
lat temu, jeszcze przed moim urodzeniem. Oczywi cie
te zbocza i całe ukształtowanie terenu uległy znacz-
nym przeobra eniom... - zamilkł. - Całkiem mo li-
we, e tam prowadzi jaki szlak, ale to musiałaby by
mozolna wspinaczka.

- O tak, była - wymruczałem, my l c o dzielnej
dziewczynie i chorym chłopcu, który był zbyt słaby,
eby i gdzie daleko.

Guillaume z niecierpliwo ci przest pował z nogi
na nog , eby wreszcie ustali , co i jak.

- Co z samochodem, monsieur? Czy mamy zabra
go do Tarascon? Czy pan zgadza si na takie rozwi -
zanie?

Teraz, kiedy ju wiedziałem - a raczej podej-
rzewałem - e tam znajduje si jaskinia Fabrisy,
trudno mi było skoncentrowa si na jakimkolwiek
innym temacie. Oderwałem wzrok od skalnej półki
na tak długo, na ile było to konieczne, eby powie-
dzie Guillaume'owi, e jego propozycja najzupełniej
mi odpowiada.

Westchn ł i odwrócił si do swojego ojca, wysuwa-
j c w gór oba kciuki.

- Pierre może tu poczekać, a ja pójdę do Tarascon, żeby wszystko załatwić. Ojciec odprowadzi pana do Nuñle.

Zawahałem się.

- Wiesz co, Guillaume? Myślę najlepiej będzie, jeśli sam zostanę przy samochodzie.

Jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Ale to będzie długo trwało, monsieur - wyraził sprzeciw. - Pierre chętnie zostanie i popilnuje. Jest przyzwyczajony do tutejszego powietrza. Pan powinien wrócić do wioski.

- Nie, już postanowiłem, że zostanę.

- A co pan będzie tu robił przez tak długi czas?

- Znajdź sobie jakąś rozrywkę. Poczytam książki. Jeśli zimno zacznie mi za bardzo dokuczać, posiedzę w samochodzie. - Z niecierpliwością skinę głową w kierunku drogi. - No, idź już. Im wcześniej wyruszysz, tym prędzej będziesz z powrotem.

Guillaume zapewne wcale nie był zadowolony, lecz dość szybko zrozumiał, że niewiele może wskórać. Wyjaśnił swojemu ojcu i bratu, co postanowili myśleć, i wtedy zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Breillac nagle zwrócił się bezpośrednio do mnie, przemawiając dziwnym, starym dialektem tej krainy, w którym pobrzmiwał zapach tytoniu i dawno minionych czasów.

- Proszę wybaczyć, ale nic nie rozumiem.

Bracia popatrzyli po sobie; po chwili Guillaume najpierw odezwał się do ojca, a potem znów zajął się tłumaczeniem jego słów na mój użytek.

- Ojciec bardzo się niepokoi, że pan chce tu zostać. Mówi, że to nie jest dobre miejsce dla pana. To pechowa okolica.

- Och, daj spokój - uśmiechnąłem się. - Powiedz

swojemu ojcu, e doceniam jego trosk , ale z pewno -
ci dam sobie rad .

Stary Breillac wbił we mnie spojrzenie, a jego oczy
były ciemne jak dwa guziki.

- *Trevas* - warknął, wyciągnął palec w moim kierunku
- *Fantaumas*.

Odwróciłem się do Guillaume'a.

- Co on powiedział?

Guillaume zarumienił się po uszy.

- e w tych górach mieszkają duchy.

- Duchy?

-*El Cerc bronzis dins las hrancas dels pins. Mas
non. Fantaumas de ivern.*

Słowa Breillaca zabrzmiały znajomo, choć nie
umiałem określić, skąd je znam. Zwróciłem się
do Guillaume'a.

- On powiada, e chociaż w starej pieśni śpiewa
się o północno-zachodnim wietrze i czymś w ród
drzew, gdy zbliżają się niebezpieczeństwa, to tak naprawdę
są to głosy tych, którzy na zawsze zostali uwięzieni
w ród gór... - zawahał się. - Głosy zimowych zjaw.

Nieprzyjemny dreszcz spłynął mi wzdłuż kręgosłupa.
Przez moment staliśmy nieruchomo, a każdy zastanawiał się,
co zrobi pozostali. Wreszcie klasnąłem w dłoń, jakbym usłyszał
wietny dowcip, i wybuchnąłem śmiechem. Ci, którzy pozostawili po sobie
słowa Breillaca seniora, zostali odegnani. Nie pozwoliłem
się zastraszyć przez dami starszego człowieka. Pierre
i Guillaume także się zamiali.

- B d miał oczy otwarte - o wiadczyłem, klepiąc
Guillaume'a po plecach. - Powiedz ojcu, eby się
nie martwił. A teraz ruszajcie. Powiedz mu, e b d
tu czekał, co do tego nie ma wątpliwości.

Stary zmierzył mnie twardym, intensywnym spojrzeniem i nie wstydził się przyznać, że to spojrzenie nieco mnie wstrząsnęło. Ale nie powiedział nic więcej, tylko po chwili odwrócił się i skinął na synów, aby szli za nim.

Stojąc na środku drogi, przyglądałem się, jak odchodzili, a ich postacie z każdym krokiem robiły się coraz mniejsze. Guillaume i Pierre, dwaj potężni olbrzymi o mocnym, zdecydowanym chodzie, a w środku ich ojciec - mały, chudy, z przygarbionymi ramionami, jakby upływ lat przygiął go do ziemi.

Ich widok głęboko mnie poruszył i bynajmniej nie chodziło tu o to, że trudno było zobaczyć, czego się nigdy nie znało. Breillacowie tworzyli rodzinę. Należeli do siebie. Ja nigdy nie doświadczyłem czegoś podobnego. Z rodzicami miałem tylko jedno wspólne nazwisko i adres, nic więcej. Nie potrafiłem przypomnieć sobie żadnej okazji, kiedy ojciec, George i ja robili coś wspólnie, nawet czegoś tak oczywistego jak zwykły spacer po pagórkach z Lavant do East Dean.

To George był całym moim rodzinem. On jeden jedynie mnie kochał. Zatrzymałem się, bo nagle w mojej głowie za witała inna myśl - myśl, którą powitałem z uśmiechem. Był to jakiś czas Fabrisa zechce mnie pokochać. Ta nadzieja migotała mi przez chwilę, przepłynęła i wietlana, a potem rozprysła się jak sztuczne ognie w Noc Gya Fawkesa.

Poczułem nowy przypływ determinacji, aby odszukać dziewczynę. Pospiesznie pomaszerowałem do samochodu. Pochyliwszy się ponad fotelem pasażera, wyjąłem ze schowka na rękawiczki latarki. Mój bedeker włożyłem na fotelu, tylko jego kartki

spuchły od wilgoci i niegu, który wpadał przez stłuczony przedni szyb. Potrzebowałem kłosa na zewnątrz, żeby pozbyć się kawałków szkła tkwiących w grzbiecie, a następnie przestudiowałem mapę. Tym razem natrafiłem na Nulle. Na mapie było zaledwie małe kółko, a nazwa kryła się w zagłębieniu stron. Trudno się dziwić, że poprzednio je przeoczyłem.

Zlokalizowałem Miglos, o którym wspomniał Guillaume, a następnie zakreśliłem palcem trójkąt, żeby ustalić trasę marszu. Nagle zmarszczyłem czoło. Odległość na mapie wyraźnie nie pasowała do tego, co widziałem gołym okiem. Wreszcie zorientowałem się, o co chodzi. Guillaume powiedział przecie, że przed dwudziestoma laty na tym obszarze prowadzono prace przy użyciu materiałów wybuchowych - chodziło o kamieniołomy, jak się działo. To mogło tłumaczyć pewne niezgodności. Przerzuciłem kartki przewodnika na sam początek i na pierwszej stronie znalazłem informację, że to wydanie pochodzi z tysiąc dziewięćset pierwszego roku.

Uwielbiam sobie, że tracę czas, którego nie miałem w nadmiarze, podjąłem decyzję, że się postawię mi za przewodnika. Kiedy już znalazłem się w odległym krańcu doliny, dołta płama w postaci mojego austriackiego pomocnika zlokalizowała miejsce, skąd wyszedłem.

Czy potrzebowałem czegoś jeszcze? W pożyczonej czapce i rękawicach było mi wystarczająco ciepło, ale moje ciwellsy zdecydowanie nie nadawały się do wdrówek po takim terenie i kiedy szliśmy tutaj, kilka razy zdarzyło mi się poplizgnąć. Odwróciłem się więc, żeby sięgnąć za fotel po stojące tam walizki. Przez chwilę grzebałem przy metalowych zatraskach,

a otworzyły się z lekkim pstryknięciem i wyciągnęłam turystyczne buty. Kiedy ich szukałam, wyczułam pod palcami zimny metal.


Postawiłam buty na miejscu obok auta, a następnie znów wsunęłam rękę w wymieszane ubrania i kiedy grzebałam dopóty, dopóki nie natrafiłam na rewolwer.

Trzymając go w ręku, oparłam się o zagłówek, spojrzałam na mojego wembleya. Nie był naładowany, ja zaś nie miałem przy sobie amunicji. Bez trudu przywołałam z pamięci widok pudełeczka z tekstury, które tkwiło w górnej szufladzie komody w moim wynajętym mieszkaniu w Chichester. Ciekawe, czy przed zabraniem kul powstrzymało mnie coś w rodzaju instynktu samozachowawczego, czy też istniał inny, wnikliwy powód, ale teraz ta kwestia wydawała się całkiem bez znaczenia. Bez amunicji pistolet był kompletnie bezużyteczny i mógł jedynie stanowić dla mnie niepotrzebne obciążenie.

Odłożyłam go na miejsce i zamknęłam walizkę. Potem zmieniłam buty i - uzbrojony jedynie w kauczkowe latarki - wysiadłem z samochodu i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Czułem się niezwykły i zdecydowany, a od nadmiaru emocji kręciło mi się w głowie. Fabrissa wzięła we władanie każdą, nawet najmniejszy skrawek mojego umysłu i mojego serca. Była obecna w każdym moim oddechu, w każdym myśli. Co zrobię potem, kiedy odnajdę jaskini, o ile w ogóle ją odnajdę - nad tym wcale się nie zastanawiałem.

Z perspektywy czasu wydaje się absurdalne, że mogłem być tak przekonany o słuszności swoich zamierzeń jedynie z powodu błysku błękitu, który



dostrzegłem w dolinie, ale mnie nie mie ciło si w gło-
wie, e mógł to by kto inny, nie Fabrissa. Powiedziała
mi, ebym j znalazł, a ja chciałem dotrzyma słowa.
Byłem tak naiwny, tak pełen złudze ...

Ale tak e pełen cudownej nadziei.

W JASKINI



Wróciłem do miejsca, gdzie stał drewniany znak ze strzałką i po raz kolejny zanurzyłem się w las, rozradowany jak chłopiec, który właśnie nie urwał się ze szkoły na węgry.

Dziś panował tu całkiem inny nastrój. Czemu? Dlatego, że nie było mgły i słoneczko przeświecało się przez baldachim nagich gałęzi, pozostawiając na ciemnym rozrzucone plamy złota. Ale był także inny powód; dzięki Fabryssie czułem się tu jak w domu. Czułem, że należałem do tego krajobrazu, że jestem tu kimś miło widzianym, nie zaś obcym intruzem.

Teraz, gdy wiedziałem, dokąd idę, przemierzałem okolice szybkim krokiem. Wkrótce stanąłem w miejscu, gdzie spod zaroi wyglądały splecione korzenie wiekowych drzew. Wziąłem głęboki oddech i pociągnąłem ku sobie fragment poszycia. Było gęste i zbite, a w dodatku mroz trzymał wszystko w elastycznym cisku. Jednak futrzane rękawice, choć ciężkie i niewygodne, zapewniały dłoniom dobrą ochronę i po kilku solidnych szarpnięciach udało mi się odciągnąć na bok jedną z gałęzi, uwalniając aromat przesiąkniętej wilgoci ziemi. I rzeczywiście, kryły się tam schody z powykarczanych korzeni; piły się ostro w górę

w ród gł bokich li ci wiecznie zielonego poszycia, dokładnie tak jak mówiła Fabrissa.

Zapieraj c si stopami o grunt, szarpałem i ci g- n łem bez wytchnienia, jak samotny wyczynowiec zmagaj cy si z siłami natury, a gał oblużowała si na tyle, bym mógł da pod ni nura. Rozpocz łem mozoln wspinaczk , opieraj c dłonie na udach i przy ka dym kroku napinaj c mi nie, jak Małlory i Irving w drodze na szczyt Everestu. Korzenie okazały si liskie i niebezpieczne, wi c par razy zdarzyło mi si potkn i wyl dowa na dłoniach i kolanach. W dodat- ku takie, na których mogłem oprze stopy, zdarzały si coraz rzadziej i rzadziej, stromizna za stawała si coraz ostrzejsza i w ko cu w drówka przypominała raczej wspinanie si po drabinie, której skr cone stopnie prowadziły wprost na wierzchołek góry.

Wreszcie dopadło mnie zm czenie. To było naprawd wyczerpuj ce, wspina si , przez cały czas b d c zgi tym w pół; nie mogłem sobie wyobrazi , jak Fabrissa i Jean zdołali pokona t tras w bezksi - ycow noc i gnani obaw o własne ycie. Ale jako przeszli. A skoro oni mogli, to i ja mog .

I wła nie gdy dotarłem do kresu wytrzymało ci i zdawało mi si , e nie dam rady i dalej, nagle znalazłem si na otwartej przestrzeni. Wyprostowałem si , rozci gn łem przykurczone ramiona, a nast pnie na moment przysiadłem na głazie, eby złapa tchu i przy okazji rozejrze si po najbli szej okolicy.

Byłem na jakiej polanie, otoczonej ze wszystkich stron drzewami. I cho nie wygl dało mi to na płaski teren, który widziałem z drogi, to musiałem znajdowa si ju całkiem niedaleko. Rozpoznałem zielony kr g li ci i gał zi, podobny do korony na głowie

Królowej Wiosny. Zerkn łem do tyłu. Ledwie udało mi się dostrzec ółt plam samochodu na szarej wst dze drogi. Mój obóz wyj ciowy. Ponad głow , poni ej wysuni tej nieco stromej pochyło ci, dostrzegłem w gładkim, kamiennym zboczu seri otworów, podobn do rozwartych w grymasie zdziwienia ust.

Strzepałem z płaszcza kilka oderwanych gał - zek i par zabł kanych li ci, rzuciłem je na ziemi , a nast pnie wstałem, gotów do dalszej wspinaczki.

Czy zaniepokoiło mnie to, e nigdzie nie zauwa yłem ładów ludzkiej bytno ci? e w zasi gu wzroku nie pojawiła si adna smu ka dymu? e nie widziałem nawet samotnej pasterskiej chaty, nie mówi c o wiosce czy osadzie? Nie s dz , ebym w ogóle zwrócił na to uwag . W tym momencie moje my li zaprz tał jeden jedyny problem: co mam zrobi , eby dotrze na szczyt w jednym kawałku.

Wspinałem się dalej, cho moje uda st kały na znak protestu przeciwko tak brutalnemu traktowaniu. Ka dy krok przywodził na my l czy cowe m ki, ka dy był dowodem wytrzymało ci, ale w ko cu znalazłem swój rytm i uparcie się go trzymałem. Ze schy lon głow , przygarbionymi ramionami i zgi tymi kolanami posuwałem się naprzód. Po karku ciekły mi krople potu, ale wiedziałem, e lepiej nie zdejmowa ci kiej, futrzanej czapy. Ukryte w skórzanych r kawicach palce niemal pływały z gor ca, a paluchy u stóp kłuły niezno nie, poc c się w wełnianych skarpetach i solidnych, turystycznych butach. Ka da cz ciała przypominała bólem o swoim istnieniu.

Ale w ko cu mi się udało. Teraz byłem dokładnie pod rozpadlin w skale. Z tej pozycji pieczary wygl - dały całkiem naturalnie, jakby ich powstanie nie miało

nic wspólnego z ludzką działalnością, choć oczywiście znajdowałem się zbyt daleko, by mieć absolutną pewność. Niektóre otwory sprawiały wrażenie wystarczająco dużych, by mógł się w nich schronić dorosły człowiek, który nawet nie musiał się pochylać, aby tam wejść; inne były odpowiednie jedynie dla dziecka, i to poruszając się na czworakach.

Kiedy zbliżyłem się na wystarczająco odległość, by przyjrzeć się dokładnie, niezwykła uroda tego miejsca odebrała mi resztkę tchu, jak jeszcze miałem w piersi. Wiatr i deszcz, upał i mróz przez tysiące lat rzebiły kamienne oblicze góry. W pierwszej chwili ten widok przypominał mi fotografie grobów w Ziemi w tej, przywiódł na myśl tragedię Masady. Jednak tu, w Ariège, pod cieniutką warstwą niegu wszystko było zielone, szare i brązowe, nie załóżtawe jak piaski pustyni.

Spojrzałem na niebo, odliczając, ile czasu minęło od mojego rozstania z Breillacami, i doszedłem do wniosku, że musi być mniej więcej pierwsza południe. Zostało wystarczająco dużo dnia.

Powoli posuwałem się wzdłuż grani, zaglądając w każdą szczelinę i starając się pokonać ogarniające duszę zniechęcenie. Żadne z tych punkty nie mogło prowadzić do jaskini, w której znalazła schronienie Fabrissa i jej rodzina. Wiąkszość się gała w głąb jedynie na metr lub dwa. Nigdzie nie dostrzegłem miejsca, w którym ktoś mógłby się ukrywać.

Wreszcie moja uwaga zwróciła się w stronę trawy, wijącej się pomiędzy skałami. Zapierałem się ramieniem o zbocze, aby w razie czego mieć się czego chwycić - i starając się nie myśleć, co się ze mną stanie, jeżeli spadnę, ostro nie podsunąłem się w tamtym

kierunku. Jeszcze tylko kilka kroków. Nie patrz w dół, Freddie, nie patrz w dół. I nagle nad moją głowę pojawił się nawis szarej skały, przypominający wysunięty warg. Pod nim znajdowała się szczelina w kształcie półksiężyca.

Ulga była tak wielka, że aż zakręciło mi się w głowie. Oparłem się całym ciężarem o szeroki pochyły górski stok i poczekałem, aż serce odzyska swój normalny rytm. Udało się. Zebrałem wszystkie siły, aby przebyć ostatnie kilka kroków, i wreszcie stanęłem u wylotu jaskini Fabryssy.

O czym wówczas myślałem? Czyś dziłem, że ona czeka na mnie tam w środku, jak podczas zabawy w chowanego? A może, jak w czasie poszukiwania skarbów, należało odnaleźć ukrytą w tej jaskini wskazówkę, dzięki której teraz uda mi się? Nie potrafiłbym sobie przypomnieć. Pamiętam tylko niesamowitą dumę, jak wówczas czułem, że udało mi się sprostać zadaniu, oraz cudowne podniecenie, że zaraz znów zobaczę Fabryssę. Wtedy wierzyłem, że ona tam jest i wierzyłem, że ją odnajdę.

- Fabryssa? - zawołałem w głęboką rozpadlinę, ale odpowiedziało mi jedynie echo własnego głosu.

Zerknąłem w ciemny czeluść. W najwęższym miejscu przepływu było wysokie na metr z okładem, a szerokie na półtora lub nieco więcej. Czubkiem buta odwróciłem jeden z kamieni. Jego powierzchnia była mokra od wody, ale w wilgotnej ziemi pod spodem pojawiło się od wszelakiego robactwa. Mój wzrok wreszcie przyzwyczaił się do mroku, lecz wówczas poczułem, jak jeżyły mi się małe włoski na karku. To była właściwie jaskinia, co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości, a jednak ogarnął mnie dziwny

l k. Co w rodzaju złego przecucia. Co tu było bardzo nie w porz dku, ale postanowiłem zignorowa ostrze enie. Nie zamierzałem zawraca .

Wydobyłem z kieszeni latark . Strumie wiatła był do mizerny co wskazywało, e baterie s na wyczerpaniu, ale i tak okazał si przydatny. Opu ciłem głow i wsun łem si do rodka. Wewn trz było wilgotno i chłodno, lecz mimo wszystko nieco cieplej ni na zewn trz. Po wiciełem dookoła latark , jednocze nie powoli posuwaj c si naprzód. Na postrz pionych szarawych skałach pojawiły si rozta czone cienie. Podło e jaskini, piaszczyste i nierówne, z ka dym krokiem opadało łagodnie; drobne kamyki i kawałeczki skały kruszyły si pod podeszwami butów. Słoneczny blask za moimi plecami stawał si coraz bledszy i słabszy.

Nagle musiałem si zatrzyma . Nie mogłem post pi ani kroku dalej, bo drog zagrodziła mi ciana z kamienia i gruzu, wzmocniona drewnianym pancerzem. Wznosz c wysoko latark , uwa nie obejrzałem przeszkod . Drewniane belki przytrzymały w miejscu tłucze i wi ksze fragmenty skał. Szarpany niepokojem przypomniałem sobie, co powiedziała Fabrissa, gdy siedzieli my nad stawem, cho wtedy ledwie zarejestrowałem jej słowa. „Nikt stamt d nie wrócił. Nikt”.

Poci gn łem jedn z podpór. Spodziewałem si , e stawi opór, ale rozpadła mi si w r ku na proch. Si gn łem po nast pn ; ta tak e łatwo dała si ruszy z miejsca i, nadjedzona przez czerw albo korniki, skruszyła si w mojej pi ci. Zwalczaj c narastaj c panik , oparłem latark na skalnym stopniu i obydwoma r koma zaatakowałem cian . R kawice

były zbyt grube, abym mógł wsadzić palce w wścieki i szczeliny, więc razem z czapką rzuciłem je na bok i gołymi dłońmi wczepiłem się w mur.

Nie wiem, ile czasu zabrała mi ta robota, czyli męczące usuwanie kamienia za kamieniem. Koniuszki palców krwawiły, a ramiona bolały jak diabli, lecz opierałem się na tym, że mam dzikie pragnienie poznania tajemnicy, która kryła się za tą barykadą. W wąskim korytarzu kłębiły się chmury pyłu, lecz nie przerywałem pracy.

W końcu ukazał się otwór tak duży jak moja dłoń. Zdołałem wysiłkiem wyrwać kamień jako narzędzie do odłupywania fragmentów ciany; następnie wsunąłem tam rękę na całą długość ramienia i naciskałem dopóty, dopóki otwór w murze nie poszerzył się na tyle, bym zdołał się przecisnąć na drugą stronę.

Wziąłem głęboki oddech, abym - jak się działo - zdobył odwagę, ruszył na spotkanie z tym, co mogło się wydarzyć, a potem przekroczyłem próg wierzni, stworzonego ze skały i kamieni.

KO CI I CIENIE, I PROCH...



Od razu uderzył mnie zapach nieporuszonego od dawna powietrza - spleśniały i pełen oczekiwania po długim odciśnięciu od wiatu.

Po kilku krokach tunel skręcał nieco w lewo, a potem nagle zamieniał się w ogromną, niebotyczną pieczarę, która rozmiarami dorównywała niejednej katedrze. Ogarniły mnie podziwem dla jej wielkości skierowałem światło latarki na ściany i ku sklepieniu, ale promień momentalnie rozplątał się w przepastnej głębi mroku.

- Miasto wewnątrz góry - zamruczałem do siebie.

Przez moment ogarniło mnie poczucie niezmiernego spokoju, czegoś w rodzaju oszołomienia, a oto znalazłem się w tak starożytnym miejscu. Nasze schronienie, jak nazwała je Fabryssa. Schronienie, które stało się grobem.

Z moich ust wymknęło się ciche westchnienie. Nie było tu czego oglądać. A do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo obawiam się tego, co mogłoby tutaj znaleźć.

Fabryssa z pewnością nie mogła przebywać w takim miejscu. Wystarczyło co długo walczyłem ze wzniesio-

n w przejęciu barykad, a wydawało się całkiem nieprawdopodobne, że istnieje jakaś inna droga, którą można się tu dostać.

- Lecz w takim razie gdzie jeste? - wyszeptałem w głęb wszechobecnej ciszy, w końcu uwiadomiasz się sobie to, co zdrowy rozsądek podpowiadał mi od dłuższego czasu.

Pokręciłem głowę. Tak mocno wierzyłem, że odnajdę tu Fabriss. I prawdę mówiąc, w pewien sposób czułem jej obecność. Jakby była blisko mnie.

Owiewałem latarką całą pieczarę, posyłałem strumień światła w każdą stronę, najniższą nawet rysę. Nagle zatrzymałem się. Wyczułem jakiś dysonans. Postąpiłem krok do przodu, skierowałem światło w stronę skalnego występu, który odstawał od ciany pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Na ziemi pod nim coś leżało. Podsunąłem się tam, trzymając mocno latarkę, i ujrzałem kawałek papieru, jakby rzucony tam przez powiew wiatru, choć takie wyjaśnienie było oczywiście całkiem nieprawdopodobne.

Pochyliłem się, aby go podnieść. W dotyku okazał się szorstki i nieprzyjemny. Właściwie przypominał raczej pergamin niż welin czy stróż wyrwany z księgi - coś w rodzaju papirusu, jaki jeść się może na wycieczki z biurem Cooka turyści przywozili ze starożytnych miejsc Egiptu. Rozłożyłem papier. Wewnątrz pokryty był drobnym, staromodnym piśmem, które bardziej przypominało umieszczone na pięciolinii nuty niż drukowane litery. Nie potrafiłem odcyfrować słów nawet wtedy, gdy przysunąłem pergamin bliżej światła.

Złożyłem go i wsunąłem do kieszeni. Później będzie wystarczyło czasu, aby się tym zająć.

Podniosłem głowę i wtedy mój wzrok przycisnęła szczelina w gładkiej skalnej ścianie, która znajdowała się dokładnie naprzeciw mnie. Podeszedłem tam, trzymając w wyciętej tej rurce latarkę. Okazało się, że to wspaniały, ciemny korytarz, co na kształt spoiny łączył cztery dwa masywne skalne bloki. Wydawał się niezwykle ciasny i co gorsza, nie było sposobu, bym mógł stwierdzić, jak jest długi ani dokąd prowadzi. Od samego patrzenia w głąb dostawałem klaustrofobii.

Ale zmusiłem się, żeby tam wejść. Dzierżąc latarkę wysoko nad głowę, posuwałem się krok po kroku, odwrócony bokiem.

- Spokojnie - powtarzałem sobie, nienawidzę skały, która przyciskała się do moich ramion. - Tylko spokojnie.

Ostatecznie okazało się, że przez cie wcale nie było długie; po zaledwie paru krokach znalazłem się w niewielkiej, zupełnie niezalanej komorze. Inaczej niż w tamtej pustej zewnętrznej jaskini, dostrzegłem tu ślady czyjejś bytności. Pomimo mroku udało mi się rozpoznać jakieś przedmioty: pozostało ci obozowisko, skrawki czegoś, co niegdyś mogło być derkaczem, strzęp materiału w niebieskim albo szarym kolorze, choć w ówczesnym świetle latarki trudno było to stwierdzić z całą pewnością.

- Fabrissa?

Dlaczego znów wymówiłem jej imię? Przecież już dawno doszedłem do wniosku, że Fabrissy na pewno tu nie ma. Mimo to zawołałem ją, jakbym w głąb serca wciąż miał nadzieję, że jednak tu na mnie czeka.

Podeszedłem bliżej. Latarka wydobyła z ciemności kawałki czerwonej szmaty, potem coś zielonego, szar-

rego i brzożowego. Po chwili przekonałem się, że to gliniana misa i ogarek wiecy, wypalony aż do dna.

Czułem, jak puls mi przyspiesza. Moja pod wiadomość wiedziała już, na co patrz, a jednak rozum uparcie odmawiał przyjęcia tej informacji. Nie potrafiłem pogodzić się z faktami. Nie chciałem się pogodzić.

W powietrzu pojawiło się coś nowego. Jakaś drażniąca, nieprzyjemna woń. Zupełnie jak w kościele, kiedy wierni już wyjdą, ale spleśniały zapach kadzidła jeszcze nie zdąży wywietrzeć. Czym prędzej wygrzebałem z kieszeni chustki i przytknąłem je do nosa i ust. Mierdziała zaschniętą krwią i olejem silnikowym, ale nawet ta piorunująca mieszanka nie zdołała całkowicie zabić smrodu jaskini.

I wówczas to usłyszałem. Szeptanie. Tym razem zwielokrotnione, nie za pojedynczy głos. Słowa nakładały się na siebie jak w czasie nieszporów podczas pieśni gregoriańskiego, a ich harmonia rozbrzmiewała szerokim echem.

Rozejrzałem się dookoła, ale nie było na co patrzeć. Nic nie poruszało się w mroku. Zupełnie nic... A mimo to szepty rozlegały się wszędzie wokół mnie - za mną, przede mną, z przodu, z góry. Szmer płaczących i nawoływających głosów, pełnych desperacji, żeby ktoś je usłyszał.

- Jesteśmy ostatni, ostatni...

- Kim jesteście?! - krzyknąłem. - Pokaźcie się!

Potknąłem się, czując, jak w gardle zbiera mi się kłęb wymiocin. Coś ciągnęło mnie w stronę najbliższego kątka jaskini. Nie chciałem tam iść, ale w ten sposób nie mogłem zawrócić.

Teraz rozległ się inny głos. Jaśniejszy i bardziej rozpoznawalny. Przeznaczony tylko dla moich uszu.

- Ko ci i cienie, i proch...

- Fabrissa! - krzykn łem we wszechobecny ciemno .

Chwiej c si , sun łem do przodu, w kierunku epicentrum tego szeptu, a moje nogi zatrzymały si z własnego wyboru.

Nie potrzebowałem i dalej. Nie chciałem patrze , ale zmusiłem si , by skierowa wzrok na ziemi . eby skoncentrowa spojrzenie na tym, czego wcale nie pragn łem widzie . Stałem w miejscu pełnym ko ci - po ród szkieletów m czyzn, kobiet i dzieci, spoczywaj cych jedne przy drugich, jakby oni wszyscy uło yli si tak do snu i zapomnieli obudzi .

Skłoniłem głow , czuj c, jak piek mnie oczy. Przytłoczył mnie widok skromnego dobytku, małych skarbów, które zabrali ze sob . wiece, kuchenne naczynia, le cy z boku dzban... Grobowe dobra tych, którzy ju ich nie potrzebowali.

W ko cu moja głowa przyj ła do wiadomo ci to, co serce mówiło ju od dawna. Dopiero teraz dotarło do mnie znaczenie historii, któr opowiedziała mi Fabrissa, chocia wcze niej nie chciałem jej zrozumie .

Nie byłem zdolny zrozumie .

Przede mn znajdowały si kawałki zielonej szaty Guillaume'a Marty'ego; do skórzanego pasa wci przyczepione były resztki czego , czego nie umiałem zidentyfikowa . Obok walały si podarte łachmany, w których rozpoznałem resztki sukien w kolorze królewskiego bł kitu z czerwonymi szwami, noszonych przez siostry Maury. Dalej jeden lub dwa strz py szarego welonu, który widziałem na głowie Na Azemy. To ju nie byli ludzie, lecz szkielety. Czaszki na wpół

ukryte pod kapturem, zwojem materiału albo w cieniu, ko ci mieni ce si : w słabym wietle latarki na biało i zielono...

Przełkn łem kł b' waty, który rósł mi w gardle, i ruszyłem przed siebie. Dopiero teraz przekonałem si ; e ko ci le ały w osobnych grupach -- tam, gdzie obok siebie umierały całe rodziny. Ile ciał tu spoczywało? Pi dziesi t? Sto? A mo e wi cej? Czy kto dołał unikn : pogrzebania ywcem? Fabrissa mówiła, e nikt st d nie wrócił. Ich niegdysiejsze schronienie stało si : grobem. Masowym grobem mieszka ców Nulle.

Jednak najgorsze: dopiero miało nadejj... Szept stawał si : coraz gło niejszy i coraz wyra niej sły szał łem w nim płacz, przeplatany błaganie m o pomoc, Błaganie m o uwolnienie. Nagle rozległ si : inny d wi k, który wkrótce przytłumił tamten szept. Drapanie w skał . Grzechotanie ko ci ci gni tych po nierównym i kamienistym podło u. Nagle zapragn łem uciec, ale nie mogłem. Nie mogłem odwróci wzroku, bo to by znaczyło, e ci ludzie zostaną opuszczeni po raz wtóry. Nie potrafiłem zamkn uszu na przera enie brzmi ce w ich głosach.

Dot d nie znalazłem ciała Fabrissy i cho , wbrew wszelkiej nadziei modliłem si , e bym jej nie znalazł, wiedziałem jednak, e to tylko kwestią czasu. Jej piewny głos towarzyszył mi po ród górskich szczytów i potem, w Ostał, d wi czał pomi dzy sylabami i samogłoskami, a wszystko prowadziło do jednego, jedyne go wniosku.

Hałas przybierał na sile. Rozległy si : krzyki, odgłosy rozpaczliwego drapania w skał i kamienie, których adna ludzka siła nie mogła ruszy z miejsca.

To nie był północny wiatr, jak mówił stary Breillac, lecz głosy umarłych. Przez niezliczone lata Nułła żyła w cieniu tajemnicy, którą krył w swym wnętrzu przestarzały las.

Teraz widziałem jakie kształty, przemysłowe dookoła mnie w ród chwytały cichy za serce westchnięcia. Tamci nie zamierzali zostawić mnie w spokoju. Nagle cała jaskinia wypełniła się ruchem. Białe postacie, ulotne sylwetki, dusze tych, którzy odeszli dawno temu... Zakryłem twarz rękoma, choć wiedziałem, że to nic nie pomoże. Procesja umarłych nadal przesuwała się przed moimi oczyma. Słyszałem, jak umierają, więc zostałem skazany również na to, by patrzeć na ich śmierć.

W zasięgu mojego wzroku majaczyły jakieś twarze, szybko nabierające ostrości i znów się rozmazujące, a w ich oczach kryło się straszliwe piękno. Zbliżyły się i zaraz odpływały w bok. Ci, których wcześniej nie spotkałem w Ostał, przesyłali mi ukłony. Znajomi nieznanymi. Może czyżna, siedzący obok mnie na ławie podczas *festiwalu*, teraz, rzucał mi groźne spojrzenia, a jego czaszka przebijała przez resztki skóry. Jednak zamiast zaplajanych oczu widziałem dwa puste oczodoły, jakby wielkością młodego kciuka, a miejsca ociekających tłuszczem ust zastąpiły wyschnięte resztki warg i poczerwiałe zębiny. Potem ujrzałem delikatną twarz Na Azemy, niemal zdumioną tym, że jej rysy rozplynęły się, pozostawiając po sobie jedynie białe kości i wspomnienie kogoś, kim niegdy była.

Teraz już wiedziałem, po co zostałem tu przyprawiony. Moim celem było danie wiadomości ich matki i miłości, a także poznanie tajemnic uwięzionego, które sam sobie stworzyłem.

Kto , kto jest pozbawiony zdolności pojmowania, nie może liczyć na wybawienie. W tym momencie było dla mnie całkowicie zrozumiałe, dlaczego akurat ja - kto , kto przez tyle lat kroczył po granicy oddzielającej żywych i umarłych - umiałem usłyszeć w ciszy nawoływania tych ludzi, podczas gdy inni nie potrafili. Przez dziesięć długich lat słyszałem i czułem rzeczy, które znajdowały się poza zasięgiem dnia codziennego. Przeładowały mnie wyobrażenia George'a, który spoczywa w ziemi. Tutaj, w tym miejscu, na własne oczy widziałem, jak skóra oddziela się od kości, jak gnije ciało, jak nabiera tempa procesy zycia, śmierci i rozkładu. Każda twarz w kościele wykrzywiła się, gnęła, zapadała wewnątrz siebie. Życie rodzi się i chwilę później umiera, a kołyska zamienia się w grób.

To było właśnie, nie mogłem znieść. Nagle uświadomiłem sobie, że towarzyszy mi inny człowiek, najbardziej ludzki ze wszystkich, jakiego dotąd słyszałem. Szloch dorosłego mężczyzny. W kościele udało mi się zapłakać, więc wylewałem łzy nad George'em i samym sobą. Nad wszystkimi, którzy spoczywali w zapomnieniu w głąb zimnej ziemi.

I wtedy coś poczułem. Nagłe poruszenie, zgaszenie powietrza. Mrowienie u podstawy kręgosłupa i szybkie jak błyskawica mrowienie w piersi. Zimowe zjawy wciągnęły wokół, ale wyraźnie nie zaczęły się wycofywać.

- Fabrisa?

Podniosłem głowę i spojrzałem przed siebie. Wrażenie było tak ulotne, jak dotyk skrzydeł motyla. W mgnieniu oka mignął mi pełen wdzięku obraz bujnych włosów i bladej twarzyczki. Wygramoliłem się na równe nogi i z wahaniem postąpiłem krok naprzód. Wizja rozwiązała

si natychmiast; zgin ła, rozproszyła, rozpadła si tak nagle, jakby nigdy nie istniała.

- Nie! - wrzasn łem z całych sił, a mój krzyk wstrz sn ł jaskini . - Stój!

Zacisn łem dło w pi , czuj c, jak połama-
ne paznokcie wbijaj si w wie e zadrapania.
Próbowałem przypomnie sobie blisko Fabrissy,
jej lekki jak wietrzyk dotyk, jasne, szare oczy i cie
u miechu w k cikach pi knie wykrojonych ust.

Posun łem si o kolejny krok w stron miejsca, gdzie
przed chwil stała. Słabn ce wiatło latarki wydobyło
z mroku ziemi fragment bł kitu. Intensywnego bł kitu,
jak kolor oczu mojego brata, jak barwa kwiatków lnu,
który w czerwcu porasta poła Sussex... Suknia, któr
Fabrissa miała na sobie tamtego pami tnego wieczoru,
te była w tym odcieniu. Dokładnie, zbyt dokładnie
widziałem resztki óltej nici tam, gdzie niegdy znaj-
dował si krzy .

Ukl kłem obok; bardziej ni czegokolwiek prag-
n łem czu pod palcami jedwabist gładko bia-
łej skóry, lecz pod moją dłońi były jedynie twarde
ko ci. Próbowałem wymówi jej imi , przywróci
j do ycia, ale nie mogłem.

Nagle poczułem mi dzy ebrami niezno ny ucisk,
jakby lada chwila miały pop ka . I w ko cu usły-
szałem jej głos, oszałamiaj cy w otaczaj cej mnie
ciemno ci. Tym razem przemawiał do mnie i tylko
do mnie.

-Freddie...

- Jestem tu - odpowiedziałem, pół na pół mie-
j c si i płacz c. Wiedziałem, e ona mnie słyszy.
- Dotrzymałem słowa. Przyszedłem, eby ci odna-
le .

Czy wówczas przytuliłem ją do siebie? Chyba nie, ponieważ wiedziałem, że jest tylko cieniem i prochem. A mimo to wydaje mi się, że na moment ogarnęłam ramionami ciepło jej ciała i że z mojej piersi wydarło się głębsze westchnienie. Przyszedłem tu dla niej i oto wróciła. Wróciła, żeby zabrać mnie do domu.

Pamiętam tam, że czułem, jak opadam coraz głębiej w ciemność, ale teraz przyjmuję to z radością. I wtedy Fabryssa przyszła, żeby dokończyć mi historię, którą opowiadała mi wcześniej. Położyłam głowę na jej kolanach - jestem tego zupełnie pewien - i pogrzebiłam się w ekstazie, słuchając modulacji wodzińskiego, dziewczęcego głosu, słuchając baśni o górach i o duchach, które zamieszkuje pośród szczytów.

Powoli zamknęłam oczy, ukołysany rytmem słów, a wreszcie zapadła cisza. I w tej ciszy Fabryssa odeszła na zawsze. Czułem, jak odchodziła. Wołałem, ale jej duch, dusza, emanacja, cokolwiek to było - cokolwiek było - rozplynęło się bezładnie. Tym razem wiedziałem na pewno, że więcej nie wróci.

Ja zaś osuwałem się coraz głębiej w otchłan niewiedomości i wcale nie pragnęłam się obudzić. W miarę jak wiatł latarki ciemniało i przygasało, myślałem o wiatłach gasnących na widowni Lyric Theatre w tamtych Wigiliach Bożego Narodzenia i o sykanii w ród publiczności, żeby wszyscy się uciszeli. Myślałem o Nibylandii i Piotrusiu Panu. O tym, jak razem z George'em jedliśmy galaretkę, za miawaliśmy przy tym do rozpułku. O tym, że teraz obaj jesteśmy młodszy i wiemy, że umieranie wcale nie jest okropnie fajną przygodą. Umiechnęłam się do myself, że może wkrótce znów

spotkam George'a i e Fabrissa te tam b dzie, i tak
wła nie powinno si sta .

I nagle zacz łem walczy . Nie mogłem do nich
doł czy -jeszcze nie. Ta my l była tak ostrajak drzaz-
ga, która wła nie wbiła si pod skór . Bo cho znała-
złem Fabriss , to przecie nie zabrałem jej do domu.
Tak samo jak nigdy nie zabrałem do domu George'a.

- Fabrissa...

Ale to słowo umarło na moich ustach. Odpływałem
w gł b ciemno ci, w najgł bsze lodowe pokłady
Antarktyki, w stron nieprzeniknionej ciszy. Ciszy
ko ca dni.

SZPITAL W FOIX



Białe twarze, białe ciany, a na łóżku białe przecieradła...

Kiedy odzyskałem wiadomość, okazało się, że jestem w szpitalu w Foix. Nie byłem pewien, jaki to dzieje, jak długo tu leżę ani w jaki sposób się tu znalazłem. Powiedziano mi, że przez całe dwie doby leżałem nieprzytomny. Gorączka, o której tak głupio myślałem, została pokonana, tym razem zaatakowała mnie ze zdwojonym siłą, a zapewne jej atak przyspieszył wysięk podczas wspinaczki oraz wychłodzenie organizmu. Przez chwilę moje życie zawisło na włosku.

Przez czterdzieści osiem godzin dryfowałem pomiędzy przytomnością a niebytem. Czas nie miał wielkiego znaczenia. Zresztą jak mógł mieć po tym, co przeżyłem w Nulle? Teraz, wtedy, w przeszłości, w przyszłości - to były jedynie słowa. Odmierzanie dni za pomocą sekund, minut i godzin wydawało się zbyt sztywne.

Madame Gały odbyła długą podróż przez całą dolinę aż do Videssos, aby posiedzieć przy moim łóżku. Pomimo oszołomienia uwiadamiąłem sobie jej subtelność obecności i dotyk jej dłoni na moim czole.

S dz c e nic nie słysz , w odosobnieniu samotnej nocy wyszeptała nad moim łó kiem imi syna, który podobnie jak George wyruszył na wojn i tak samo jak on nigdy nie powrócił. Imi Augustina Pierre'a Gały znalazło si po ród imion jego przyjaciół, które widniały na pomniku stoj cym w rogu Place de l'Eglise. Kiedy gor czka spadła i w ko cu otworzyłem oczy, madame Gały ju nie było.

W pierwszej chwili nie umiałem sobie przypomnie , co si wydarzyło ani jak si tu dostałem. Spojrzawszy w dół, zobaczyłem swoje r ce w banda ach i poczułem w skroniach nieprzyjemny ucisk. Dopiero wtedy si zorientowałem, e moj głow spowija opatrunek, zbyt ciasny, eby było mi wygodnie, i e boli mnie gardło. Zupełnie jakbym krzyczał. Albo mo e nawet płakał.

Stopniowo wspomnienia zacz ły si przebija na powierzchni . Postarałem si zło y w cało ci g wydarze - wszystkich wydarze - od momentu, gdy samochód wypadł z drogi. Rozp tała si burza nie na i zdarzył si wypadek, to nie ulegało w tpliwo ci, tak samo jak fakt, e odnalazłem drog do Nulle, gdzie spotkałem Fabriss . Ale od tego momentu wszystko wydawało si zamazane, niejasne.

Pami tałem mozoln wspinaczk do jaskini i to, jak gołymi r koma rozbierałem wi zienny mur, stoj cy mi na drodze. Potem przypadkiem odkryłem list i precisn wszy si przez w skie gardło mi dzy skalnymi dokami, dotarłem do wewn trznej pieczary. Tam znalazłem szkielety ludzi, z którymi sp dziłem poprzedni wieczór. Zimowe zjawy, jak mówił o nich stary Breillac, ludzie nie yj cy od dawna. Nagle przypominałem sobie Fabriss i moje oczy wypełniły si łzami.

Pó niej, kiedy nabrałem nieco sił, dowiedziałem się, że lekarze byli dezorientowani i zaskoczeni moimi chorobami. Gorączka zaatakowała z niespotykaną gwałtownością, a chociaż temperatura mojego ciała podczas pobytu w jaskini spadła do niebezpiecznie niskiego poziomu, jednak nie odniosłem żadnych powolniejszych obrażeń, które mogłyby usprawiedliwić mój stan. Otarcia na rękach i twarzy okazały się nieznaczne i mimo to co prawda widać było, że uderzyłem się w głowę, również ta rana nie wydawała się groźna. Tylko jedna z pielgniarek - pochodząca z Nulle przez liczną dziewczyną z ciemnymi włosami i zalotnym spojrzeniem - wyraźnie nie rozumiała, w czym rzecz. Wiedziała, że skoro o mieliłem się zbliżyć do grobu, zostałem naznaczony przez umarłych. Niemcy wycisnęła na mnie swoje piętno.

Medycy wchodzili i wychodzili. Doktorzy, psychiatrzy, siostra oddziałowa i cały zastęp wykrochmalonych pielgniarek w skrzypionych butach na podszewkach z gumy. Na pozór historia zatoczyła koło: sanatorium w Sussex, szpital w Foix, pacjent, który nie może zwalczyć choroby. Ale ja nie byłem już tym samym człowiekiem co poprzednio; chociaż lekarze szturchali mnie i dękali na wszystkie możliwe sposoby, czułem, że mój umysł został oczyszczony. Nie byłem na pany, byłem po prostu zmęczony.

Na duchu podtrzymywała mnie wiadomość, że dokonałem tego, o co mnie prosiła. Odnalazłem Fabriss.

Z każdą godziną moje wspomnienia stawały się coraz bardziej wyraźne. Fragmenty dni, które prowadziły aż do tego momentu, wskakiwały na swoje miejsca jak zagubione kawałki układanki. Ujrzałem swój

pokój w pensjonacie, usłyszałem trzeszczenie szronu pod butami, gdy w drodze do Ostał przemierzałem Place de l' Eglise. I znów przyglądałem się, jak blade słońce wschodzi nad pogromkami w dolinie.

Razem z Fabrissem.

Dwudziestego drugiego grudnia z Ax-les-Thermes przyjechali moi przyjaciele. Po otrzymaniu listu spodziewaliśmy się, że lada chwila skontaktujemy się z nimi, lecz gdy minęły cztery dni, a ja nie dałem znaku życia, postarali się odszukać madame Gały i dowiedzieli się od niej, że jestem w szpitalu.

Zostali ze mną przez parę godzin. Od nich dowiedziałem się, że moje odkrycie w jaskini stało się czymś w rodzaju sensacji. Miejskowa gazeta, „La Depeche”, poświęciła całą stronę temu wydarzeniu. Oczywiście upłynęło niewiele czasu, poza tym o tej porze roku trudno było liczyć na rychły najazd specjalistów z Tuluzy - archeologów, patologów, batalionu wszelkiego rodzaju ekspertów - ale panowała zgoda co do faktu, że szkielety muszą mieć około sześćdziesiąt lat. Pozostało ci grobowych dóbr, naczynia i sprzęty domowego użytku - wszystko zdawało się to potwierdzać.

Ja dostrzegałem odrobin więcej. Nie tylko tragedię, która wciśnięta w pamięć, lecz historię znacznie starszą i odległą w czasie.

Zgodnie z doniesieniami prasy, najprawdopodobniej pochodziły z okresu wojen religijnych na początku czternastego stulecia. Miejscowi historycy odnotowali podobne przypadki, gdy członkowie ostatnich społeczności katarskich w tym regionie zostali schwytani w pułapki wewnątrz jaskiń, do których uciekli, by znaleźć tam schronienie. Tak wydarzyło się na przykład

w Lombrives. Nikt nie przypuszczał jednak, że w pobliżu znajduje się inne, podobne miejsce.

- Breillac wiedział - mruknąłem pod nosem.

Cała wioska wiedziała. Moja liczna pielęgniarka, madame i monsieur Gały, wszyscy mieszkający w cieniu głębokiego smutku, który spowijał ich wieki. Ten cień pozostawiły po sobie nie tylko wydarzenia ostatniej wojny, ale okropność wszystkich wojen, które przez stulecia nękały ich region. Społeczeństwo Nulle, teraźniejsze i przeszłe, doskonale wiedziało, do jakiego stopnia głęboki smutek potrafi niszczyć ducha.

Jednak słuchając paplaniny moich przyjaciół i ich głosów, w których brzmiała ekscytacja, że oto mogli uczestniczyć w poznaniu jednej z tajemnic historii, czułem, jak moja dusza wypełnia uczucie ulgi. Bo choć fizycznie nie zabrałem ciała Fabrissy do domu, jednak moje odkrycie w jaskini wydobyło z mroku pamięć o tych, którzy przed wiekami stracili tam życie. Teraz mogła nastąpić prawdziwa identyfikacja, a po niej uroczyste pogrzebowe.

Moje myśli pofrunęły z powrotem do Fabrissy. To ona mnie tam zaprowadziła, prawda? Widziałem przecie na tle białych skał mignięcie czegoś kiego. A poza tym przez jedną, niezapomnianą chwilę naprawdę trzymałem ją w ramionach.

Nikt więcej nie złożył mi wizyty aż do Wigilii Bożego Narodzenia.

Kiedy wieczorne cienie spowiły równy rząd szpitalnych łóżek, a dyżurnice na oddziale siostry zaczęły -

ły zapala lampy, w korytarzyku pojawiła się jakaś postać. Szerokie ramiona zupełnie nie pasowały do sterylnej wnęki szpitala.

- Proszę, Guillaume, wejdź.

Autentycznie ucieszyłem się z tych odwiedzin. Guillaume niepewnie zbliżył się do mojego łóżka, ciskał czołma w czerwonych, niedźwiżowatych łapskach futrzanej czapki. Odniosłem wrażenie, że chyba się śmieje, że w ogóle tu przyszedł. Wyraźnie miał mi coś do powiedzenia - coś, co nie dawało mu spokoju. Z pewnością ci długo nie wytrzyma, pomyślałem.

- Usiądź.

Próbowałem się podnieść, ale zrobiłem to chyba trochę za szybko, bo zakręciło mi się w głowie i znów bezwładnie opadłem na poduszki.

- Może powinienem kogoś zawołać?

- Nie, nie - zaprotestowałem. - Po prostu musisz wolniej się poruszać, to wszystko.

Niezgrabnie przysiadł na samym brzegu krzesła.

- Zdaje się, że chcesz mi o czymś powiedzieć? - ponagliłem.

Skinął głową, ale nadal unikał mojego wzroku. Zdaje się, że nie bardzo wiedział, jak zacząć. W końcu zdecydowałem się mu pomóc.

- Jak długo tam siedziałeś?

To proste pytanie pozwoliło Guillaume'owi wejść w rytm opowiadania. W sumie zajęło mu to trzy godziny, powiedział. Kiedy dotarli ci lekarze do holowania z Tarascon do mojego auta, okazało się, że mnie tam nie ma. Ojciec i Pierre uważali, że na własną rękę wróciłem do Nulle, i najspokojniej w świecie zajęli się samochodem, jednak on wcale nie był tego taki pewien, zważywszy na pytania, jakie mu zadawa-

łem. Pamiętałem, że spojrzałem na przeciwną stronę doliny i koniecznie chciałem się czego dowiedzieć o tamtym zboczach i jaskiniach. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, i wypuściłem się tam, by samotnie prowadzić dochodzenie.

Pomimo ojcowskich protestów zdołał przekonać mechanika, aby pojechał ciarówką przez Miglos, zamiast wracać prosto do Tarascon. Stał nad Guiltaume wspinał się na płaskowyż i ujrzał lady na ciecie prowadzącej w góry. Ponieważ była do późna pora, a temperatura wynosiła tylko nieco powyżej zera, doszedł do wniosku, że te lady muszą należeć do mnie.

- Ale kiedy już się tam znalazłem, monsieur, wcale nie byłem pewien, dokąd pan dalej poszedł. Tam nie ma lodu ani ziemi, tylko twarda skała, więc nie zostawił pan żadnych śladów. A może na stał nad różnymi drogami. Słyszałem, jak z drogi wołał mnie mój brat. Wszyscy byli już mocno zniecierpliwieni i przekonani, że tylko tracę czas. Przyznaj, że mnie również ogarnęła wściekłość. Zaczynało zmierzchać i wiedziałem, że głupio robię, jeśli będę upierał się przy poszukiwaniach. Ale tak samo wiedziałem, że jeśli pan nie wrócił do Nulle, to nie przeżyje pan nocy pod gołym niebem. I wtedy...

Guiltaume urwał, a jego policzki oblały rumieniec.

- Co takiego, Guiltaume? - zawołałem z pochodem. - Co zobaczyłaś?

- Tak naprawdę to nie wiem, monsieur. Kogoś. Przysięgam na własne życie, że widziałem, jak ktoś do mnie machał, aby zwrócić moją uwagę.

Serce na moment przestało mi bić.

- Czy to była kobieta?

Potrzeba mi głowa .

- Nie jestem pewien. Byłem za daleko. Po prostu mignęło mi coś innego. Coś jakby długie, było inny płaszcz. Myślałem, że to pan, monsieur, że przed pójściem w góry przebrał się pan w samochodzie w inne ubranie.

- To nie byłem ja.

. - Nie?

- Nie.

Guillaume przez chwilę patrzył mi prosto w oczy, a w jego szczerym spojrzeniu błysnęła nieufność . Potem odwrócił głowę .

- Wdrapałem się do miejsca, gdzie pan... To znaczy, gdzie stała ta postać ... Ale nikogo już tam nie było. Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć . I wtedy zauważyłem ślady na ziemi, nawet nie odciski butów, tylko zwykłe wgłębienia, które prowadziły wprost do skalnej ciany. Kiedy przyjrzałem się dokładniej, przekonałem się , że pod nawisem ukryta jest szczelina.

- No cóż , Guillaume, miałem sporo szczęścia, że to zauważyłem - mruknąłem cicho.

- Zawołałem ojca i Pierre'a, którzy...

- Czy oni cię widzieli?

- Nie, byli za daleko. Poza tym do tego czasu prawie zupełnie się ściemniło. Ale mogli mnie usłyszeć . Było bardzo zimno i bardzo cicho, a w zimie głos daleko się niesie, kiedy tylko zimozielone rośliny zachowują liście.

- Tak... Rozumiem.

- Znalazłem w przejściu trochę gruzu, tam gdzie pan rozwaliał ścianę , potem wszedłem do pierwszej jaskini, a następnie przecisnąłem się do tej dalszej.

- Guillaume umilkł na chwilę . - Mój ojciec zawsze

powiadał, e... - Zawahał się i oblizał spierzchnięte usta. - Musiałem myśleć tylko o tym, jak pana stamtąd wyciągnąć, monsieur, i jak dowieźć pana do lekarza. Nie miałem czasu myśleć o innych. Nie wtedy.

Napotkał moje spojrzenie.

- Jest pan pewien, że ta osoba, którą widziałem, to nie był pan?

- Najzupełniej.

- Bo wie pan, chodzi o to, e... Pan leżał na ziemi przykryty tak brudną peleryną. Dziwne, ale pasowała jak ulał do szaty... w której ubrane było ciało kobiety. Ona miała na sobie tak długą, brudną suknię, w tym samym kolorze, co... Pan leżał tuż obok niej.

Znowu się zawahał.

- Ten sam brudny widziałem, kiedy tamta postać machała do mnie - dokończył szeptem.

Zrozumiałem, w czym rzecz. Guillaume za nic nie chciał uwierzyć, że zabobonne opowieści ojca mogą mieć coś wspólnego z prawdą i wcale nie miałem mu tego za złe.

- Pewnie gra wiatła spletała ci figła - powiedziałem.

Guillaume skinął głową. Nie zdołałem rozproszyć jego wątpliwości, ale czułem, że jest mi wdzięczny, że sprawa została wyjaśniona w ten sposób, i nie zamierza więcej poruszać tego tematu. Wsadził rękę do kieszeni, żeby czego poszukać.

- Znalazłem tam jeszcze to, monsieur - wyjaśnił.

Wyciągnął w moją stronę kawałek pergaminu, który podniosłem z ziemi w pierwszej jaskini, a później, zdjąwszy przerażeniem po odkryciu masowej mogiły, całkiem o nim zapomniałem.

- Trzymał pan go tak kurczowo, że pomyślałem, że pewnie to coś ważnego.

Pochylił się i położył pergamin na łóżku obok mnie. Na tle białych, bielutkich przez cienie różnobarwnych odcieni chropawego materiału rzucał się w oczy jeszcze bardziej niż przedtem.

Wdzięczność zalała mnie jak wysoka fala.

- Dziękuję, Guillaume. Dziękuję ci z całego serca.

Wziąłem pergamin do ręki.

- Czytałeś go?

- Nie. - Pokręcił głową. - To w jakimś starym języku.

- W dialekcie oksytańskim, jak się działo... - urwałem, bo nagle przyszło mi do głowy, że być może Guillaume nie radzi sobie z odcyfrowywaniem liter. Nie chciałem go zawstydzić. - Gdyby się nie uparł, żeby mnie szukać, Guillaume... No cóż... Z wdzięcznością cię.

I tobie, Fabrisso, dodałem w myślach. I tobie...

- Na moim miejscu kałby zrobiłby to samo - odparł burkliwie, cię podnosisz się z miejsca, a nogi krzesła zakrzypiały o linoleum.

Nie należał do ludzi, którzy chętnie się własnym bohaterstwem i teraz, gdy już spełnił swój obowiązek, pilno mu było do wyjścia.

Wiedziałem, że nie ma racji. Chociaż George opowiadał mi o niesamowitych aktach odwagi, których nieraz był świadkiem, jednak nie kałby człowiek gotów jest zaryzykować własne życie dla ratowania innego.

- Lepiej już pójdź - mruknął.

- To dobrze, że przyszedłeś. Jeśli jest coś, czego potrzebujesz... jakikolwiek sposób, abym mógł wyrazić swoją wdzięczność...

- Nie - odparł szybko. - Mój ojciec kazał przekazać, że to my panu dziękujemy. Podobno pan b dzię wiedział, co miał na myśli.

Zastanowiłem się przez chwilę, a potem skinłem głową.

- Myślę tak - odparłem. - Przekazał mu moje pozdrowienia. Także madame Gały.

Założył futrzany czapki i skierował się do wyjścia.

- Wesołych wiat, Guillaume.

- I wzajemnie, monsieur.

Przez moment zwlekał jeszcze, a jego masywna sylwetka wypełniała sobie całe przejście, zasłaniając plamę światła, które wpadało z korytarza. A potem odszedł w swoją stronę.

Przytuliłem pergamin do twarzy, zbyt stremowany, by go rozłożyć. Wiedziałem zresztą, że i tak nie będę umiał odczytać treści. Ale wiedziałem także, że został napisany z myślą o mnie. List od Fabrissy do mnie. Nie, nie do mnie. Do kogokolwiek, do tego, kto zdołał usłyszeć wołające w ród górskich szczytów głosy nieszczęślików i kto mógł przyjść, aby sprowadzić ich do domu.

W końcu zdecydowałem się rozprostować pergamin. Pismo było niedbałe i nierówne, linie zachodziły na siebie, jakby autorce brakowało atramentu, światła albo sił. Wciąż nie potrafiłem odróżnić poszczególnych słów, ale tym razem moje zmęczone oczy odnalazły na dole strony datę i inicjały: FDN.

Czy „F” oznaczało Fabrissę? Oczywiście bardzo pragnęłam w to uwierzyć. Ale co z resztą? Wyjaśnienie tej kwestii będzie musiało poczekać. Ja będę musiał poczekać.

Z powrotem opadłem na poduszki.

Nie istniało racjonalne wyjaśnienie tego, co się wydarzyło. Wiedziałem jedynie, że wszystko wydarzyło się naprawdę. Widocznie niepostrzeżenie w lizgnię-

łem się w jakimś momencie w czasie i wtedy przyszła do mnie Fabrisa. Jako zjawy? Jako duszy? A może prawdziwa kobieta, przeniesiona z własnej epoki w ten zimny, ponury grudzień? Cała ta sprawa przekraczała moje pojęcie, ale rozumiałem, że dla ciebie to nie ma znaczenia. Liczyły się jedynie konsekwencje naszego spotkania. Fabrisa potrzebowała pomocy i uzyskała ode mnie tę pomoc.

- Moje jedyne kochanie - wyszeptałem.

Dziękuję, że pokonałem własne demony. Uwolniła mnie, abym mógł spojrzeć w przyszłość, abym nie tkwił w nieskończoności w dniu piętnastym września tysiąc dziewięćset szesnastego roku, gdy nagle zatrzymały się wszystkie zegary, abym nie trzymał się kurczowo wydarzenia z jedenastego listopada roku tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego, gdy w katedrze w Chichester odsłaniano kaplicę upamiętniającą Królewski Regiment Hrabstwa Sussex, a mnie wydawało się, że ani sekundy dłużej nie zniósłbym, że nie wiem, gdzie poległ George, abym nie był skazany na cięgie przyglądanie się, jak szampan rozlewa się i kapie na podłogę w ekskluzywnej restauracji na Piccadilly.

Zamknąłem oczy, wsłuchując się w otaczający mnie zewsząd zwykły szum szpitala. Z głębi korytarza dobiegało skrzypienie kółek. A gdzieś w tle czyje głosy nuciły bożonarodzeniowe kolędy.

TULUZA
KWIECIE 1933



POWRÓT NA LA RUE DES PENITENTS GRIS



- Tak wi c jestem - oznajmił Freddie. - Nie byłem w stanie przyjecha tu wcze niej.

Oparł si o tył krzesła, wci trzymaj c w dłoni szklaneczk brandy. Saurat zmierzył swego go cia uwa nym spojrzeniem.

Podczas ich rozmowy cienie wydłu yły si znacz- nie. Słoneczny blask pó nego popołudnia wpadał przez okratowane okna antykwariatu, układaj c si na podłodze w migotliwe esy-floresy.

Saurat chrz kn ł, eby oczy ci gardło.

- A w ci gu tych ostatnich pi ciu lat...?

- Wróciłem do Anglii. Mo e nie od razu, ale gdy stało si jasne... - Freddie zawiesił głos. - No a potem nadszedł wielki kryzys i wszystko, co po nim nast pi- ło. Nieliczne akcje i udziały, jakimi dysponowałem, z dnia na dzie utraciły wszelk warto . Nie miałem wyj cia, jak tylko znale sobie jaki sposób zarabia- nia na ycie. Zacz łem wynajmowa pokoje i zatrud- niłem si w Londynie w Komisji Wspólnoty Brytyjskiej do spraw Cmentarzy Wojennych, która zajmowała si grobami poległych ołnierzy. Zarabiałem do

skromnie, ale zupełnie wystarczająco jak na moje potrzeby.

- Rozumiem.

- Pierwszego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku odsłonił my pomnik w Thiepval, dla upamiętnienia bitwy pod Somm. Regiment mojego brata, trzy bataliony southdownersów, ruszył do ataku poprzedniego dnia, w wigilię bitwy pod Somm. Nasi żołnierze przełamali niemiecki front i przez pewien czas udało im się utrzymać w okopach, ale potem musieli się cofnąć. W ciągu niespełna pięciu godzin poległo siedemnastu oficerów i prawie trzysta pięćdziesięciu żołnierzy z Sussex. Następnego dnia rozpoczęła się wielka ofensywa.

- A potem?

- Potem podróżyowałem, głównie po Francji i Belgii. Na tym polega moja praca. Jestem członkiem zespołu odpowiedzialnego za konserwację nagrobków i pamiątek wojennych, jak również cmentarzy wojennych.

- Tak więc nikt nie został zapomniany.

- Pamiętam i nie pozwolimy, żeby podobna rzecz jeszcze kiedyś wydarzyła się. George, a także syn madame Gały, młodzi z Ariège, chłopcy z Sussex - musimy o nich pamiętać. O wszystkich, którzy zginęli.

Freddie zamilkł. To nie było właściwe miejsce ani pora na takie rozmowy.

Pociągnął łyk ze szklanceczki, odstawił ją ostro nie na stół, a następnie przesunął ją po zielonym filcu zniszczony pergamin.

Saurat przez chwilę wytrzymał spojrzenie swojego gościa. W jego wzroku nie dojrzał pełnego nadziei

oczekiwania ani niepokoju, a jedynie stanowczo .
Uprzytomnił sobie, że treść listu nie będzie zaskoczeniem dla Anglika, niezależnie od tego, co się w niej kryje.

- Jest pan gotów?

Freddie zamknął oczy.

- Tak.

Saurat poprawił spoczywającą na nosie okulary i zabrał się do czytania.

*- Ko ci i cienie, i proch... Ja jestem, ostatnia.
Inni zasnąli w pokoju, na zawsze odchodząc
w ciemność. Teraz, przy końcu moich dni, w nieruchomym powietrzu dookoła mnie zostało tylko
echo. Echo wspomnień o tych, których niegdy
kochałam.*

- Samotność, milczenie... Peyre sant.

*- Koniec zbliża się nieuchronnie, ale witam go
jak najmilszego, dawno niewidzianego przyjaciela.
To powolna śmierć została uwiarygodniona w takim miejscu.
Serca po kolei przestawały bić, jedno po drugim.
Najpierw mój brat, potem matka i wreszcie
ojciec. Teraz wszechobecna cisza to jedynie mój
płytki oddech. Tylko on i delikatne kapanie wody,
słychać się z omszałych ścian jaskini. Jakby cała
góra płakała nad naszym losem. Jakby tak ona
opłakiwała umarłych.*

*Słyszeliśmy ich, jak stali dookoła wejścia,
i łudzili się, że jesteśmy bezpieczni.
Słyszeliśmy huk, kiedy zwałali na stos glazy,
kamień po kamieniu, a potem odgłosy uderzenia
młotami w drewno, ale nawet wtedy nie przyszło
nam na myśl, że w ten sposób zamykają na zawsze*

*wej cie prowadz ce do jaskini. I tak to o wietlo-
ne pochodniami i wiecami podziemne miasto
stało si naszym grobem, cho do niedawna było
naszym schronieniem.*

*To ostatnie słowa, jakie w yciu napisz . To ju
nie potrwa długo. Moje ciało odmawia mi posłu-
sze stwa, a ostatnia wieca nieuchronnie ko czy
ywot. Zostawiam swój testament - wiadectwo
tego, jak m czy ni, kobiety i dzieci yli i umierali
w tym zapomnianym zak tku wiata. Pisz , eby ci,
którzy nastan po nas, mogli pozna prawd . Nie
boj si mierci. Trwog budzi jedynie my l o zapo-
mnieniu. Dr czy mnie obawa, e nie b dzie nikogo,
kto dostrze e i zapami ta nasze odej cie. Którego
dnia kto odnajdzie nas w tej jaskini. Odnajdzie
i zaprowadzi do domu. Bo kiedy nasz los si doko-
na, zostan po nas tylko te słowa. One przetrwaj .
Moj powinno ci było zapisa t ostatni praw-
d . Jeste my tym, kim jeste my, z powodu tych, któ-
rych przyszło nam kocha , i dzi ki tym, którzy nas
kochali. Peyre sant, Bo e dobrych duchów, zmiłuj
si nad moj dusz .*

Prima

*W Roku Pa skim tysi c trzysta
dwudziestym dziewi tym*

- Którego dnia kto nas odnajdzie... - powtórzył
szeptem Freddie.

Saurat zerkn ł na niego ponad szklami okularów
w kształcie półksi yców. Zamilkł na chwil , dopóki

w ciszy zalegającej między półkami małego, w sklepie nie przebrzmiało echo tamtych słów.

- Wiosna tysiąc trzysta dwudziestego dziewiętego roku - powiedział w końcu.

Freddie otworzył oczy.

- Tak...

¹ - To ponad sześćset lat temu.

-Tak.

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie. Jedynie tykanie zegara i drobinki kurzu tańczące w smugach popołudniowego światła zaznaczały upływający czas.

- Czy wrócił pan jeszcze kiedyś do Nulle? - spytał wreszcie Saurat.

./- O tak, wróciłem. Nawet parę razy.

-I...?

Freddie uśmiechnął się.

- Och, teraz jest tam całkiem inaczej. Wioska tętni życiem. Monsieur i madame Gały wcieli tam mieszkaniec, a ich małe pensjonaty znakomicie prosperują.

- Cienie przeszło ci zniknąć?

- Absolutnie. Nulle stało się czymś w rodzaju ośrodka pieszych w drówek po górach na południe od Tarascon. Guillaume Breillac całkiem nieźle na tym zarabia. Mówi się nawet o wybudowaniu kolejki linowej, żeby wozili turystów do jaski.

- O rodek turystyczny...

- W pozytywnym tego słowa znaczeniu. Na razie nie stanowi konkurencji dla Lombrives czy Niaux, ale pewnego dnia sytuacja może ulec zmianie.

Freddie zapatrzył się na zalane słonecznym blaskiem okno i nie mógł się powstrzymać, żeby nie pomyśleć, jak wiele razy w ciągu kilku ostatnich lat, co powiedział-

łaby Fabrissa na widok swojej rodzinnej wioski, która znów kwitnie.

- Z pewno ci ta historia zgadza si ci le ze znany-
mi faktami - mówił Saurat. - Na pocz tku czternaste-
go stulecia niedobitki społeczno ci katarskiej stały si
obiektem prze ładowa i eksterminacji. W Lombrives
ołnierze hrabiego de Foix-Sabarthesa - przyszłego
Henryka IV, króla Francji - odnale li w jaskini zwłó-
ki ponad pi ciuset osób... W dwie cie pi dziesi t lat
po tym, jak zostali ywcem pogrzebani.

Freddie skin ł głow .

- Czytałem o tym.

- A ci, których pan spotkał w Ostał - Guillaume
Marty, Na Azema, siostry Maury, Authier - to wszyst-
ko typowe katarskie imiona i nazwiska tamtego okre-
su. Tak samo Fabrissa.

-Tak...

Saurat si zawahał.

- Mimo to nadal nie bardzo wiem, co według pana
wydarzyło si tamtej nocy.

Freddie wytrzymał jego spojrzenie.

- Obaj jeste my nowoczesnymi lud mi, Saurat.
yjemy w wieku nauki i racjonalnego my lenia.
I nawet je li ta wiedza nie wpływa na nas w jaki
pozytywny sposób, to przynajmniej nie jeste my zmu-
szeni y tak jak nasi przodkowie, podporz dkowani
uci liwym przes dom religii, w cieniu zabobonów,
demonów i dnych zemsty duchów. Wiemy, e zgod-
nie z psychologi da si wytłumaczy nocne koszmary,
halucynacje, nawołuj ce z ciemno ci głosy... Jeste my
wiadomi, e rozum potrafi płata nam ró ne figle,
e potrafi zwodzi nasze w tle, słabe, n dzne, pod-
łe i łatwo ulegaj ce złudzeniom umysły - wzruszył

ramionami. - Straciłem już rachubę, wiele razy powtarzano mi to, kiedy byłem chory.

- Czy chce pan powiedzieć, że lekarze mają rację? Freddie uśmiechnął się.

- Być może tak, Saurat, ale ja wiem, że ona naprawdę tam była. Fabrissa tam była. Widziałem ją. Rozmawiałem z nią, trzymałem ją w ramionach. Tam, w Nulle, gdy chodziłem po naznaczonej smutkiem ziemi, która otaczała wioskę, Fabrissa była dla mnie kim równie rzeczywistym jak pan, siedzący tu przede mną.

- A teraz?

W pierwszej chwili Freddie nic nie powiedział.

- W życiu zdarzają się chwile, kiedy towarzyszą nam szczególnie silne emocje - miłość, śmierć, ale... To właśnie wtedy może się zdarzyć, że uda się nam wliźnąć w jak szczelinę. A zatem wierzę, że czas może się rozciągać, skracać lub zdarzać na różne sposoby, których nauka nie umie wytłumaczyć. Być może właśnie co takiego przytrafiło mi się, kiedy rozbiłem samochód i straciłem przytomność, a może nie. - Znowu wzruszył ramionami. - Nie mam najmniejszych wątpliwości, że w Nulle mieszkała kiedyś taka dziewczyna jak Fabrissa. Tak samo nie w tym, że to ona mnie odszukała.

- Czyli zostaje wiara? - Saurat rozejrzył się po zastawionych księkami regałach. - Wiara, że istnieje coś więcej niż to?

- Kto to może wiedzieć? Życie nie polega na poszukiwaniu odpowiedzi, jak nas uczono, lecz raczej jest sztuką dowiadywania się, jakie pytania powinniśmy zadawać.

Saurat opuścił wzrok na spoczywający przed nim list z zamierzchłych czasów; na słowa, które

z tak pieczołowito ci przetłumaczył dla angielskiego gościa.

- Dlaczego tak długo pan zwlekał?

- Bo musiałem się upewnić, że jestem gotów, aby tego wysłuchać.

-Aha...

- I żeby zobaczyć te sprawy.

Ksiądz wziął okulary, odłożył je na stół i zmierzwił ruchem przetrącił zaczerwienione oczy.

- Był może równie dlatego, że spodziewał się pan, co jest w tym dla ciebie? Odniosłem wrażenie, że nic pana nie zaskoczyło.

Freddie znowu wzruszył ramionami.

- „Jesteś tym, kim jesteś, z powodu tych, których przyszło nam kochać, i dzięki tym, którzy kochali nas”. Dokładnie tak napisała Fabryssa - u mnie nie było łatwo. - Nie potrzeba tłumacza, aby zrozumieć głęboką prawdę tych słów.

Obaj znów pogrzebli się w milczeniu, a tykający w głębi sklepu zegar nadszedł odliczanie przemijania dnia. Z ulicy nagle dobiegł ryk klaksonu, potem głos kobiety, która z czułości wołała dziecko albo swego kochanka... Odgłosy typowe dla współczesnego miasta, cieśsz czego się wiosennym, ciepłym popołudniem.

- Co zamierza pan zrobić z tym listem? - zainteresował się Saurat.

- Nic.

- Mogłbym dać panu dobrą cenę.

Freddie rozejmował się w odpowiedzi.

- Nie sądzę, aby w ogóle można było określić cenę za taką pamiętkę. Jak pan uważa?

- Pewnie nie - przyznał Saurat. - Ale gdyby pan kiedy zmienił zdanie...

- Oczywiście. Będzie o panu pamiętać.

Freddie wstał, zarzucił na siebie płaszcz, a następnie wsunął list w tekturową okładkę.

- Pozwoli pan, żeby wynagrodzić go za poświęcony mi czas?

Ale księgarz uniósł rękę.

- To była dla mnie prawdziwa przyjemność.

Mimo to Freddie wyjął z portfela pięćdziesiąt funtów banknot i położył go na ladzie.

- W takim razie proszę potraktować to jako darowiznę na szlachetny cel.

Saurat skinieniem głowy podziękował za podarunek. Nie zabrał banknotu, ale tak i nie uczynił najmniejszego gestu wskazującego, że zamierza go zwrócić.

Przy drzwiach ucisnęli sobie dłonie - na pamięć wspólnie spędzonego popołudnia, wysłuchanej opowieści i sekretu, który stał się ich wspólną własnością.

- A co z pańskim bratem? - zapytał Saurat. - Czy podczas pańskich podróży, pańskiej pracy w komisji zajmującej się grobami poległych, udało się panu znaleźć odpowiedź na pytanie, której pan poszukiwał? Czy dowiedział się pan, co się z nim stało?

Freddie wsunął na głowę filcowy kapelusz i założył skórzane rękawiczki.

- Jego los jest znany Bogu - odparł. - To mi zupełnie wystarczy.

Odwrócił się i wyszedł z powrotem na Rue des Penitents Gris. Tu przed nim kroczył jego cień.

PODZI KOWANIA



Jestem niezmiernie wdzi czna wszystkim, którzy tak ci ko pracowali, eby „Zimowe zjawy” mogły ujrze wiatło dzienne.

Mój agent, Mark Lucas, wci jest dla mnie inspiracj , fantastycznym wydawc , i jak zwykle wszystko obraca w art, pomimo braku samoprzylepnych karteczek z adnotacjami! Serdecznie dzi kuj Markowi, Alice Saunders i reszcie osób z LAW.

Je li chodzi o Oriona, ogromne podzi kowania przesyłam wszystkim, którzy pracuj w dziale wydawniczym, reklamowym, marketingowym, sprzeda y i sztuki. Mam na my li przede wszystkim redakcyjny *dream team*, czyli Jona Wooda i Genevieve Pegg, jak równie Malcolma Edwardsa, Lis Milton, Susan Lamb, Jo Carpenter, Lucie Stericker, Marka Rushera, Gaby Young i Helen Ewing; specjalne słowa wdzi czno ci nale si Brianowi Gallagherowi za prze liczne ilustracje.

Nie udałoby mi si sko czy tej ksi ki bez duchowej i praktycznej pomocy ze strony rodziny i przyjaciół, przede wszystkim mojej te ciowej, Rosie Turner; moich rodziców, Richarda i Barbary Mosse; naszych kumpli od wyprowadzania psów, czyli Cath i Patricka

Hanionów oraz Julie Pembery, a także mojej siostry,
Caroline Matthews. Dziękuj również Amandzie Ross,
Jonowi Evansowi, Lucindzie Montefiore, Tessie Ross,
Robertowi Dye, Marii Rejt, Peterowi Claytonowi,
Rachel Holmes, Bobowi i Marii Pulley.

Na końcu chcę dodać, że bez miłości i wsparcia
mojego męża, Grega Mosse'a, oraz naszych dzieci,
Marthy i Feliksa, wszystkie poprzednie podziękowa-
nia nie miałyby znaczenia. To właśnie im dedykuj
tę książkę - tak jak zawsze.

OD AUTORKI



Do tysiąca trzysta dwudziestego ósmego roku redniowieczna chrześcijańska herezja, określana obecnie jako kataryzm, została całkowicie wypłeniona. Po upadku Montsegur w tysiącu dwięćset czterdziestym czwartym roku i fortecy Queribus w roku tysiąca dwięćset pięćdziesiątym pięćset trzydziestu niedobitki katarów wycofały się w wysoko położone doliny Pirenejów, a wielu katarskich duchownych - *parfaits* i *parfaites* - zostało straconych lub uciekło do Lombardii czy Hiszpanii.

Pomimo to we wczesnych latach czternastego wieku w rejonie górnego Ariège nastąpiło zauważalne odrodzenie katarskich społeczności - przede wszystkim dookoła Tarascon i Ax-les-Thermes (wtedy znanego jako Ax) oraz w innych miejscach, takich jak Montailou. Trybunały Inkwizycji w Pamiers (dla Ariège) i Carcassonne (dla Langwedocji) ciągle przeładowały i spaliły heretyków, jak wówczas ich określano. Jako tacy byli więzieni w lochach i wieżach zwanych *murs*. Głównym organizatorem tych przeładowań był Jacques Fournier, mnich z zakonu cystersów, który w nadzwyczaj szybkim tempie piął się po szczeblach kościelnej kariery, stając się biskupem Pamiers w roku tysiąca trzysta siedemnastym, biskupem Mirepoix w roku tysiąca trzysta

dwudziestym szóstym, kardynałem w roku tysiąc trzy-
sta dwudziestym siódmym, a w końcu w roku tysiąc
trzysta trzydziestym czwartym został w Avignonie
wybrany na papieża i przybrał imię Benedykta XII.
Jak na ironię to właśnie sporządzony przez Fourniera
Rejestr Inkwizycji - szczegółowo opisujący wszystkie
przesłuchania i zeznania składane pod jego nadzo-
rem przed sądem - stał się jednym z najważniejszych
historycznych dowodów, którym udało się przetrwać
do naszych czasów, a które dotyczą praktyk religijnych
katarów w czternastowiecznej Langwedocji. Ostatni
katarski *parfait*, Guillaume Belibaste, spłonął na stosie
w tysiąc trzysta dwudziestym pierwszym roku.

/Podczas ostatnich okrutnych lat eksterminacji
katarów ofiarami aresztowania padały całe wsie - jak
na przykład Montailou na wiosnę i jesieni roku tysiąc
trzysta ósmego. Istnieją dowody, że całe osady szu-
kały schronienia w labiryncie jaskiń w Haute Vallee
w Pirenejach, czego najbardziej niechlubnym przykła-
dem są jaskinie w Lombrives, położonym tu na poł-
udnie od Tarascon-sur-Ariège. Wiosną tysiąc dziewięć-
set dwudziestego ósmego roku setki mężczyzn, kobiet
i dzieci uciekło do jaskiń, chroniąc się przed pogro-
mami i represjami. Kiedy żołnierze Inkwizycji zdali sobie
z tego sprawę, zamiast kontynuować zabawy w kotka
i myszkę, wykorzystali tradycyjne taktyki pomocne
przy oblężeniu i zatarasowali jedyne wejście, ko-
cząc w ten sposób grono. Uwięzieni ludzie zostali pogrzebani
wewnątrz, a sama jaskinia stała się czymś w rodzaju red-
niowiecznej Masady.

Minęło dwieście pięćdziesiąt lat i na tamtych terenach
pojawiły się wojska hrabiego Foix-Sabarthesa, który nie-
bawem miał zostać królem Francji, znanym jako Henryk

IV Włochy dotarli do jaski, ujawniając kulisy tragedii. Znajdowano tam całe rodziny -• szkielety zmarłych spoczywały obok siebie, jedno kości blisko drugich, a pomiędzy nimi resztki cennych przedmiotów, które uciekający zabrali z sobą. Wtedy te wyniesiono ludzkie szczątki ze skalnego schronienia, które statecznie stało się grobem dysydentów.

Właśnie ten przerażający fragment historii katarów stał się inspiracją do napisania „Zimowych zjaw”*. Wioska o nazwie Nulle nie istnieje.

Tym czytelnikom, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej o ostatnich dniach katarów, polecam dzieło Emmanuela Le Roy Ladurie pod tytułem „Montaillou”, po raz pierwszy opublikowane w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym. To najpełniejsze i najbardziej szczegółowe objaśnienie powikłanych dziejów wiary i tradycji w czternastowiecznym Ariège. *De l'Heritage des Cathares* - dzieło dostępne także w przekładzie angielskim pod tytułem *The Inheritance of the Cathars* - książka napisana przez francuskiego mistyka i historyka zajmującego się dziejami katarów z okolic Tarascon także jest warta poznania. Doskonałe lektury będą również: *Yellow Cross: The Story of the last Cathars 1290 -1329* Ren Weisa, *Peire Authier: Le Derr er des Cathares* Ann Brenon oraz *Secrets of the LaHrynth* Grega Mosse'a.

Kate Mosse

Tuluza, kwiecień dwa tysiące dziewięć tego roku

* Wcześniej ta wersja tej historii została opublikowana pod tytułem *The Cave*, jako krótka powieść napisana w 2009 roku dla inicjatywy o nazwie Quick Reads.